Nr. 13. Poznań. Niedziela 31-go Marca 1901 r. Rok V.

PRACA

Tygodnik illustrowany

*Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie **1,25 mk.**; na poczcie w Austro-Węgrzech **1 kor. 47 hal.***
Pod opaską:** w Niemczech **1,90 mr.**, w Austro-Węgrzech **2 kor. 30 hal.**, za Oceanem **1 dolar 25 cent.
Redakcya i Administracya „Pracy“ znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 1246.

Manuskryptów nie zwraca się.

Premia

nadzwyczajna dla wszystkich Czytelników „Pracy.“

Krok naprzód.

A czy znasz ty, bracie młody,
Twoje ziemie, twoje wody?
Z czego słyną, kędy giną,
W jakim kraju i Dunaju?
A czy znasz ty, bracie młody,
Twojej ziemi bujne płody,
Twe kurhany i mogiły
I twe dzieje, co się śmiły?

Aby z jednej strony wykazać, jaką moralną i materyalną siłą jest w społeczeństwie pismo, cieszące się poparciem i zaufaniem swych licznych Czytelników, — aby dać dowód, że przed stawianemi nam trudnościami nie ustępujemy ani kroku wstecz, lecz wciąż dążymy śmiało naprzód, — a z drugiej strony, aby pobudzić myślący nasz ogół do tem żywszego obznajmiania się z ziemią ojczystą, — postanowiliśmy wprowadzić do pisma naszego

wielkie ulepszenia.

Rozpoczynamy w kwartale bieżącym wydawnictwo szczegółowo opracowanych

map powiatowych

Księstwa. Całą doniosłość tego przedsięwzięcia oceni każdy, kto wie, że dotychczas nie było kart czyli map powiatowych

w polskim języku,

a nasz czytający ogół musiał w razie potrzeby z konieczności sięgać do map niemieckich i tolerować zniemczone nazwy polskie.

Nasze mapy pozwolą się obejść bez niemieckich nazw i przekształceń! W chwili, gdy w Poznaniu z wątpliwą dla publiczności wygodą pracuje takie „Uebersetzungsbureau“ czas już nam, Polakom, przypomnieć sobie, że sami popieramy germanizacyę starodawnych nazw polskich, skorośmy się nie postarali o

wydanie polskich map.

Całe Księstwo, to jest

42 powiaty

z osobna uwzględnimy na czterdziestu i dwóch mapach,

zaopatrzonych odpowiednim tekstem i objaśnieniami. Każda z tych map opiera się na ścisłych urzędowych niemieckich publikacyach i mapach z uwzględnieniem starych nazw polskich. — Zważmy tylko, że taka mapa niemiecka kosztuje sztuka w sztukę na każdy powiat po 1 m., a my damy Czytelnikom naszym

w jednym kwartale 13 takich map, jako bezpłatny dodatek do „Pracy“

przy skromnym abonamencie kwartalnym tylko 1 m. 25 fen., to znaczy, że za 1 m. 25 fen., które Czytelnik poświęci za „Pracę“ odbierze

13 marek z powrotem,

a raczej tej wartości

13 kart powiatowych

bardzo starannie opracowanych przez kartografów zaprzysiężonych, rządowych.

Kto więc tym razem „Pracy“ niezaabonuje sam się krzywdzi.

Nadmieniamy przytem, że po ukończeniu map Księstwa damy też jeszcze

dwie mapy poświęcone polskiemu wychodźtwu

w Niemczech, a mianowicie damy osobno

mapę polskich osad w Westfalii i Nadrenii,

a w drugiej zaś

mapę całych Niemiec z oznaczonemi osadami, gdzie przebywają Polacy,

Przy każdej mapie powiatowej

podawać będziemy szczegółowy opis i wiadomości, ile ziemi znajduje się w rękaah polskich, jaką ludność mają miasta i wioski, znajdą się też wzmianki o gorzelniach, mączkarniach, młynach, tartakach, cegielniach, mleczarniach i t. d. i t. d.

Praktyczna korzyść tego bije w oczy:

każdy nasz właściciel ziemski, każdy włościanin, lub powracający z wychodźtwa, chcący się poinformować, będzie mógł znaleźć odrazu wskazówki mu potrzebne; każdy

kupiec czy rzemieślnik,

przenosząc się w inne strony Księstwa, będzie mógł rozpatrzeć się w liczbie ludności okolicznych miejscowości, — zastanowić się, czy wobec np. wykupionych przez kolonizacyę obszarów będzie miał dość poparcia u swoich i t. d.

Lecz nietylko tym praktycznym celom służyć będą nasze mapy. My chcemy dać też coś

i dla ducha, i dla serca polskiego,

a tę idealną stronę uwzględnimy — dając

krótki pogląd na chlubną polską przeszłość

tych miejscowości, które dziś przechrzcili Prusacy na rozmaite „felde, walde lub witz,“

Pamiątki starodawnej przeszłości uwzględnione będą w opisach w najszersym zakresie.

Jakkolwiek kilku obznajmionych z przedmiotami pracowników już od kilku tygodni zajmuje się skwapliwie wydawnictwem tych map i opisami, to jednak zwracamy się do Szanownych Czytelników,

aby każdy zechciał nam nadsyłać opisy znajdującgch się w miejscu jego zamieszkania pamiątek przeszłości, ruin, historycznych kopców, kościołów, pochodzących z czasów polskich i t. d.

Chcemy sprawić, aby

dzieci dzisiajszego pokolenia

miały z czasem po ojcach swych chlubne świadectwo, że oni dbali o zachowanie pamiątek przeszłości i że pomimo całego huraganu germańskiego mieli dość ducha, aby z serdeczną myślą, zwróconą ku przeszłości, zachować od niepamięci te

cenne zabytki lepszych czasów,

od których ku prawdziwemu Polakowi bije jakby fala nadzieji, że

nie zginiemy!

A więc do pracy, Czytelnicy! Pamiętajcie, że pół wieku przejść może, zanim ktoś po raz drugi podobne przedsięwzięcia rozpocznie, więc o ile możności wszechstronnie trzeba je przeprowadzić! Nie odmawiajcie pomocy i wśród znajomych zjednywajcie przyjaciół dla tego planu.

Samo przygotowanie map, bez opisów kosztować będzie

kilka tysięcy marek,

więc niechże się za tę sumę jaknajwiększy kapitał moralny dostanie społeczeństwu.

Idziemy naprzód w tej wierze, że ten nowy krok nasz na drodze rozwoju zostanie należycie oceniony.

Nie powinno być w Księstwie ani jednego domu, gdzieby nie była czytana „Praca.“

Redakcya.

Zapowiadając dzisiaj opis W. Ks. Poznańskiego i jego powiatów, który rozpoczniemy już w następnym numerze, odzywamy się do wszystkich rodaków, ażeby nam dopomogli wedle sił do wypełnienia tego trudnego zadania, nadsyłając dane statystyczne i różne szczegóły swych miejscowości.

W przyszłym numerze podamy

mapę Wielkopolski

i ogólny pogląd Wielkiego Księstwa Poznańskiego, a następnie specyalną

mapę powiatu Gostyńskiego

z odnośnym opisem wszystkich miast, wsi, wiosek, osad i folwarków Gostyńskiego powiatu.

☛ Chodzi nam więc na razie tylko o opis powiatu Gostyńskiego. ☚

Potem przychodzi powiat Wschowski, następnie Krotoszyński, Kościański i t. d.

W każdym tygodniu dorzucimy jeden powiat dalszy, który ma nastąpić, by Szanownym Czytelnikom dać możność przygotowania i udzielenia nam informacyi dla zapowiedzianych powiatów.

Czując głęboko całą doniosłość tej miłości do rzeczy ojczystych, widząc płynące z niej korzyści nietylko pod względem narodowym, ale i ekonomicznym, powzięliśmy zamiar dania Rodakom do ręki, o ile możności, dokładnego obrazu geograficznego W. Ks. Poznańskiego z jego teraźniejszymi powiatami.

Jeżeli więc Szanowni Czytelnicy nie poskąpią nam wszelkich możliwych informacyi, to

dział ten stanie się poprostu pomnikowym, a dla „Pracy“ i jej zwolenników jednym z najcenniejszych nabytków.

Szczególnie Wielebne Duchowieństwo i osoby w dozorach i reprezentacyach kościelnych zasiadające, prosimy jak najuprzejmiej, ażeby nam przesyłać raczyły wiadomości dotyczące świątyń naszych Pańskich, ich erekcyi, wiadomości o obrazach i pomnikach w nich się mieszczących, a dotyczących naszych przeszłości.

Dawnych i dzisiajszych właścicieli większych i drobniejszych majątków upraszamy o łaskawe cyfry co do ilości morgów ziemi ornej, lasów, łąk, pastwisk i nieużytków. Inteligencyą naszą miejską i wiejską prosimy o podanie nam wspomnianych podań ludowych w odnośnych miejscowościach, walk z najeźdźcami, o wiadomości o szańcach, okopach, o przechodzie wojsk, o dłuższym lub krótszym pobycie królów naszych, o urodzeniu i śmierci sławnych naszych mężów i t. p.

Każdy więc z Szanownych Czytelników, który jest w możności przysłużenia się sprawie, niech nam pod tym względem nie odmówi informacyi. Nie chodzi nam też wcale o jakieśkolwiek staranne opracowanie, o jakąś całość, tylko o podanie faktu w prostych, krótkich słowach, gdyż my ten z różnych stron odebrany materyał tutaj dopiero powiążemy w całość i opracujemy starannie.

Bardzo pożądane byłyby też fotografie czyli podobizny miast i wsi i to na razie powiatu Gostyńskiego, Wschowskiego, Krotoszyńskiego i Kościańskiego, a mianowicie fotografie kościołów, klasztorów, pomników oraz podobizny zasłużonych obywateli, obrazy z bitw i potyczek i t. p. Po zdjęciu kliszy odeślemy te fotografie i obrazy z podziękowaniem z powrotem bez najmniejszego uszkodzenia.

Mianowicie pp. fotografiści amatorzy winni nam tu przyjść z pomocą przez zdjęcie różnych widoków i nadesłanie nam tychże. Jesteśmy gotowi pp. fotografistom z zawodu wynagrodzić za łaskawe nadesłanie nam różnych odnośnyeh fotografii etc.

Do panów fabrykantów, kupców i prze-

mysłowców ślemy prośbę, ażeby, jeżeli to uznają za korzystne dla siebie, zechcieli nam łaskawie podać ściśłe dane o swych przedsiębiorstwach.

Kończąc to nasze odezwanie się do Rodaków, zaznaczamy, że już w przyszłym zeszycie podamy ogólny pogląd W. Ks. Poznańskiego, a następnie rozpoczniemy opis Gostynia i tegoż powiatu i tak z tygodnia na tydzień postępować będzie powiat za powiatem.

Wydawnictwo „Pracy.“

Zaproszenie do przedpłaty.

Numer po numerze naszego pisma został skonfiskowany i nie mieliśmy dość czasu, aby odezwać się do Was, Czytelnicy, ze słowami serdecznej zachęty. *Numer dzisiajszy jest ostatnim numerem w tym kwartale i kto po otrzymaniu go, niezwłocznie nie pójdzie na pocztę i nie zapisze sobie „Pracy“, albo nie uiści przedpłaty na ręce listonosza, ten dalszych numerów „Pracy“ nie otrzyma.*

Nawiedzeni dwukrotnie konfiskatą i przeświadczeni o tem, że „Praca“ bardziej, niż którekolwiek pismo, przygotowaną być musi na przeróżne trudności, — *nic zaniechaliśmy żadnych środków przezorności,* ażeby odtąd *uchronić* Czytelników naszych *od straty choćby jednego numeru.*

Zdaje się, że za czasów praw wyjątkowych przeciw socyalistom, *żadne pismo anarchistyczne czy socyalistyczne nie spotkało się z konfiskatą po konfiskacie, z aresztowaniem kolejno trzech redaktorów jednego po drugim* i z tysiącznemi innemi przeszkodami, z jakiemi my walczymy!

Całemi plikami ładowano do worków nasze manuskrypty; praca ludzka, myśl ludzka, w worki jak groch tkana, poszła pod opiekę policyi! Mieliśmy w zapasie cały szereg artykułów za chłami, nadesłanych nam przez rolników i przeciwko chłom, pisanych ze strony warstw mieszczańskich i robotniczych: gdzież szukać dziś tych artykułów?

Mieliśmy wyborne artykuły historyczne — poszły do rewizyi. Tak samo i pliki całe rozmaitych ważnych druków i pism! *W takich to warunkach prawie jak na wulkanie pracujemy, służąc wiernie naszej idei polskiej.*

Sądzimy, iż takie środki i sposoby, jakie zastosowano w ostatnich czasach przeciwko naszemu wydawnictwu, nie odpowiadają swobodzie słowa, jaką zawarować chcieli twórcy konstytucyi niemieckiej. Ufamy też, iż interpelacya posłów naszych w sprawie niebywałej konfiskaty dostarczy należytych wyjaśnień i wykaże, o ile postępowanie władz odpowiada intencyom paragrafów prasowych. Do interpelacyi takiej przygotowaliśmy już bardzo dokładny i obszerny materyał.

Zabezpieczając siebie przed ogromnemi materyalnemi stratami, a Was, Czytelnicy, przed stratą numerów, odzywamy się do Was przed progiem nowego kwartału:

Pamiętajcie, że każdy, kto w podobnem położeniu porzuciłby swe pismo polskie, podobny byłby do człowieka, który porzuca swego przyjaciela w niebezpieczeństwie.

Pokażcie hakacie, że *niema wśród nas zbiegów z pod chorągwi narodowej!*

Pokażcie, że każde aresztowanie, każda konfiskata przejmuje Was wszystkich tylko tem większą życzliwością dla naszego pisma, które niesie wśród masy ludu czysto polskiego ducha i budzi ospałych.

Zbytecznem rozpisywać się, że tej naszej działalności hakatyzm przypisuje dość ważną rolę polityczną, skoroby pragnął zmobilizować przeciwko nam wszelkie możliwe czynniki, mające na celu zniweczenie naszego wpływu i stłumienie rozwoju „Pracy.“

Czytelnicy! Dajcie dowód, że Polacy w nieszczęściu uczą się hartowności i nie zrażają się przeciwnościami. *Waszą pomocą, Czytelnicy, damy dowód polakożercom,* że choćby nie wiem jakie wpływy roztaczali i poruszali, nie wiem jakie sprężyny przeciwko nam, to duch polski się nie zmieni.

Naród polski nie jest narodem umarłym — lecz narodem żywym, mającym swą przeszłość chlubną, swe zasługi wobec cywilizacyi i swe zadania wobec kultury. Społeczeństwo nasze ma prawo do życia i tego prawa się nie zrzeknie, a *jeśli objawy tego życia polskiego, tej myśli polskiej drażnią czyje oko, to nie powód przecie, aby się wyrzec praw do bytu.* A im silniej uderzać będzie nawałnica hakatystyczna w ten najdonioślejszy objaw polityczny życia narodowego — w gazety polskie, tem silniej całe społeczeństwo *powinno prasę popierać* i ze zdwojoną energią jej wpływy rozszerzać.

Czytelnicy! „Praca“ wie, że we wszystkich Was ma przyjaciół, którzy jej nie odstąpią i nie staną się zbiegami z pod chorągwi. Ale to mało!

Dajcie nam dowód, *przez skrzętny zachód w celu pozyskania licznych nowych przedpłacicieli,* — że nietylko wiernymi przyjaciółmi politycznymi jesteście, ale że jesteście świadomi tej idei narodowej i obywatelskiej, która w nas wespół żyje.

W imię tej idei winniśmy hakacie odpłacić podwójną liczbą Czytelników, winniśmy wystawić pokwitowany rachunek za wszystko, co „Praca“ suto użyła w ubiegłym kwartale!

Za osadzenie w więzieniu trzech odpowiedzialnych redaktorów, za konfiskatę dwóch numerów, za wszystkie ranne i południowe i wieczorne rewizye — za to wszystko obrachujcie się w naszem imieniu, Czytelnicy:

„podawajcie „Pracę“ z ręki do ręki, zachęcajcie do abonowania, wskazujcie na ważne artykuły w ważnych sprawach społecznych, pamiętajcie *że dom, że rodzina, w której zagości „Praca,“ jest już posterunkiem wobec germanizacyi.*

Odzywamy się do Was dziś energiczniej może, niż kiedykolwiek, nigdy bowiem jeszcze, odkąd pisma polskie istnieją, nie wychodziło pismo w tych warunkach, jak wychodzi „Praca“. Nam nie dość współczucia Waszego, jakie towarzyszy każdemu ciosowi, w nas wymierzonemu: my czynnego od Was żądamy poparcia, Czytelnicy! *My żądamy, spodziewamy się od Was dowodu, że agitujecie nad rozszerzaniem naszych idei politycznych i że pracujecie wraz z Redakcyą nad tem,* ***aby zwiększał się zastęp politycznych naszych przyjaciół.***

A więc zjednajcie nowych abonentów! *Zdwojona liczba abonentów!* — taką niech będzie nasza odpowiedź na rewizye, konfiskaty, wydalenia i aresztowania!

U schyłku kwartału żegnamy Was, Czytelnicy i Przyjaciele, sercem całem, by Was u progu nowego kwartału całą duszą powitać!

Do widzenia więc...

„Praca“.

Waleczni izraelici.

„Nie chcę tu mówić nic o krwi, którą na polu bitwy przelali żydzi w obronie niemieckiej swej ojczyzny“ — tak zaczął swą przemowę na zebraniu poznańskich wyznawców Izraela wielce uczony izraelita i doktór obojga praw o charakterystycznem wschodniem brzmieniu nazwiska, pan Jaffé. Pominąwszy waleczne czyny swych współwyznawców, panJaffé stwierdził wśród wielkiego aplauzu słuchaczów mojżeszowego wyznania, że Poznańskie zawdzięcza niemal całą swą kulturę li tylko owym pejsatym kulturtregerom, którzy handlując skórkami zajęczemi, pożyczając pieniędzy na trzysta i więcej pro-

cent, wnosząc ze sobą brud i nieporządek, zamiłowanie wyzysku i zwyczaj podrabiania pieniędzy, od czasów Kazimierza Wielkiego osiedlać się zaczęli w miastach polskich.

Pan Jaffé, który proklamował tę cywilizacyjną spekulacyę żydowszczyzny w naszych dzielnicach, bardzo być może, odznacza się zręcznością w polityce i nie wątpimy, że gdyby został ministrem, na co kroi wyraźnie, to by zrobił konkurencyę panu Miquelowi w fabrykowaniu projektów antypolskich; ale pan Jaffé, o tak— sympatycznem brzmieniu nazwiska — historykiem nie jest. Gdyby cośkolwiek wiedział z historyi dzielnicy, w której mieszka i której chleb ze smakiem zajada, byłby bez wątpienia inaczej przedstawił i tę rzekomą cywilizacyjną misyę żydów w Poznańskiem od zamierzchłych czasów aż do teraźniejszości — i to przelewanie krwi żydowskiej za Niemców.

Gdy żydzi tłumnie się zaczęli osiedlać w Polsce, to nie czynili tego bynajmniej w poczuciu jakiejś cywilizacyjnej misyi, jakby to dziś chcieli przedstawiać, ale poprostu dlatego, że musieli uciekać z całej zachodniej Europy, gdzie ich spotykały prześladowania i prawa wyjątkowe. Więc kłamstwem jest twierdzić, że nieśli oni do nas jakąś kulturę Zachodu: owszem, oni uciekali właśnie przed tą kulturą zachodnio-europejskich państw, jak przed morowem powietrzem i to uciekali do Polski, jako do państwa, które nie rządziło się tak barbarzyńskiemi prawami wobec obcych i dało im u siebie przytułek, nie przeczuwając, że ogrzeje na swem łonie taką — żmiję. Prześladowani w całej Europie, paleni na stosach, opodatkowani wyżej sił i możności, zmuszani do przyjmowania chrztu, żydzi udali się do Polski, widząc, że tu na tej naszej ziemi więcej znajdą tolerancyi, świadczącej o prawdziwej kulturze ducha, niż na całym Zachodzie.

To nam mówi historya. Historya o rządach w Polsce mówi nam jednak nieco więcej. Ona oświetla tę ich rolę, jaką spełniali wpośród naszego narodu przez całe wieki — w sposób tak ujemny, tak źle świadczący o nich, że nie czynnik cywilizacyjny, lecz czynnik destruktywny społecznie w nich widzimy na każdym kroku.

Takimi, jakimi ich widzimy dziś, byli oni zawsze. Zawsze stawali po stronie mocniejszego, zawsze schlebiali tylko silniejszemu, a deptali słabych. Żydzi w Polsce niemało przyczynili się do smutnego stanu warstw chłopskich, oni bowiem największe ciągnęli zyski z tego, gdy szlachta ścisnęła chłopów żelazną obręczą praw wyjątkowych.

Znane są zasługi żydów w Polsce około wytworzenia polskiego przemysłu i handlu: im to kraj nasz ma do zawdzięczenia, że nie posiadał do niedawna jeszcze ani handlu, ani przemysłu we własnych rękach, że brak mu było w chwili stanowczej tego mieszczaństwa, tych warstw średnich, na których w upadku opierały się inne narody europejskie. Ale jakżeby mógł był powstać u nas stan średni mieszczański, gdy żyd trzymał w ręku cały handel, gdy wyzyskiwał rzemieślnika, dzierżawił podatki i cła, zmonopolizował całe działy produkcyi w swych rękach i doszedł wreszcie do tego, że — jak po dziś dzień w Galicyi — uważa kraj ten za swój, a jego prawowitych mieszkańców za oddanych mu z woli losu na łaskę i niełaskę ludzi drugiego rzędu?

Lecz spojrzyjmy na najnowsze czasy: wszędzie na losach naszego społeczeństwa ujrzymy podkopującą fundamenty normalnego rozwoju dłoń owych obcych przybyszów, których Polska niegdyś gościnnie przyjęła.

Dziś jeszcze widzimy, te całe gałęzie przemysłu, gdzie ludność chrześcijańska oddana jest zupełnie na łaskę żyda, gdzie żyd ustanawia ceny, żyd sobie sam stanowi wysokość procentu od pracy robotnika. A w zżydziałej Galicyi widzimy potworny nowotwór społeczny: żyda gospodarzącego na roli i traktującego ją jako przedmiot handlu.

Tak wyglądają u nas ci posłańcy kultury!

Lecz polityczna ich rola gorszą jest jeszcze od społecznej.

Jest to żywioł, który się nie asymiluje. Od wieków stanowił on politycznie obce ciało w organizmie społecznym Polski. Niebezpieczeństwa, jakiem to groziło, nie widać było na razie, póki Polska była państwem niezależnem politycznie. Ale skoro straciliśmy wolność polityczną — wtedy w całej nagości przed nami stanęło to niebezpieczeństwo, powstałe wskutek politycznej odrębności żydów.

Wszędzie, gdzie tylko żywioł polski był żywiołem słabszym politycznie, żydzi przeszli na stronę obcych i stali się według potrzeby niemieckimi, austryackimi lub rosyjskimi „patryotami.“

Pomijamy Królestwo Polskie, bo tam — jak i w dzisiajszej Galicyi — żywioł polski jest żywiołem panującym i dlatego żydzi koło niego się gromadzą. W Królestwie, jako w tej części naszego kraju, gdzie najsilniejszem tętnem bije życie polskie, znajdujemy całe pokolenia z pochodzenia żydowskie, z zapatrywań polskie. Mamy to dziś i w Galicyi. Przecież nawet żydzi w małych miasteczkach galicyjskich uczuli się do tyla patryotami polskimi, że rzucili wielką kahalną klątwę na Rebi Jaffégo z Poznania za to, że oświadczył, kim są żydzi poznańscy.

Ale cofnijmy się wstecz lat zresztą niewiele, gdy żywioł polski w Galicyi był żywiołem uciskanym, gdy nie miał władzy, samorządu i wpływów politycznych — a przekonamy się, że wtedy galicyjscy żydzi byli takimi dobrymi „patryotami austryackimi czarno-żółtej barwy, jakimi dziś są żydzi w Poznańskiem.

Spojrzyjmy na żydów na Litwie. Wszak tam niema gorszych prześladowców polskości! Na kresach — Podolu, Wołyniu tam wszędzie żydostwo obraża się, gdy

przemówić doń po polsku, bo ono tylko „urzędowy język rosyjski“ zna i szanuje.

A w Poznańskiem? Wszak widzimy, co za patryotów pruskich wychowała sobie w postaci żydów ta ziemia wielkopolska! Oni roszczą sobie nawet tytuł cywilizatorów tej ziemi!

Ale mało tego. Wszak pan Jaffé powiedział nawet coś o krwi, którą przelewali żydzi. Warto coś o tej krwi, którą przelewali, przypomnieć z dziejów naszej prowincyi.

Tak jest — żydzi przelewali krew — ale polską. Historya nieszczęsnego 1848 roku świadczy wyraźnie, że żydzi swym zwyczajem pierwsi zaczęli krzyczeć, że *ich mordują*, gdy wskutek zawieruchy politycznej ustał handel. A gdy wreszcie siła zbrojna, dziesięćkroć silniejsza od polskiej, stłumiła ruch polski, wtedy waleczni synowie Izraela urządzali tak zwane freikury — to jest wolne oddziały zbrojne i pod pozorem porządkowania prowincyi napastowali bezbronnych Polaków, którzy, po złożeniu broni, jak dzikie zwierzęta, kryli się po lasach i bagnach.

Nie będziemy wyliczać tych wszystkich czynów bohaterskich, jakie spełnili wtedy poznańscy żydzi. Zadaleko by to nas zaprowadziło. Dość rzec, że powszechnie znęcali się nad rannymi Polakami.

Jeśli się dziś garną do niemieckiego *Vaterlandu* — to dobrze. My, Polacy, choćbyśmy się kiedy w przyszłości znaleźli w położeniu takiem, że znowu by nam się żydzi kłaniali, skwitujemy już z ich sympatyi. Niech darzą nią Prusaków! Nie możemy Prusom życzyć lepszego nabytku. W Europie na żydach jeszcze żaden naród nie zrobił interesu, na każdym zaś oni robili interesy.

Za otwartą deklaracyą p. Jaffégo możemy być wdzięczni. Wiemy z kim mamy do czynienia, wchodząc w stosunki z żydami. Wiemy, że straty nas czekają, jeśli co rychło nie otrząśniemy się z resztek zależności od żydów i nie przestaniemy popierać ich przemysłu i handlu. I możemy pana Jaffégo zapewnić, że *nauka nie pójdzie w las*...

Wrócimy też jeszcze do tej kwestyi! *Vester.*

Na pierwszy semestr.

Zbliża się czas wakacyi wielkanocnych, co kilka dni czytamy teraz w gazetach naszych wiadomość, że w gimnazyum tego lub owego miasta odbył się egzamin abituryencki i że tylu a tylu z naszych rodaków chlubnie go złożyło. Niejednemu z czytających nasunie się przytem samo przez się pytanie, co też młodzieńcy ci, gimnazyum właśnie kończący, teraz z sobą poczną, na jakie pójdą studya, jaki wybiorą uniwersytet, w którą stronę świata się obrócą.

Może nie od rzeczy będzie przeto poruszyć tutaj kilka myśli, z którerni od dość dawna się noszę, a z których niektóre już „Praca“ w piśmie swem podnosiła; poruszyć je i przypomnieć w nadziei, że może się na co przydadzą, że mianowicie ci młodzi, których one najbardziej dotyczą, wezmą je pod baczną rozwagę.

Nie mam ja i nie mogę oczywiście mieć zamiaru radzić, jaki kto zawód wybrać powinien; niech tutaj każdemu zdolności i zamiłowania jego drogę wytkną i najlepszym będą doradcą. Jeden wzgląd wszakże i to wzgląd społeczno-narodowy, powinien przy wyborze zawodu mieć u naszej młodzieży znaczenie wielkie, głos rozstrzygający. Każdy młodzieniec opuszczający dzisiaj ławę gimnazyalną, winien w sobie widzieć już przyszłego obywatela, to znaczy mieć już to głębokie poczucie, że w przyszłości w swoim zawodzie pójdzie na służbę narodu uciśnionego i że jako wierny jego syn usługi jemu oddać winien. W trudnych warunkach, w jakich my tutaj w Poznańskiem żyjemy, tocząc z dnia na dzień twardą walkę o narodowość, każda dłoń, każda jednostka, każden mąż coś znaczy, — może znaczyć wiele. Z początku zaraz winna się przeto jednostka każda tak kierować, by w przyszłości mogła znaczyć jak najwięcej; wtenczas tylko możemy być pewni zwycięstwa, jeżeli zalewowi obcemu stawimy w poprzek wał cały ludzi dzielnych, niewzruszonych ***samodzielnych*** i ***niezależnych***, niech oni będą jak te „kamienie“ przez Boga rzucone na szaniec. Podkreślam naumyślnie *samodzielnych* i *niezależnych*, nie w tem zrozumieniu, bym z przyszłości naszej dzisiejszej młodzieży wykluczał stosunek zależności ucznia do mistrza, podwładnego do pryncypała, ale mam tutaj niezależność w służbie publicznej na oku, niezależność, która każdemu daje dopiero możliwość być czynnym członkiem polskiego społeczeństwa, w pracach jego brać żywy udział. Niezależności tej, tem samem społecznej działalności zrzec się musi każdy, kto w dzisiejszych warunkach szedłby jeszcze w rządową służbę pruską. Zatem każdy młodzieniec, który w pełni czuje się Polakiem, który goreje pragnieniem służyć w pełni swoim, — skreśli przy wyborze przyszłego zawodu swego, wszystkie te zawody, które by go w przyszłości stawiły w służbę rządu pruskiego. Nie obierze więc sobie ani karyery pocztowej, ani nauczycielskiej, lub jakiejkolwiek innej, w której by był pruskim urzędnikiem. Bo bez względu na to, czy go w przyszłości, w interesie służby przeniosą, rzucą gdzieś między Niemców, czy też go w kraju zostawią (rzecz dzisiaj wykluczona) on dla swoich i tak jest prawie stracony; bo tak go otoczą i osaczą, tak mu będą chcieli zajrzeć w serce i mózg, tak zrobić zeń Prusaka, że mu życie bólem i męką się stanie. — A więc wbrew dotychczasowym nawoływaniom prasy, zachęcającym młodzież do studyi filologiczno-historycznych, do kształcenia się na pedagogów gimnazyalnych, ja chciałbym każdego przestrzedz przed zawodem nauczycielskim, specyalnie właśnie gimnazyalnym. O tem, by go w kraju zostawili, mowy być nie może, poszlą go więc gdzieś nad Ren, by tam jadł gorzki ich chleb pruski. Lecz mniejsza o niego, ale społeczeństwo na tem traci, gdy mu się ludzie dobrowolnie usuwają. My nie mamy na to, na takie szafowanie siłami! Gdy sztandar w niebezpieczeństwie, szeregi się przerzedzają, cóż wart ten młody, który dobrowolnie z szeregów ucieka? toż on sprzedaje się za przyszłą swoją pensyą, choćby i ona 7 do 8 tysięcy marek wynosiła szczyt marzeń dla niektórych — zjadaczy chleba!

Oto punkt jeden, który chciałem poruszyć; powtarzamy raz jeszcze: kto dzisiaj czuje się w pełni Polakiem, ten sobie nie wybierze zawodu, któryby go w przyszłości stawił w stosunek służbowy do rządu pruskiego.

Druga myśl uwagi godna, dotyczy miejsca, w którem młodzieniec ma studya swe rozpocząć. Zazwyczaj wybieramy zaraz Berlin, Lipsk, Wrocław lub Monachium. Najniesłuszniej w świecie! Młodzieniec, który przez lat dziewięć, albo więcej, siedział w prusko-niemieckiem gimnazyum, gdzie dopełniono na nim najróżniejszych germanizacyjnych operacyi, dostaje się z deszczu pod rynnę, bo w wielkie centrum życia niemieckiego, ze wszystkiem złem i dobrem, które ono daje i wszystkiemi porami swojej młodej wrażliwej duszy poczyna sączyć w siebie niemczyznę. Otóż tutaj musi nastąpić koniecznie zmiana.

Mamy przecież dwa uniwersytety krajowe, w Krakowie i Lwowie, tu i tam pulsuje ożywiony ruch umysłowy polski, tu i tam pomniki historyczne potężnym głosem przemawiają do duszy i wieki minione stawiają przed oczy, budząc nadzieje lepszej przyszłości!

Więc kto tylko może, niech na początek studyów jedzie do Krakowa lub Lwowa! Będzie to wprawdzie połączone z pewnym kosztem, wypadnie bowiem później semestr jeden dołożyć (spędzonych w Galicyi Niemcy nie liczą) ale cóż znaczy ta strata w obec ogromnej korzyści, ogromnego dorobku, jaki ztamtąd każda polska dusza wywozi. Więc raz jeszcze: Kto tylko może, niech na pierwszy semestr jedzie na jeden z uniwersytetów krajowych.

Przypominam sobie, ze „Praca“ raz już ważną tę rzecz poruszała; dlatego nie tracę nad nią już słów więcej; niech rzecz sama za siebie mówi, niech mówią za siebie te stare miasta polskie, zaiste „centra polszczyzny.“ Do nich to dzisiaj stosować trzeba te rzewne słowa:

„Tam się człowiek napije, nadysze Ojczyzny!“

Soplica.

Na czasie.

Niechże mi wolno będzie przypomnieć sprawę, którą poruszał przed niedawnym czasem wasz stały współpracownik „Poznańczyk“, sprawę ważną i o wybitnem znaczeniu społecznem. Dotyczy ona społecznej, obywatelskiej współdziałalności naszych studentów uniwersyteckich w czasie wakacyjnym; dlatego warto i trzeba poruszyć ją znowu właśnie teraz, kiedy się większość akademików już do swoich kątów rodzinnych porozjeżdżała na dłuższy przeciąg czasu.

Autor rzeczonego artykułu rzucił wówczas myśl i stawił żądanie, aby młodzież akademicka, bawiąca na wakacyach, brała żywszy udział w życiu towarzystw istniejących, nieraz ledwo wegetujących, po naszych miastach, miasteczkach uczęszczała na posiedzenia tychże towarzystw, czy to robotniczych, czy rzemieślniczych, czy przemysłowych i wypełniała w części posiedzenia te odpowiednim odczytem, starała się wogóle wejść w żywsze czucie z życiem umysłowem mieszkańców swojej okolicy i w życie to, o ile możności, jakiś świeższy wprowadziła prąd.

Myśli tej każdy z młodych ludzi *dobrej woli i skorego czynu* przyklaśnie i żądanie takie uzna za słuszne. Niestety często się dzieje, że „akademik,“ przyjechawszy z miasta uniwersyteckiego Berlina, Lipska, Wrocławia, czy Monachium do domu na prowincyą, otacza się jakimś nimbem, jakoby mu ten pobyt na uniwersytecie był już tytułem do zasługi i pozwalał na wyłączenie się ze swego otoczenia, na obojętność dla spraw jego. Otóż nie żądamy od młodzieży naszej, by w czasie wakacyi uprawiała politykę w swoim powiecie, ale tylko, żeby się czuła żywymi członkami, żywemi ogniwami społeczeństwa i otoczenia, z którego wyrasta. Pobyt na uniwersytecie ma z młodzieńca zrobić nietylko dzielnego fachowca, który będzie w przyszłości własną wypychał kieszeń, ale ma zeń zrobić czynną, użyteczną cząstkę tegoż społeczeństwa. Nie ukrywajmy sobie tego, że młodzież nasza zmuszona nieszczęsnemi warunkami bytu naszego wyjeżdżać na obczyznę, gorzej, bo w centra niemczyzny, jest w wysokim stopniu narażona na zatracenie, a choćby osłabienie tego współczucia i współmyślenia ze swymi. Czas wakacyjny powinna więc młodzież akademicka wyzyskać właśnie w tym kierunku, by niejedne struny duszy swej pobudzić znowu i ożywić, zadzierzgnąć silniej węzeł łączący ją ze swymi.

Nie ma, zdaniem mojem, na to lepszego i skuteczniejszego środka nad ten, by uczęszczać na posiedzenia rzeczonych towarzystw po wsiach, miastach i miasteczkach i wygłaszać na nich odpowiednie odczyty.

Korzyść z takiej akcyi rzetelnie podjętej będzie podwójna: raz zyskają młodzi sami zrastając się silniej ze swojem społeczeństwem i zdobywając sobie pierwsze obywatelskie zasługi; po drugie zyskają towarzystwa, skoro niejedna zdrowa myśl wśród nich poruszoną, oświata szerzoną bedzie.

Zgadzam się zupełnie z „Poznańczykiem“, że do takiej działalności nie potrzeba żadnej wyraźnej organizacyi, wystarcza kilkunastu młodych ludzi o dostatecznem poczuciu obywatelskiem, którzy rozjeżdżając się na wakacye, zobowiążą się nawzajem, uczęszczać na posiedzenia ludowych towarzystw istniejących w miejscu ich zamieszkania i wygłosić na nich dwa, trzy, choćby jeden odczyt. Myśl tak uczciwa, może być tak bogatą w dodatnie skutki, że powinna znaleść chętnych i skorych do wprowadzenia jej w czyn. To też nie wątpię, iż znajdzie się zastęp cały tych, co pomni słów Słowackiego, że „na sztandarach jak pies się położył“ i że „dla Ojczyzny sterał swoje lata młode“ w ten sposób choć cząstkę sił swych młodych oddadzą swoim na usługi.

Były akademik.

Nasze towarzystwo poznańskie.*)

II.

W obec długiej przerwy czasu, dzielącej artykuł niniejszy od ostatniego,

*) Na tak liczne zapytania, dlaczego nie umieszczamy dalszej seryi artykułów niniejszych, które już wstępem swym tyle obudziły zajęcia, odpowiadamy, że nie z naszej winy zwłoka ta nastąpiła. Artykuły bowiem dostały się przy rewizyi w ręce policyi, i musieliśmy się zwracać do autora tychże z prośbą o ponowne ich skreślenie; wiadoma zaś rzecz, jak niechętnie ludzie pracy umysłowej powtarzają to, co raz już napisali. *Redakcya.*

ogłoszonego pod tymże tytułem, (patrz Nr. 8 „Pracy“) może nie od rzeczy będzie powtórzyć dane tamże określenie wyrazu „towarzystwo“ i przypomnieć znaczenie, jakieśmy w wyraz ten, zgodnie z duchem naszego języka, włożyli.

Zwróciliśmy tamże uwagę na podwójne wyrazu tego znaczenie: Nasamprzód rozumiemy przezeń jakieś ograniczone liczbą grono ludzi t. zw. członków, związanych ze sobą wspólnym, praktycznym, widocznym celem czy zawodem, mających swoje ustawy obowiązujące członków i jako wyraźny związek mogące tylko istnieć z pozwoleniem państwowej władzy. Po drugie rozumiemy, w potocznem słowa tego znaczeniu, przez „towarzystwo“ tych ludzi, którzy w miejscu swego zamieszkania, w okolicy jego bliższej lub dalszej, dla społecznego swego stanowiska lub dla jakiegokolwiek innego przywileju *do pierwszych wśród swoich należą i innym przodują.* To jest zewnętrzną cechą towarzystwa; wewnętrznem zaś jego znamieniem jest, że ci ludzie nie związani ze sobą żadnemi wyraźnemi ustawami, nie ograniczeni żadną liczbą, zbliżeni są do siebie jedynie wymaganiami duchowemi, estetycznemi, mają wspólne potrzeby i upodobania umysłowe, mają jakoby wspólną krainę myśli i uczuć estetycznych i jedynie miarą i mocą tychże do sobie się dostosowują.

My, chcąc pisać obecnie o towarzystwie poznańskiem, mamy drugie słowa tego znaczenia na oku.

Charakterystycznem znamieniem towarzystwa jest więc pewna wyżyna *pojęć i potrzeb* duchowych, pewne wyrobienie estetyczne; nie potrzeba dodawać, że wyżyna ta różną bywa wśród różnych ludzi i społeczeństw, że więc „towarzystwa“ różnych miejscowości odmienne miewają fizyonomie, o ile różnemi są ich gusta i wymagania duchowe i estetyczne. Ludzie należący do „towarzystwa“ w Pacanowie lub Bachorcu n. p. może nawet ton w nich nadający, zginą zupełnie i przejdą niepostrzeżenie w miejscowości, której życie umysłowe o wiele żywszem bije tętnem, której potrzeby umysłowe do wyższej podniesione są potęgi. Jeżeli pewne, bliżej nie określone napięcie pojęć i potrzeb duchowych, pewień, że się tak wyrażę, *duchowy dobytek i dobrobyt* jest piętnem i znamieniem towarzystwa, to nie mniej pewien dobrobyt materyalny, majątkowy jest jego warunkiem nieodzownym, gruntem, na którym ono dopiero może wyrosnąć. Stąd się dzieje, że tak zwane „towarzystwo“ składają zazwyczaj sfery majątkowo lepiej od innych wyposażone, materyalnie nie zależne, niepotrzebujące staczać z dnia na dzień twardej i wyczerpującej walki o byt, o chleb powszedni. Nie trzeba jednakże warunku tego i *zewnętrznego* objawu brać za istotę rzeczy; nie zawsze tam, gdzie warunki sprzyjają, gdzie grunt jest podatny, wyrasta najprzedniejszy kwiat umysłowego rozwoju, a jakże często po za błyskotliwą draperyą materyalnego dobrobytu kryją się przerażające duchowe nędze!

Dawniej, kiedy całe życie polityczne i narodów koncentrowało się wyłącznie na dworach królewskich, kiedy dwór był środowiskiem umysłowego życia narodu, tak zwane koła dworskie stwarzały towarzystwo, dwór i gromadząca się w okół niego wysoka arystokracya rodowa brały na siebie rolę pielęgnowania nauk i sztuk pięknych; później zaś w miarę demokratyzowania się społeczeństw ludzkich te najprzedniejsze wytwory ducha ludzkiego, będące przedtem prawie w wyłącznem posiadaniu „sfer najwyższych“ poczęły się demokratyzować, rozchodzić na coraz to szersze warstwy społeczne. W ostatnim mianowicie wieku przetrawiającym zdobycze rewolucyi francuskiej poczęła bogata burżoazya w tym względzie współzawodniczyć z tamtymi, otwierać swoje salony, gromadzić w nich „towarzystwo“. Stąd widzimy, że każde z miast większych na Zachodzie i Południu Europy, z miast będących pewnem centrum życia umysłowego, ma swoje sfery zwane wyłącznie „towarzystwem“. U nas w Polsce, nieszczęsne warunki polityczne zezwoliły właśnie tylko w Warszawie, Lwowie i Krakowie na wytworzenie się towarzystwa, a więc tych warstw, które mają jakieś wyższe i do pewnego stopnia wspólne pojęcia, wymagania, potrzeby umysłowe, i to potrzeby domagające się z nieprzepartą siłą zaspokojenia.

Każdy z nas mówiąc o „towarzystwie“ poznańskiem, ma w tej chwili na myśli tych ludzi, którzy z tych lub owych względów stoją — jak się to zwykle mówi — na czele naszej ludności polskiej w Poznaniu. Któż to taki u nas? Kilkunastu lekarzy, kilkunastu adwokatów, kilku redaktorów, ot i wszystko; boć przecież ta garstka szlachty, co glebę ojczystą może nawet kolonizacyi sprzedawszy, teraz na bruku miejskim próżniaczy wiedzie żywot, tych epigonów minionych pokoleń, rozbitków świetnej przeszłości, nie możemy zaliczać do czoła naszego dzisiejszego społeczeństwa. Tak więc życie umysłowe miasta naszego koncentruje się, do najwyższego swego dochodzi rozwoju w kilkunastu, nie chcę powiedzieć kilku domach. Czy domy te, a właściwiej ich rodziny stanowią jakąś całość zbliżoną do siebie, jakoby zbratańą wspólną sferą myśli i uczuć, wspólnemi potrzebami duchowemi? Uchowaj Boże! to wszystko żyje *obok siebie,* ale przecież nie *ze sobą,* rozbite na drobne „paczki“; ileż jest ambicyjek ciasnych dzielących koteryjkę od koteryjki. Raz wraz pan radzca X. lub pan dyrektor Z. wyda u siebie wieczór lub raut, zaprosi kilkanaście, choćby kilkadziesiąt osób, i wtedy na jego pokojach dojrzewa najprzedniejszy owoc naszego „towarzyskiego“ życia. Przecież nie sam fakt wydania rautu lub wieczoru, a choćby balu, jest wykwitem towarzyskich stosunków, ale nastrój cały, ale duch na zebraniach takich panujący. Nie chciałbym ja powtarzać tutaj niejednej rozmowy, której sam byłem słuchaczem, gorzej, bo współgadającym; bałbym się, że spadnę do poziomu zwykłego gadulstwa. Któż zresztą podsłuchuje to, co się w domach prywatnych mówi, skoro może do wniosków tych samych dojść, obserwując szerszy nieco obszar życia publicznego. Choć kilka kłosów podniosę ze smutnej, szarej jego niwy!

Pamiętamy jeszcze wszyscy zarzuty, jakie przed niedawnym czasem ludzie mniej lub więcej niepowołani podnieśli przeciwko dyrekcyi teatru naszego o to, że repertoar teatralny na nie dość wysokim utrzymuje poziomie. Zapomnieli snać ci malkontenci, że każdy dyrektor teatru będzie jakoby badawczą swą rękę trzymał na pulsie publiczności i do jej gustów repertoar dostosowywał. Dlaczegóż u nas, już nie mówię na sztukach poważnych, na tragedyach, ale prawie na wszystkich sztukach, które nie są farsami, teatr, przeważnie loże, puste, a zapełniają się jedynie na farsach, choćby najpospolitszych? Bo te farsy odpowiadają najlepiej niewybrednym gustom, niewygórowanym wymaganiom naszego poznańskiego „towarzystwa“. Taki wieszcz, jaki słuchacz — taki teatr, jaka publika. Nic może nie daje tak dobrze miary i pojęcia o potrzebach umysłowych publiczności i jej gustach, jak właśnie miejscowa scena i jej repertoar.

Chciałbym przewidzieć, jak długo utrzyma się też u nas „Sen srebrny Salomei“ na deskach teatralnych?

Pamiętacie, państwo, jeszcze czasy „Przeglądu Poznańskiego“? Wiecie dlaczego on upadł? Przecież nie dlatego, że redaktor jego popełnił niejeden taktyczny błąd, że wykonał niejeden psychologicznie źle obmyślany zamach, że stanąwszy „Na wyłomie“, nieraz rąbał i rąbał: ludzie mają grube skóry i twarde czaszki. Ale po prostu dlatego, że redaktor „Przeglądu“ wziął — jak na Poznań — od razu wzlot za wysoki i za wysoko chciał czytelników swoich ze sobą porwać. Opalił sobie skrzydła, spadł i siły do nowego wzlotu wśród nas nie znalazł. Zwykły los Dedala!

Jeszcze jedno: mamy tu w Poznaniu od lat kilku Towarzystwo kobiet, które

wzięły sobie za zadanie pomagać sobie nawzajem w rozwoju umysłowym, wzajemnie zaspakajać swój głód duchowy i założyły „Czytelnię dla kobiet.“ Czy najuczciwszy i wzniosły ten cel doznał odpowiedniego przyjęcia i poparcia? — Cóż znowu! — pokątnie mówi się z przekąsem o emancypantkach, a nawet ze strony prasy odsyłano kobiety z Czytelni do kuchni i pralni. I nie dziw, bo proszę iść do księgarzy naszych polskich i zapytać, co też nasz ogół, a mianowicie nasze kobiety zwykły czytywać. „Menu“ wcale nie ciekawe, może istotnie przypomniałoby kuchnię.

Lecz dosyć wyliczania tych smutnych objawów naszego życia umysłowego wśród naszego towarzystwa; zdaje mi się, że dosyć ich, by uzasadnić niemi wniosek, że nasz ruch umysłowy, nasze potrzeby duchowe bardzo skromne zataczają kręgi, jeżeli w ogóle nie znajdują się w stanie zastoju.

Gorzka to mowa i cierpkie wyrazy; nie użyłem ich po to, by mówić najbliższym swym rzeczy przykre, ale by się razem z nimi nad stanem umysłowości naszej zastanowić, chociażby i smutnemi były moje refleksye. Niebawem będę się starał zbadać przyczyny naszej bezkrwistości umysłowej i wykazać, dlaczego w danych naszych dzisiejszych warunkach, prawie niemożliwie pchnąć życie nasze umysłowe innem korytem i żywszy wprowadzić w nie prąd.

Poznańczyk.

Wiec w Witkowie.

Wspaniała manifestacya rozbudzonej myśli politycznej wśród najszerszych warstw naszego ludu! Cześć Wam, panowie wiecownicy i panowie mówcy, którzyście w jędrnych, prostych a szlachetnych słowach napiętnowali system pruski, dali wyraz naszym wspólnym nadziejom i cierpieniom, dali wreszcie dowód, że lud polski nie pod wpływem jakiejś agitacyi, lecz pod wpływem doznawanych represyi, budzi się do życia politycznego i woła jednym wielkim głosem: *Sprawiedliwości!*

Tak jest! Sprawiedliwości i praw naszych słusznych domagamy się! Niechaj na każdym wiecu polskim rozbrzmiewają te słowa: *sprawiedliwości!* bo nie w milczeniu i pokorze przyjmować ma upośledzenia lud nasz, ale z energicznem słowem protestu na ustach.

Cześć Wam, wy wszyscy, którzyście dali dowód, że serce w Was bije polskie i jedno uczucie pierś Waszą ożywia: poczucie obowiązku obrony sprawy narodowej i poczucie obywatelskiej równości.

Dawno już na wiecach nie słyszeliśmy tak jędrnych, prosto z serca płynących słów, jak w Witkowie. Niechaj ten śmiały duch obywatelski, który ożywiał wiecowników witkowskich, ożywi cały lud polski i niechaj każdy, czy to robotnik, czy kmieć, — pamięta, że jest obywatelem kraju i że ma prawo głośno i dobitnie zaznaczyć swe niezadowolenie, swój protest z powodu upośledzenia ludności polskiej. Niech się nikt nie obawia, mówiąc, że słowa jego ostre i smagające jak biczem system pruski, popsują jakąś robotę polityczną, misternie nawiązaną w Berlinie.

Nie z uniżonemi petycyami do stóp tronu, żebrząc łaski, ale ze słowem energicznego protestu wobec ministrów, odpowiedzialnych za wszelkie naruszenia konstytucyi powinien się zbliżać lud polski do sfer berlińskich. Niech tam w Berlinie wiedzą, że nasz lud głośno woła *sprawiedliwości* i doczekać się jej nie może — a echo tego głosu słychać i poza granicami Niemiec, w Wiedniu i w Warszawie.

Przebieg wieca był świetny.

Rzemieślnicy i włościanie nachodzili różnych członków komitetu zeszłego wieca i koniecznie żądali zwołania wieca wobec najnowszych weksacyi antipolskich, jak rozporządzenia ministra Studta, hakatyzmu pocztowego i wojskowego i t. d. Lud sam czuł potrzebę głośnego objawienia swego protestu przeciw tym nieustającym prześladowaniom, naglił komitet do urządzenia wieca, dostarczył mu głównego kontyngensu mówców i to mówców, których powiatowi witkowskiemu miasto Poznań mogłoby pozazdrościć. Jak urządzenie tego wieca było gorąco odczutą potrzebą ludu, dowodem tego owe tłumy, które zapełniły miasteczko, a następnie obszerną, prawie jak Bazarowa w Poznaniu wielką salę p. Kołodzieja. Wiec zagaił p. Ignacy Winnicki, mieszczanin witkowski, następującem krótkiem, pięknem przemówieniem:

Kochani Rodacy!

Witam Was, żeście się tak licznie zebrali, wdzięczni jesteśmy Wielebnemu Duchowieństwu i obecnej inteligencyi za łaskawy współudział i poparcie w tak ważnej jak wiec sprawie. Najnieszczęśliwszym i najbardziej prześladowanym ze wszystkich europejskich szczepów jest naród polski. Dopóki Polska była samodzielną i niezależną, wszelkiemi siłami odpychała wszelkie najazdy nietylko szwedzkie, mongolskie, tatarskie, ale i inne. Wiele krwi przelała, wiele ofiar poniosła, broniąc Europę od zniszczenia. Jeden tylko Bóg policzyć i wynadgrodzić nam to może. Lecz skoro naród polski spełnił swe zadanie wobec Europy, natenczas ta sama Europa, widząc nas walkami osłabionych, z wdzięczności za obronę Wiednia na nasz rozbiór pozwoliła. Biada zwyciężonym, mówi przysłowie, które się na nas okropnie spełniło.

Jednem pociągnięciem pióra usunięto język polski z wszelkich czynności rządowych, wydalono 40 tysięcy braci naszych z granic państwa pruskiego, uchwalono 200 milionów marek na wykupienie przeważnie ziemi polskiej, do tego walka kulturna z kościołem, oto momenta tej niekrwawej, ale bardzo bolesnej dla nas sprawy. Najnowsze rozporządzenie ministra oświaty, zakazujące uczenia dzieci naszych religii w języku ojczystym, jest czynem, na który się godzić nie możemy, boby nas Pan Bóg bardzo ciężko za to skarał. I cóż nam czynić wypada? oto bronić się i dochodzić sprawiedliwości na drodze legalnej i prawem dozwolonej. Inni mówcy skargi nasze osobno wypowiedzą. Ja z mej strony, otworzywszy niniejsze zebranie, pozwalam sobie poprosić na przewodniczącego księdza radzcę Nożewnika, aby naszym obradom nietylko przewodniczyć, ale i na naszym czele stanąć zechciał.

Hucznemi oklaskami przyjęto przemówienie pana Winnickiego, po którem ks. dziekan i radzca Nożewnik objął przewodnictwo.

Pierwszym mówcą był kowal Zamiara z Mielżyna,*) który w wymownych słowach przedstawił wielką szkodę, jaką dla religijnego wychowania dziatwy polskiej przedstawia udzielanie jej nauki religii w obcym, niezrozumiałym języku, oraz zupełny brak należytej nauki języka polskiego w szkole.

Drugi mówca, fornal Wojciechowski z Małachowa pod Witkowem, śmiałością wystąpienia, pewnością siebie i trafnością wywodów swego prostego przemówienia wręcz w zdumienie wprawiał słuchacza, mianowicie gdy tłomaczył „wielemożnym panom ministrom, jak fałszywe są ich berychty.“

Mowa zaś następnego mówcy, gospodarza Wojciecha Brzezińskiego,

*) Wszystkie mowy zamieszczone w całej rozciągłości w niniejszym numerze w dalszym arkuszu. — Przyp. Redakcyi.

przepełniona pysznym humorem i rymowanemi zwrotami, wręcz oczarowała wszystkich. Co chwila wybuchały homeryczne salwy śmiechu. Dowcip i przysłowiowy rozum chłopski walczyły w tej formie o palmę pierwszeństwa.

Po tych mowach włościańskich wstąpił na mównicę ks. Wincenty Mierzejewski, proboszcz z Niechanowa i zreasumowawszy wywody preopinantów, zaznaczył, że były w nich i różne ucieszne dykteryjki, ale i przez nie, jak i przez wszystkie inne wywody, ciągnął się jak nić czerwona bolesny jęk, że nam źle na świecie, źle w szkolnictwie, źle we wszystkich dziedzinach publicznego życia. Ale — wywodził dalej dzielny mówca — nie wolno nam poprzestać na samych skargach, trzeba protestować przeciwko dziejącej się nam krzywdzie, a w domu robić swoje, ojciec i matka winni dzieciom zastąpić szkołę i pracować usilnie nad młodem pokoleniem, żeby nie zatraciło tego, co odziedziczyło po rodzicach i przodkach. W tej myśli przedłożył zebraniu następujące rezolucye:

„Żądamy od królewskiego rządu:
1) wykładu religii świętej w języku polskim,
2) zaprowadzenia nauki obowiązkowej języka polskiego.

Dopominamy się o powyższe prawa nasze i postanawiamy wytrwale się o nie starać i dopominać u królewskiego rządu i to jak najenergiczniej na wszelkich legalnych drogach, innego nie potrzebując uzasadnienia, jak proste odwołanie się do konstytucyi państwa, do słów króla pruskiego, Fryderyka Wilhelma III, któremi uroczyście nam przyrzekł, że religia nasza katolicka ma być utrzymaną, a język nasz ojczysty używanym we wszystkich publicznych postępowaniach.“

Trzykrotne jednomyślne „zgadzamy się!“ zerwało się jak grzmot potężny z piersi zebranych, zapał panował na sali nieopisany.

Świetną była następna mowa mieszczanina witkowskiego, Józefa Połczyńskiego, siodlarza z zawodu, o hakatyźmie wojskowym.

Dzielny obywatel ziemski, pan Stanisław Malczewski z Odrowąża, dusza wszystkich prac obywatelskich w powiecie, mówił o hakatyźmie pocztowym, a mówił tak ciepło, podniośle i miejscami z takim humorem, że mowa jego ciągłemi była przerywana brawami i oklaskami. Wprost zelektryzował słuchaczy. Pod adresem poczty padały z łona zebrania okrzyki, które wcale nie wyglądały na komplementa, a porwał wszystkich pewien włościanin, który zawołał: „Będziemy się bronili i upominali aż do grobowej deski!“

W końcu przemówił znany z wyjątkowej, krasomówczej wymowy, gorący patryota, głośny w Księstwie dzielny lekarz witkowski, dr. Gantkowski, i świetnemu zebraniu nadał w poetycznych słowach podniosłe zakończenie.

Wiec witkowski pozostanie na długo świadectwem rozwoju polskiej myśli politycznej. Jedna z gazet poznańskich niemieckich trafnie zaznaczyła, że mieliśmy tu po raz pierwszy przed sobą prawdziwy wiec włościański *(Bauernmeeting)*. To racya! Niechaj wolne słowo i myśl wolna naszych gospodarzy włościańskich, naszych wyrobników i drobnych rolników rozbrzmiewa coraz częściej, coraz głośniej, coraz silniej. Niech duch narodowy, którego jednym objawem był wiec witkowski, stworzy tło zasadnicze całej naszej walki o prawa polityczne, a walka ta nie może pójść na marne i błogosławione wyda owoce.

W tej myśli raz jeszcze mówcom i wiecownikom, którzy też i dla skonfiskowanej podówczas „Pracy“ głośnymi okrzykami objawiali swe sympatye, wołamy: Niech żyją!

Wiecownik.

Specyalne korespondencye „Pracy.“

Dortmund.

Sprawozdanie z wieca polskiego w Dortmundzie, który się odbył 10 marca 1901.

Wiec powyżej wymieniony zagaił p. J. Kolenda, teraźniejszy prezes towarzystwa przemysłowców polskich w Dortmundzie. Zgromadziły się też bardzo liczne zastępy rodaków z Dortmundu, Bochum i okolicy. Wiec ten zwołany został przez komitet, który został wybrany na posiedzeniu nadzwyczajnem walnem towarzystwa polskich przemysłowców w Dortmundzie, w celu postarania się o kapłana, władającego dostatecznie językiem polskim, oraz ażeby zapobiedz temu, aby gdy przyjdzie głosować do rady miejskiej, Polacy nie wybierali do żadnej innej partyi, tylko sami postawiali swojego kandydata. Toż samo mają uczynić, kiedy przyjdzie stanąć do urny wyborczej do parlamentu niemieckiego. Oprócz tego wiec miał na celu energicznie wystąpić przeciw wnioskowi posła pana Westermanna (w sejmie pruskim), który proponuje:

„zakazać wszystkim Polakom pracującym w Westfalii mówić w towarzystwach i na zebraniach po polsku.“

Punkt IV porządku dziennego opiewał: „Protest przeciw cłom na zboże i towary spożywcze.“

Wszelkie starania i zabiegi, któreśmy poczynili u wyższych władz duchownych w naszej dyecezyi nie odniosły żadnego skutku, dano nam znać, że nie ma takich księży, którzy mówią po polsku. Wreszcie dodano, iż my możemy się łatwo nauczyć po niemiecku.

Kilku mówców referowało w tej sprawie, ubolewając bardzo nad takiem postępowaniem OO. Franciszkanów. Przyjęto jednogłośnie rezolucyą, która będzie odesłana na ręce Najprzewielebniejszego Księdza Kardynała Ledóchowskiego, ażeby ten raczył się wstawić za nami u Ojca świętego, w celu wysłuchania prośby naszej. Dalej postanowiono się starać o to, ażeby ten poseł p. Westermann nie dopiął swojego życzenia. W dyskusyi usłyszeliśmy żywe głosy oburzenia, przeciw tak haniebnym uroszczeniom antypolskim.

„Nie! do tego przyjść nie może!“ wołali wszyscy, ojczystego języka tak łatwo się nie wyrzekniemy! Języka ukochanego nam nie mogą wydrzeć!“

Następnie została rezolucya burzą okrzyków jednomyślnie przyjęta, która miała być odesłana do posła Jażdzewskiego, ażeby nasi posłowie polscy bronili praw naszych, ale obecnie będzie przesłana do posła Czarlińskiego.

Wreszcie obradowano nad cłami. Przecież miliony, które rząd dał bez woli ludu na wojnę z Chinami, to muszą być ściągnięte z nas pracującej ludności. I tu zaprotestowaliśmy wszyscy jak jeden mąż, że w tak opłakanym czasie jak teraz, nie możebnem jest opłacać jeszcze drożej środków do życia. Tu w Westfalii w każdej fabryce, w każdej kopalni znacznie zniżono płacę, połowę robotników puszczono, którzy się błąkają bez zajęcia. Ostatnią rezolucyą przyjęto jednogłośnie, oświadczając się przeciw cłom.

F. Maxilis.

* * *

Ueckendorf, 18. 3. 1901.

W Niedzielę d. 17 t. m. odbyło się *zebranie „Towarzystwa śpiewu kościelnego.“* Zebranie zwołał p. Malinowski, członek dozoru kościelnego. Członkowie dozoru pp. M. i G. przedstawili nam, że nasz ks. proboszcz Polakom nie chciał pozwolić na odprawianie a raczej śpiewanie „Stacyi“ w kościele w czasie postu, a po 2 radził tym panom *„aby sobie kupili Sursum Corda to będą mogli w niedzielę śpiewać.“* Cóż to na to powiedzieć? A dalej mówił proboszcz: „że komisarz zwrócił się do niego, na co to Bractwo Różańcowe dla kobiet odbywa swe zebrania?“ „I ja (mówi ks. proboszcz) jestem przeciwny tym zebraniom, bo jeżeli w kościele odprawię Różaniec, to zebranie nie-

potrzebne.“ Na to odpowiedzieli nasi Polacy: „Ks. proboszczu! Kobiety mają co 3 miesiące swe posiedzenia i to w tym celu, aby różańce zmieniać i aby uradzić nad ubiegłym kwartałem i na dalszy kwartał te sprawy uregulować, więc kogóż to w oczy kłuć może?“

Ks. proboszcz mówi: *Ja myślę, że to jest niepotrzebne.*

Tak więc możemy widzieć, jak tu księża niemieccy nas chcą zniszczyć.

Pan Malinowski wyjaśnił cel zebrania.

W tej sprawie zabrał głos p. S. i radził założyć oddział śpiewu kościelnego w każdem tow., a te mają sobie wybrać pomiędzy sobą dyrygenta. Potem użalił się znowu, że za mało polskich nabożeństw, gdybyśmy przynajmniej w miesiącu raz mieli mszą św. z kazaniem polskiem, to by i on był za założeniem takiego towarzystwa, ale że tu widoków niema, więc radził taki „oddział“ założyć i starać się o księdza dobrze po polsku mówiącego, bo choć ks. Kleinsorge cokolwiek mówi po polsku, to jest obciążony innemi sprawami. Na przykład jeżeli w parafii jest 4 księży, czyżby dla 3 tysięcy a w niektórych i więcej Polaków zamieszkałych nie mógł być ustanowiony ksiądz dobrze po polsku mówiący? Mógłby i powinien być, bo Polacy tak dobrze podatek płacą jak i Niemcy.

Jako mówcy w sprawie germanizacyi zabierali głos pp.: S. G. M. K. R. i inni. Uchwalono więc założyć oddziały śpiewu kościelnego i uchwalono w tej sprawie zwołać *Wiec w Ueckendorfie*, a tymczasem w Niedzielę Palmową odbędzie się znów takie małe zebranie.

Oby zgoda, jedność i miłość zapanowała między Polakami w Ueckendorfie. Mamy przecież towarzystwo śpiewu „Sokół“, a to wystarczy nam. Jestem przekonany, że i „Sokół“ by się zajął śpiewem kościelnym. Stańmy więc wszyscy jak jeden mąż na to zebranie w Niedzielę palmową!

Z pozdrowieniem
Członek Tow. „Sokół“ św. Jana
W. D. z W.

Z blizka i z daleka.

Z całej Polski.

W Opolu (na Górnym Ślązku) rocznicę 10-letniego istnienia obchodziło Towarzystwo polsko-katolickie. Na obchodzie serdeczną przemowę wygłosił p. Bronisław Koraszewski, energiczny i zasłużony kierownik towarzystwa.

* * *

„Jedna z rodaczek“ z Księstwa wystosowała do nas rzewny list, dając wyraz swemu smutkowi nad faktem, że społeczeństwo nasze straciło znów jedną Polkę, która wyszła za Niemca. Oby ten smutek pobudził wszystkie inne Polki do tem gorętszego zrozumienia obowiązków patryotycznych. Niestety, małżeństwa Polek z Niemcami są coraz częstsze.

* * *

Z Gietrzwałdu w Prusach Zachodnich donoszą nam, że tamtejszy kapelan, przysłany przed rokiem, a dziś już zrobiony lokalnym inspektorem szkolnym, na polskie: „niech będzie pochwalony“ nie odpowiadał nawet dzieciom inaczej jak po niemiecku, choć jest pochodzenia i nazwiska polskiego.

* * *

W zeszłym miesiącu członek zarządu towarzystwa polskiego „Zgoda“ w Langerfeldzie, przyjaciel i szerzyciel „Pracy“, pożegnał się z towarzystwem, przenosząc się gdzieindziej. W imieniu zebranych na posiedzeniu rodaków p. Nawrot wzniósł na cześć ustępującego serdeczny okrzyk: Niech żyje!

* * *

„Związek Polaków“ w Westfalii jest towarzystwem godnem poparcia naszych rodaków. Zajmuje się przedewszystkiem urządzaniem wieców polskich i na tem polu położył duże zasługi. Jak nas zapewnia zaufany przyjaciel naszego pisma, zarzut korespondenta K. z Bochum, że nowowstępujący członkowie nie dostali statutów, nie jest słuszny i mógł dotyczyć co najwyżej jednego wyjątkowego wypadku.

* * *

Otrzymaliśmy sprawozdania za rok 1900 z działalności następujących instytucyi:

Spółki Rolników parcelacyjnej.
Towarzystwa Młodzieży kupieckiej w Poznaniu.
Towarzystwa Urzędników Gospodarczych w W. Ks. Pozn.
Kasy pożyczkowej w Gnieźnie.
Banku ludowego w Krotoszynie.
Banku ludowego w Katowicach.
Banku ludowego w Bytomiu.

Nie mogąc każdej z tych instytucyi poświęcić osobnego artykułu łączymy je wszystkie tu w serdecznem życzeniu dalszego dobrego rozwoju na pożytek społeczeństwa, dla którego pracują.

* * *

W szkołach galicyjskich los nauczycieli ludowych jest bardzo smutny z powodu złego uposażenia i systemu rządów Rady szkolnej krajowej. Organ nauczycieli ludowych „Szkolnictwo“ pisze w ostatnim numerze:

„Jedną z największych wad naszej autonomii i całej gospodarki krajowej, jednym z tych błędów organicznych, które paralizują racyonalne rozwinięcie sił i zasobów publicznych — jest *nepotyzm i system protekcyjny.* Szczególnie w szkolnictwie ludowem, za imperyum wiceprezydenta Bobrzyńskiego, któremu kiedyś historya da epitet „wielkiego“ w gaszeniu wiedzy i oświaty ludowej — widzimy rozkwitający system protekcyjny, który podkopuje instytucyę szkolnictwa, i w szeregi nauczycielstwa wprowadza demoralizujące czynniki, jak: bizantynizm, płaszczenie się i denuncyatorstwo.“

Słusznym życzeniom całego kraju stało się zadość, ponieważ p. Bobrzyński już ustąpić musiał pod naciskiem sfer wyższych, które nie mogły znieść jego despotycznej gospodarki.

* * *

Rocznica Pułaskiego. Polacy w Ameryce obchodzili uroczyście dzień 4 marca, jako rocznicę urodzin Pułaskiego. Postanowili też upominać się u rządu o wystawienie pomnika Pułaskiemu w Savannah, w którem to miejscu Pułaski poległ bohaterską śmiercią. Pomnik Kościuszki ma również, dzięki inicyatywie Polaków, stanąć w Buffalo.

* * *

Rada związkowa niemiecka orzekła, że robotnicy zagraniczni, którzy tylko przez pewną część roku pracują w granicach państwa niemieckiego jako robotnicy rolni lub leśni, nie mają od 1 kwietnia b. r. być ubezpieczani na wypadek niezdolności do pracy tj. chlebodawcy nie są obowiązani, aby dla nich wlepiali marki. Jest to oczywiście korzyść dla rolników i dla robotników, przybywających z zagranicy, ale dla miejscowych robotników krzywda, bo choćby chcieli pracować za cenę, płaconą robotnikom zagranicznym, nie znajdą pracy, ponieważ za nich trzebaby marki wlepiać. Wobec tego powinni robotnicy domagać się, aby kasa państwowa przejęła wszelkie ciężary z ubezpieczenia robotników wynikające i aby ani chlebodawcy ani robotnicy nic nie płacili. *Z.*

Z TYGODNIA.

Gazety niemieckie podają jako ważny symptom zaostrzenia się stosunków rosyjsko-niemieckich, że cesarz rosyjski zupełnie darował kary, na jakie był skazany wydawca pisma „Nowoje Wremia“ za obrażające cesarza Wilhelma artykuły. Stało się to właśnie w chwili, gdy pismo rosyjskie z powodu zamachu na życie cesarza Wilhelma w Bremie napisało przeciw Wilhelmowi II tak piorunujące i obraźliwe artykuły, że pisma niemieckie — nawet nie mogą dać do zrozumienia, jakie to były obelgi. Powszechnie spodziewano się, że rząd rosyjski za to zamknie wogóle wydawnictwo tej gazety, a tu tymczasem zamiast tego cesarz Mikołaj darował wszystkie dawne przewinienia. A więc z tego nauka, że rządowi rosyjskiemu obecnie obojętne są obelgi najwyższego kierownika polityki niemieckiej.

Sprawa ceł i odnowienia traktatów handlowych w Niemczech zbliża się do rozwiązania.

Sprawa odnowienia traktatów hadlowych wywoła niechybnie większe i zaciętsze jeszcze walki. Na razie niepodobna przewidzieć, jak ukształtuje się w państwach interesowanyoh położenie handlowo-polityczne, gdyż od oświadczenia Bülowa, że rolnictwo w Niemczech uzyska większą opiekę celną, w kołach przemysłowych austryackich znikła prawie nadzieja przeprowadzenia własnego programu traktatów handlowych. Cła zbożowe nie mają dla Austryi tak wielkiej wagi w stosunku do Niemiec; natomiast Niemcy mają największy interes w tem, aby nie utrudniać przywozu bydła i mięsa z Austryi, gdyż same nie są w stanie zadośćuczynić potrzebom konsumcyi, a wszystkie trudności w tym kierunku przyniosłyby ze szkodą ogółu korzyść agraryuszom, którzy mogliby na swoje produkty nakładać ceny dowolne. Jeśli w przyszłości Niemcy nie przyznają monarchii austryackiej dotychczasowych ceł od zboża i bydła, to jasnem jest, że Austro-Węgry nie poczynią im żadnych ustępstw na polu przemysłowem, co jednak nie jest dla Niemców groźnem, gdyż ludność Austryi nie może się obejść bez wyrobów niemieckich. W jakiej tedy formie przyjdzie do skutku zawarcie traktatów, niepodobna przewidzieć.

Nowe zaburzenia zaszły w Madrycie, a to z powodu zmaltretowania jakiegoś człowieka przez strażnika celnego. Wzburzony tłum spalił kilkanaście domów celnych i splądrował magazyny, a w centrum miasta powybijał szyby w wielu budynkach. Urzędników celnych obrzucono kamieniami, czterech jest rannych, z tych jeden ciężko. Prefekt przywrócił porządek. Demonstracye protestacyjne urządzili też pomocnicy handlarzy korzennych przeciw otwieraniu handli w niedzielę i rzucali kamienie do tych, które były otwarte. Policya rozproszyła wichrzycieli.

Uniwersytet peszteński był widownią zaciętej bójki na pięście pomiędzy służbą uniwersytetu i studentami liberalnymi, a grupą studentów katolickich. Katolicy zażądali umieszczenia, a raczej przywrócenia krzyżów w salach wykładowych, rektor żądanie to odrzucił, oświadczając, że nie pozwoli na przeniesienie sporów politycznych do uniwersytetu, a minister oświaty zatwierdził jego decyzyę. Studenci katoliccy jednakże nie dali za wygranę. Rano służba uniwersytecka zastała wszystkie sale otwarte i w każdej nad mównicą profesora krzyż przybity na ścianie. Powiadomiony o tem kwestor kazał usunąć krzyże. Tymczasem studenci katoliccy zebrali się w liczbie około 300 i wyrzucili służbę za drzwi. Studenci liberalni stanęli po stronie służby i władzy i rozpoczęła się bójka, która skończyła się ostatecznie wyparciem katolików.

Obie wielkie kwestye polityczne, które od dziesiątków miesięcy pochłaniają uwagę świata politycznego i wyczerpują zarówno siły dyplomatyczne, jak finansowe mocarstw, utknęły znowu i przez pewien czas nie ruszą z miejsca.

Sprawa chińska utknęła na umowie mandżurskiej, która obejmować miała także Mongolię i Turkestan chiński, a obecnie podobno zamknie się w granicach samej Mandżuryi.

Utknęła również widocznie rozpoczęta w d. 27-go z. m. akcya około przywrócenia pokoju w Afryce południowej. Jen. Ludwik Botha okazał się skłonny do porozumienia; na tej skłonności oparto osobiste spotkanie się z lordem Kitchenerem i wymianę obustronnych propozycyi. Odtąd minęły dwa tygodnie, a kwestya złożenia broni i zawarcia pokoju nie posunęła się ani na krok. Widocznie układy zahaczyły się o nieprzejednane usposobienie Krystyana Deweta, który w żadne kompromisy, wykluczające niezawisłość obu republik, wchodzić nie chce.

Należy się spodziewać poddania Bothy jeszcze przed upływem bieżącego tygodnia. Jest on jakoby już zdecydowany, musi jeszcze tylko nakłonić do tego samego i innych wodzów, którzy podobno gotowi są również poddać się, wszelako tylko w razie, jeśli rząd angielski przyjmie pewne warunki. Propozycye Bothy przesłano już temuż rządowi, a w ubiegłym tygodniu odbywała się ożywiona wymiana depesz między rządem a Kitchenerem. To samo pismo donosi, że Krüger z Leydsem mieli też ze sobą długie narady o możliwości poddania się Boerów. W kołach, sprzyjających Boerom, nie dowierzają wszakże tym wieściom. Na zgromadzeniu w Monastyrze znany przywódzca Boerów Jooste oświadczył, iż wieść o tych rokowaniach pokojowych powtarza się ciągle. „Nie wierzę, żeby Botha się poddał“, wywodził.“ — Jeśli zawrze pokój, uczyni to, czego pragniemy wszyscy. Kłamstwem jest wszakże, by miał poddać się bezwarunkowo.

W Trewirze toczyła się przed sądem wojennym następująca wstrętna sprawa: Podoficer Winter miał pod swoją komendą rekruta Polaka, który nie umiał dobrze po niemiecku. Nie rozumiejąc więc pytania podoficera dał zupełnie fałszywą odpowiedź, co tak rozgniewało owego podoficera, że zaczął go bić pięściami, kopać nogami i na zakończenie tej „operacyi“ tak silnie uderzył rekruta polskiego pałaszem w ramię, że mu pękł obojczyk. Podoficer zaczął się obawiać skutków swego brutalnego postępku, namówił więc rekruta, aby zeznał, że obojczyk mu pękł przy spadnięciu. Tak też ów żołnierz zeznał widocznie z obawy, aby go później podoficer nie prześladował. Podstęp jednak się nie udał. W lazarecie wojskowym poznano, że pęknięcie obojczyka spowodowane zostało uderzeniem, na odnośne zapytanie wyznał wreszcie sponiewierany rekrut całą prawdę. Podoficer, który także swym przełożonym oświadczał, że pęknięcie obojczyka nastąpiło wskutek spadnięcia, skazany został przez sąd wojenny na 9 miesięcy więzienia.

Nieszczególne to składa świadectwo.

K. O.

PRZEGLĄD PRASY.

Cały szereg pism polskich i obcych poświęcił krótsze lub dłuższe wzmianki i artykuły zajściom, jakich były widownią biura „Pracy“, gdy szereg policyantów w towarzystwie komisarzów policyjnych przeszukiwał biurka i szufladki, a nawet i pościel w prywatnem mieszkaniu wydawcy, aby tylko wynaleźć jakąś podstawę do nowego procesu. Podwójna konfiskata naszego pisma — poruszyła całą prasę polską w zaborze rosyjskim i w Galicyi. Z galicyjskich pism „*Dziennik Polski*“, „*Przedświt*“, „*Reforma*“ — poświęciły tej sprawie całe łamy na naczelnem miejscu; petersburski „*Kraj*“ i „*Gazeta Polska*“ „*Wiek*“ i liczne pisma rosyjskie, czeskie i francuzkie, a taksamo i południowo-niemieckie, a nawet w Brazylii i Ameryce północnej nie szczędziły w komentarzach uwag o procedurze pruskiego prawa prasowego. Tak więc dzięki konfiskacie stała się „Praca“ głośna w całym świecie cywilizowanym. Sprawą tą zajmą się też jeszcze sejm i parlament i wreszcie wyniknie też jeszcze wskutek konfiskaty kilka procesów.

W parlamencie niemieckim wypowiedział syn starego Bismarka, książę Herbert Bismark, słowa: *Vexilla Poloniae prodeunt!* — co znaczy: sztandary polskie posuwają się naprzód. — —

Do znamiennych słów tych, wypowiedzianych przez syna najzaciętszego wroga, nawiązał „**Wielkopolanin**“ piękne i głębokie uwagi:

> „Oto teraz po stu przeszło latach syn najzaciętszego polskości gnębiciela, Herbert Bismarck, przypomina przestrogę rządowi, że sztandary polskie posuwają się naprzód.
>
> „Przestroga ta mieści w sobie chęć podniecenia rządu do ostrzejszego traktowania nas, ale z drugiej strony jest przyznaniem, że do końca Polski daleko, ponieważ znowu powiewają Polski sztandary. Jest w tem zachowaniu nam żywotności wśród takich prześladowań jakaś cudowność — jest wyraźny znak, że Opatrzność czuwa nad nami i nami się opiekuje, jest w tem znak, że nie zginiemy.
>
> „A gdy patrzymy na te nasze z wrogiem przemożnym zapasy, zapytujemy, skąd nam się biorą siły do walki, do

oporu, do życia. I wówczas przypomina się mimowoli cudowna legenda o owych uśpionych św. Jadwigi rycerzach. Wydaje się, jakby owi uśpieni rycerze powstali z długiego snu i stanęli do walki a nad nimi powiewały znaki polskie wojenne, których szum ucho młodszego Bismarcka dosłyszało.

„Gdzież są ci uśpieni, a teraz do życia powołani rycerze, którzy stanęli w szeregu, aby stawić czoło pociskom wymierzanym w serce polskości przez plemię Bismarkowskie?

„Oto owymi uśpionymi św. Jadwigi rycerzami, uśpionymi przez lata, przez wieki całe, a teraz przebudzonymi do życia, to nasz lud polski, światły, uświadomiony i pracowity.

„Ci są zaiste owymi rycerzami św. Jadwigi z cudownej baśni! Wieją nad nimi znaki wojenne Polski, ale tak, jak lud nie ma błyszczących zbroi, tylko sukmany i skromny ubiór robotniczy, tak też nad nimi nie wieją sztandary dawne rycerskie, wsławione tylu przewagami, lecz znaki, na których wypisane hasła: „Wiara, miłość, oszczędność, oświata i praca."

„Takie to są dziś sztandary wojenne Polski, których szum usłyszało ucho Bismarcka młodszego, a może one bardziej zwycięskie, niż znaki dawnych hufców, wojujących mieczem. Takie to rycerstwo z motyką, z oskardem, z dłutem i heblem, z pługiem i łokciem i księgą stanęło do boju w miejsce dawnych husarskich chorągwi — a kto wie, czy to nowe rycerstwo nie więcej będzie zwycięskiem, niż dawne laurami zwycięstw uwieńczone hufce."

„Vexilla Poloniae prodeunt" — „sztandary polskie posuwają się naprzód", tyle lat minęło, tyle pokoleń położyło się do grobu, a naród nasz nie stracił nic ze swej żywotności, — owszem powołał pod sztandary wojenne nowe hufce, złożone z ludu, i z tymi hufcami dąży do zwycięztw. A najzaciętszy wróg polski przyznać jest zmuszony, że te wojenne proporce, pod którymi walczyli nasi ojcowie na polu pracy narodowej i dziś nam wskazują, bardziej niż kiedykolwiek, drogę rozwojów i obrony praw najświętszych. „*Vexilla Poloniae prodeunt!*" Sztandary polskie posuwają się naprzód.

Żydzi poznańscy puszczają się na wielką politykę — oczywiście w miarę wzrastania hakatyzmu. Pokazują oni rządowi swe pruskie serce.*) — Na wielkiem zebraniu, na którem uchwalono protest przeciw omijaniu żydów przy nominowaniu notaryuszów, prawnik poznański Jaffé mówił — podług relacyi **„Dziennika Pozn."** co następuje:

„Zwrócę tylko uwagę na stanowisko, jakie my żydzi zajmujemy na pruskim wschodzie. Przed prawie 1000 laty przodkowie nasi przed naciskiem prześladowań z zachodu przywędrowali do Polski. Nigdy nie wyparli się sprawy niemieckiej, po niemiecku mówili, mówili niemczyzną swej frankońskiej i szwabskiej ojczyzny, kiedy ojcowie niejednego, co nas odsądza od niemczyzny, głęboko jeszcze tkwili w słowiańszczyźnie (brawo)! A kiedy ten tu kraj od Polski oderwany i przyłączony został do Prus, wtedy to ojcowie nasi przejęli na swoje barki wielką część kulturnego dzieła. Jeżeli miasta poznańskie stały się głównie warowniami niemczyzny, to właśnie ojcowie nasi spełnili w tym kierunku dobry, a może najlepszy kawał pracy (brawo!). Tysiącami polonizowali się chrześcijańscy Niemcy, żaden żyd tego nie zrobił i nie zerwał związku swego z niemiecką kulturą. Nietylko więc stoimy na naszem prawie, ale stoimy też na szmacie ziemi, którą pomogliśmy zniemczyć, a na to dziś głównie kładziemy przycisk".—

*) Patrz artykuł wstępny p, t. „Waleczni izraelici." — Przyp. Redakcyi.

Wyznanie pana Jaffego, w którem solidaryzują się żydzi poznańscy, zasługuje na uwagę. Jest to poniekąd manifest antypolski, zuchwale chełpiący się wynarodowieniem Polaków. Polacy powinni na to nie pozostać dłużni w odpowiedzi, gdyż oni to są przecież żywiołem dającym dzięki swej nieporadności wyżywienie tym pasożytniczym egzystencyom żydowskim, jak handlarze miejscy i wiejscy i t. d. — Niech każdy Polak odczyta sobie manifest p. Jaffégo, a potem zapyta się sam siebie, czy godność narodowa pozwala mu popierać żydów przez kupowanie u nich towarów.

Z całego szeregu rozmaitych objawów natury politycznej możemy wnioskować, że system pruski, który nietylko wobec Polaków ma swą ciemną stronę, ale i wobec rozmaitych ogólno niemieckich dążeń, napotyka w polityce wewnętrznej Niemiec na coraz częstszą krytykę. W Bawaryi oddawna istnieją prądy, dążące do oziębienia stosunków z Prusami, a prądy te pod naciskiem ostatnich wypadków jeszcze spotężniały. Bawarczycy cenią swą polityczną samodzielność i upatrują wielkie niebezpieczeństwo dla siebie we wzrastającej przewadze Prus. Wojna chińska jest w Bawaryi wysoce niepopularna, a to tembardziej, że w tej wojnie po raz pierwszy skasowano Bawarczykom ich odrębne chorągwie wojskowe biało-niebieskie, a zastąpiono je chorągwiami niemieckiemi o barwach czarno-złoto-czewonych.

Interesującym objawem tego wzrastającego niezadowolenia z pruskiej przewagi jest to, że bawarska partya, wroga Prusakom, bierze stronę Polaków w walce z germanizacyą. W tych dniach organ tej partyi, **„Das Bayrische Vaterland"**, o którym zupełnie niesłusznie nader lekceważąco odezwał się jeden z posłów polskich w debatach parlamentarnych, zamieścił następujący artykuł o sprawie polskiej:

„Powinienby rząd pruski zerwać gruntownie z hakatystami, których mefistofelesowskie podszepty złe przynoszą skutki. Szkoda chyba słów tracić na to, że Polacy, im bardziej prześladowani i uciśnieni, tym ściślej skupiać się będą do silnej opozycyi. Owe liczne prześladowania właśnie, które Polacy w Prusiech i w Rosyi tak długo znosić musieli, a w pierwszem z tych państw jeszcze znoszą, wzmocniły ich poczucie narodowe, ożywiły ich marzenia o polskiem państwie narodowem.

„Ale za to też Polakom wszelka cześć się należy. Zasługiwaliby na wzgardę, gdyby narodowość swą przefrymarczyć chcieli za łaskę i przychylność rządu pruskiego! Polacy spełniają ściśle obowiązki swoje jako pruscy poddani: oni nie agitują przeciwko Prusom, jeno żądają, ażeby ich uczucia narodowe, ich narodowość uszanowano. W znacznie przeważającej liczbie czują się poddanymi pruskimi, a jeśli zastępy tych, którzy na mniej prawidłowej drodze działają dla idei wskrzeszenia Królestwa Polskiego, mnożą się w Prusiech, to właśnie za to spada wina na rząd pruski, który w obrębie czarno-białych słupów uniemożliwia Polakom objawianie i zaznaczenie swej uprawnionej narodowości. Cóż to za wrzaski zaraz wśród „Wszechniemców", gdy skądbądź nadejdzie wieść, iż tam lub owdzie narodowość niemiecką uciskają! A wszakże to, co się słusznie należy Niemcom w Siedmiogrodzie, należy się chyba i Polakom w Prusiech. Polacy mają zbyt świetną historyą i zbyt bogatą literaturę, iżby im słusznie zakazywać i zabraniać można, żeby się narodem nie czuli.

„A właśnie Prusy, jak już niejednokrotnie zaznaczyliśmy, miałyby wszelki powód do tego, ażeby Polaków sprawiedliwie traktować, ich nie drażnić, nie prowokować."

Interesujący ten artykuł naturalnie przemilczała „wiernopaństwowa" prasa niemiecka. Nie chcemy w tem wystąpieniu naturalnie dopatrywać się jakiejkolwiek szczególnej sympatyi dla Polaków, na której by można budować, to jednak pewna, że podobne głosy niemieckich południowców uwzględniać też należy przy osądzaniu Niemców wogóle i odróżnianiu Niemców jako takich — od Prusaków, którzy — jakkolwiek politycznie silni — przecież są tylko cząstką i to nie najlepszą całego narodu niemieckiego. —

Na niwie polityki antypolskiej można znów uszczknąć kilka pięknych kwiatów hakatystycznych: oto minister Miquel był łaskaw oświadczyć bez żenady, że przeciw Polakom istotnie istnieją *środki represyjne.* Słuszne do tego wyznania dodaje uwagi **„Goniec Wielkopolski"**:

„Dotąd zawsze twierdzili ministrowie pruscy, że rząd nie stosuje do nas środków represyjnych i że wszystko, co się w polskich dzielnicach dzieje, nie jest niczem innem tylko podnoszeniem kultury bez myśli uciskania polskości.

„Jasnem jest, że to otwarte przyznanie ze strony pana Miquela, że urzędowo istnieją środki represyjne, uprawnia nas do obrony, jak najstalszej przeciwko represyi rządu pruskiego i to obrony celowej i rozumnej.

„W tej naszej obronie nie potrzebuje być nawet cienia oporu przeciwko władzy, o tem wogóle wcale mowy nie ma, nie ma też ten nasz opór w czemkolwiek bądź szkodzić państwu pruskiemu, nie — bronimy się jedynie jako ludzie, których chcą uciskać i jako naród, który chcą stłumić.

„Jest to zatem zupełnie naturalne, zupełnie ludzkie, i zrozumiałe.

„Człowiek czujący w sobie siłę żywotną, uprawnienie do bytu i życia, naród czujący to samo, ostatnim byłby nikczemnikiem, gdyby nie dobywał wszystkich sił inteligencyi swej i swej żywotności, aby stawić opór represyi.

„A więc, jeżeli wiemy, że ze strony rządu są środki represyjne, że otwarcie dziś mówią o bojkocie i o ogłodzeniu

polskiego żywiołu, wniosek pozostaje dla nas jedyny ten, abyśmy sami w sobie i wśród siebie szukali pomocy i sposobów na odwrócenie tych ciosów, wymierzonych ku nam.

„A temi sposobami to łączność narodowa na każdem polu i pod każdym względem, łączność polityczna i ekonomiczna.

„O tej łączności pisze się ciągle dużo, ale mało kiedy ją stosujemy i nigdy z taką bezwzględnością, z jaką ją stosować powinniśmy.

„Odtąd powinno być inaczej.

„A nowym impulsem do tej bezwzględnej łączności niech będzie wyznanie pana Miquela, że istnieją środki represyjne.

To przyznanie daje nam jako ludziom i jako narodowi urzędowe prawo bronienia się przeciwko represyi."

Wywody pana ministra tak otwarcie wyznającego zasadę środków represyjnych w państwie konstytucyjnem, doznały już ze strony polskich obywateli, świadomych praw swoich, należytej krytyki. Na wiecu w Witkowie, który był wspaniałą manifestacyą rozbudzonego ruchu politycznego wśród naszych światłych warstw rolniczych, słyszano donośne wyrazy oburzenia, wobec twierdzeń od stołu ministeryalnego, że represalie wobec Polaków nie sprzeciwiają się konstytucyi. —

W „**Kuryerze Poznańskim**" znaleźliśmy w jednym z ostatnich numerów piękny wiersz, o satyryczno-politycznem zacięciu. Sądzimy, że Czytelnicy będą nam wdzięczni za to, że go powtarzamy. Wiersz ten nosi tytuł: „Zwycięzcom Burów" — — i brzmi:

Oto potęga!!... Oto szczyt potęgi!!!...
Dziś oni jedni panami są świata!
I prawa depcą — i łamią przysięgi —
Gwałt ich żywiołem — zasłoną — oświata!

Im wszystko wolno! Im wszystko się wiedzie!
Zwycięztw, grabieży, już nikt ich nie zliczy!
Wiecznie są górą i wiecznie na przedzie,
Coraz to nowszych żarłoczni zdobyczy!

...Oto potęga!! Jak ziemia szeroka,
Zbrojne miliony pod ich służą znakiem —
I tego znaku nie spuszczają z oka —
I serca tętnem w nich biją jednakiem...

Wielkość ojczyzny!... to myśl ich przewodnia!
Mniejsza o środki! Środki cel uświęca!
Wstyd nie istnieje! Chwalebną jest zbrodnia!
Cnotą — drapieżność i dzikość zwierzęca!!...

Co znaczy prawo?! Wszak je zmienić mogą!
Sumienie, fraszką! Igraszką przeszkody!
Kroczą — po trupach — raz obraną drogą...
By oni żyli, niech giną narody!!...

...Oto potęga!!... Groźna ich prawica
Wszystko, co obce, druzgoce i niszczy!!...
A podła ludzkość się nimi zachwyca —
Olśniona siłą, wielbi w nich bożyszczy!

I kornie czołem przed nimi uderza —
Hymny pochwalne na cześć ich układa —
Gotowa głosić — chciwa ich przymierza —
Że wstręt w nich budzą bezprawie i zdrada!

Kadzideł ku nim wzbijają się kłęby...
Nie zna już granic ich buta i sława!!...
. . . .
Lecz — — *wyłamane będą raz ich zęby*
Odcięta ręka ich prawa!!!...

Autorka, p. hr. M. Szembekowa, z wielką siłą napiętnowała całą ohydę postępowania Anglików (którzy są sprzymierzeńcami Niemców) wobec gnębionego ludu Burów. —

W warszawskim „**Wieku**" znajdujemy korespondencyą z Berlina, w której oddano niemało rozgoryczenia ludności polskiej krzywdzonej systematycznie na punkcie opieki duchownej:

„Wśród ludności polskiej, zamieszkałej w Berlinie, wywarła wrażenie wiadomość o zabronieniu miejscowemu duchowieństwu katolickiemu miewania kazań w języku polskim podczas nabożeństw dla żołnierzy. Wiadomość ta, powtórzona telegraficznie we wszystkich dziennikach niemieckich już wywarła swój skutek, bo oto, jak nam donoszą świeżo z Nissy (Neisse) na Śląsku), już i tam komendant 6-go korpusu armii zakazał kapelanom wojskowym miewać kazania polskie do żołnierzy Polaków. To dopiero początek: wkrótce spodziewać się możemy, że zakaz ten rozciągnięty zostanie na całą armię. Tak to Niemcy odpłacają się polskiej ludności za podatek krwi, uiszczany na równi z wszystkimi obywatelami państwa bojaźni Bożej. My tu w Berlinie spodziewaliśmy się, co prawda, podobnego rozporządzenia, mając już podobny przykład przed kilku miesiącami w Grunewaldzie pod Berlinem. W miejscowości tej zamieszkuje znaczna liczba kaszubów, mówiących w domu tylko polskim językiem, i to językiem patryarchalnym, np. wchodząc do domu lub spotykając się, uchyliwszy kapelusza witają się słowy; „Niech Pan nasz będzie błogosławiony!" Potoczna ich mowa również ma bardzo wiele cech dawnej polszczyzny. Lud to rządny, pracowity, bogobojny i trzeźwy. Owóż mieli oni dotąd tę pociechę, że każdej niedzieli mogli słuchać kazań w języku polskim. Niestety, nie podobało się to władzy miejscowej, żeby tuż pod Berlinem rozbrzmiewał język przez Niemców znienawidzony i... władze zabroniły księdzu udzielać kazań w języku polskim. Zasmuceni tem grunewaldczycy, wynagrodzili sobie brak kazań polskich w ten sposób, że zbierają się obecnie każdej niedzieli do prywatnego domu i czytają sobie głośno książki polskie, aby rodzimego języka nie zapomnieć. Czytania książek, nawet najwięcej hakatyzmem przejęty urzędnik niemiecki zabronić nikomu nie może."

Gdy rozeszła się wiadomość, że kardynał Kopp, bawiąc w Berlinie, rozstrzygnął sprawę opieki duchownej przeciw Polakom, oburzona „Germania" zaprzeczała temu twierdzeniu, wyrażonemu przez „*Dz. Pozn.*"

Pokazuje się dziś, że my znamy lepiej Jego Eminencyę, niż „Germania!" —

W „**Ateneum**" warszawskiem znajduje się ustęp, dotyczący poezyi emigracyjnej.

Źródłem jej zasadniczem jest tęsknota za otoczeniem swojskiem, rodziną, przyrodą, a ta nostalgia zwolna wyrasta na świadome i silne uczucie narodowe. O tem zaświadczyć mogą płody poetyckie emigrantów. Naturalnie mowa tu nie o utworach inteligencyi, ale o piosenkach, powstających śród gminu wychodźczego.

Parobczak, odchodzący z innymi do Westfalii, śpiewa:

...Już cię porzucam, Kasieńko droga,
Bo już mnie wzywa daleka droga.
W świat dziś pójść muszę, rzucić kraj kochany
I szukać pracy — ja, łzami zalany.
Nie dla mnie ty, kochana dziewczyno,
Nie moje usta dla twoich, jedyna,
Nie moje ręce dla twoich pracują,
Bo na obcej ziemi miedź i kruszec kują!

A oto piosenka, wyrażająca w sposób, może niezbyt artystyczny, ale za to wzruszający swoją prostotą, tęsknotę za krajem:

Płyń, piosenko, płyńże dalej,
Goń w krainę naszą, goń,
Gdzie drodzy sercu zostali,
Dzwoń im tę nowinę, dzwoń!

Piosenka winna popłynąć ku ojczystej ziemi i zadzwonić tam nowinę, iż „wywędrowcy", pracujący w Westfalii, piosenkę polską całem sercem pokochali, oraz przypomnieć o tych, którzy tylko myślą są obecni ze swoimi:

Dzwoń, ach! dzwoń im tam z oddali,
O tułaczach polskich dzwoń,
Którzy nieraz już wzdychali
Za swą chatą, do swych stron!

Tułacze wzdychają i płaczą, a płaczą tak gorzko, iż ich oczy niejednokrotnie zachodziły krwią, a płacząc spoglądali ku wschodowi i w westchnieniu swem byli z rodakami pospołu:

Byli duchem z naszą niwą,
Wpośród naszych miast i siół.

Piosenka powinna dolecieć, jak ptaszyna, do kraju i zanieść wiadomość o „wywędrowcach", ich smutku i zamiamiarach, a kończy się zwrotką, pełną naiwnej rzewności:

Dzwoń więc, piosnko, silnie dzwoń,
Gdy nasze serce rozpacz żre!
Ty z cierpieniem nas oswoisz
I osuszysz krwawą łzę!"

B. M.

Głosy od Przyjaciół.

Od Redakcyi. Zanim umieścimy poniższych kilka głosów, które stanowią maleńką cząsteczkę już przygotowanych przez nas do druku listów przyjaciół „Pracy" musimy się zwrócić do wszystkich z serdeczną prośbą o względy i wybaczenie tego, że coraz mniej jesteśmy w możności uczynić zadość wszystkim czytelnikom, pragnącym umieszczenia swych listów. Mamy w tece listy pisane jeszcze w zimie, a które pomimo to z powodu nawału spraw bieżących nie przyszły do druku. W numerach skonfiskowanych było przeszło 30 listów, co do których teraz nie wiemy, jak postąpić: czy jeszcze raz drukować?

Ale o jedno prosimy Szanownych i drogich naszych Czytelników: Oto niech się nie zniechęcają tem, że ich listy, choć pilne i ważne, nieraz nie ukazują się w druku całymi tygodniami, możemy ich zapewnić, że jeśli jest jakaś wiadomość istotnie ważna i zasługująca na opubli-

kowanie, a my dla braku miejsca nie możemy jej ogłosić niezwłocznie, to podajemy wiadomość tę do kilku innych pism, aby życzenie naszego korespondenta było w każdym razie zaspokojone. Ani jeden list nie przechodzi przez nasze ręce bez ścisłej uwagi, niektóre zaś są dla nas ważnemi wskazówkami, jaką polityczną postawę zachować należy w niektórych sprawach bieżących. I chociaż niejeden list taki ogłoszony nie został, to przecież jednak myśl przewodnia jego w tej lub innej formie zaważyła na szali i ujawniła się w naszych innych artykułach. Raz więc jeszcze prosimy naszych czytelników: *pisujcie do nas listy i korespondencye,* dążmy do tej wzajemnej wymiany zdań, dzielmy się nawzajem spostrzeżeniami i myślami. Niechaj przybędzie jeszcze kilka tysięcy nowych abonentów, a będziemy może w stanie dawać specyalny półarkuszowy dodatek, zawierający listy przyjaciół „Pracy." Tymczasem zaś — wierzcie — że żaden list Wasz, choć nieraz nie ogłoszony, nie przechodzi bez śladu i z baczną uwagą przez nas jest czytany. A teraz udzielamy głosu kilku naszym przyjaciołom:

Krotoszyn, 24 marca 1901.

Kochana „Praco!"

Słowa Twe, krytykujące dyplomatyczne wystąpienie posła ks. dr. Jażdżewskiego — chyba z duszy wyborców powiatu Krotoszyńkiego czerpałaś, bo wszyscy jesteśmy tu tego samego zdania, co w „Pracy" napisano. Bo też zkąd to zapewnienie w imieniu ludu, którego ks. poseł Jażdżewski jest reprezentantem, że my zrzekamy się łączności z braćmi z Górnego Slązka na korzyść takich centrowych panów, co to w sejmie i parlamencie twierdzą, że na Slązku Górnym są tylko Prusacy mówiący po polsku. Taki poseł i prezydent parlamentu hrabia Ballestrem, excelencya i pan pruskiego orderu czerwonego orła I. kl., który to powiedział, „że Polaków trzeba bić po pysku," taki poseł centrowiec, choć katolik, ale Niemiec i hakatysta zabity, taki więc poseł ma być wybierany polskiemi głosami? Adyby się człowiek musiał wstydzić miana, że jest Polakiem, gdyby takiego Ballestrema raz jeszcze miał wybierać lud polski górnośląski jako swego obrońcę; chyba na ironią i pogardę polskiej sprawy, bo dziękuję za takiego obrońcę.

Po temu też ta cała obrona sprawy polskiej ze strony centrowców. —

Taki Siemianowski, redaktor z „Katolika", którego mowę wiecową czytałem, lub taki Koraszewski, który mieniem i więzieniem, a może i łzami opłacił obronę sprawy polskiej — tych trzeba wybierać w miejsce takich panów Ballestremów, Głowatzkych a zaraz będzie nieco żywiej w parlamencie. — Sprawę nazwać po nazwisku, a nie wyszukanemi słowami dyplomacyi. Albo przyjąć mandat poselski i mówić co gardła starczy, by nam tu ducha dodać, albo też nieprzyjmować mandatu, bo inaczej to się krzywdzi lud. — —

Czy to nie kpiny ze strony centrowców, że zezwolą na takie szopki z adresami? czy aby jeden wystąpił rzetelnie w tej sprawie?

Jest tych panów centrowych coś przeszło 100, ale ani jeden ust nie otworzył w tej sprawie. I takim panom ks. poseł Jażdżewski chce dawać zapewnienia, że my nie myślimy łączyć się z naszymi braćmi od serca na Górnym Slązku? Nie, to nie była mowa w imieniu ludu, to była mowa jak „Praca" słusznie pisze, chyba wypowiedziana w imieniu -- żydów tutejszych.

Wasz przyjaciel i brat.

* * *

Gdańsk w marcu.

Kochana „Praco!"

Czytając ostatni numer, w którym to korespondent podaje sprawy kościelne naszych rodaków w parafii św. Piusa w Berlinie, powziąłem i ja zamiar, kochana „Praco", choć parę słów o naszym śpiewie kościelnym ci donieść.

Długie lata staraliśmy się wszelkiemi siłami, to jest wiecami, petycyami i delegacyami do śp. Przew. Biskupa Rednera o kazania i śpiew polski w niedzielę i święta i wreszcie wykołataliśmy u Jego biskupiej władzy tyle, że rozporządził, aby w kościele św. Mikołaja w niedzielę i święta kazania i śpiew polski się odbywał. Z pewnością śp. ks. biskup nie przewidywał tego, że ks. proboszcz nie pozwoli organiście przy śpiewie towarzyszyć, ponieważ w rozporządzeniu śp. przew. ks. bisk. R. o organach nic nie nadmieniono, więc też ks. proboszcz, korzystając z tego przywołał organistę, mówiąc: jeżeli jemu Polacy zapłacą to niech gra, w przeciwnym razie nie potrzebuje.

Lecz aby nasz piękny śpiew polski w kościele nie cierpiał, zajął się swego czasu kupiec p. Stefan Grabski tą sprawą, płacił organiście rocznie sto marek, aby organy nam do śpiewu towarzyszyły. Nie długo trwała nasza radość, ponieważ p. G. dla ważniejszych obowiązków, został do Lwowa powołany, a więc znów organy ucichły i miesiącami nam do śpiewu nieprzygrywały, aż wreszcie zaopiekował się nami kupiec p. Maksymilian Janicki i jak się od organisty dowiedziałem płaci rocznie także sto marek (bo taniej organista grać nie chce) i zobowiązał się zarazem płacić rocznie tę kwotę tak długo, jak w Gdańsku zamieszka.

Otóż mówią u nas nieraz, że Poznańczycy to mało dbają o chwałę Bożą, a tu wykazuje się przeciwnie, bo o ile mi wiadomem obaj panowie pochodzą z Poznańskiego.

Tym panom należy się szczere uznanie i podziękowanie i niech Pan Bóg im to stokrotnie wynadgrodzi, a nam naszego obywatela p. Janickiego jak najdłużej w Gdańsku pozostawi.

Na dziś kończę i zapytuję się zarazem szanownej „Pracy" czy są także miejscowości, gdzie dajczkatolicy za organy osobno płacić muszą? (Jest pełno — na obczyźnie. Red.)

N. abonent „Pracy."
Kaszuba i obywatel gdański.

* * *

Gietrzwałd.

Szanowna Redakcyo!

Donoszę uprzejmie, że policya poznańska jakoś nie zdążyła w porę uprzątnąć paczki numerów, która była przeznaczona do Prus Zachodnich i Wschodnich, i tak dostaliśmy tutaj ten skonfiskowany numer w całości.

Pewnie to innym kochanym Czytelnikom żal, że nie dostali oni, bo też istotnie numer był prześliczny i artykuły ogromnie się nam podobały. Ponieważ te numery są teraz rzadkie, więc ja odpisałem główny artykuł w kilku egzemplarzach i posłałem moim znajomym, aby się też przekonali, co to za artykuły konfiskuje policya pruska. A mój numer był już pewnie we dwudziestu rękach i każdy kto czyta, zachwyca się „Pracą." Bo do obudzenia ducha narodowego potrzeba nam było takiego pisma. Ale za to też my Czytelnicy, którzy pojmujemy, jakie znaczenie polityczne ma działalność „Pracy", powinniśmy ją szerzyć i zjednywać jej Czytelników na wszelkie sposoby. Ja się trzymam tej zasady, że mówię restauratorom i cukiernikom, gdzie tylko się znajdę, choć w przejeździe, że nie będę u nich przestawał, jeśli mi „Pracy" nie zaabonują. Przedewszystkiem, bracia wiarusy, miejcie baczenie na restauracye, aby w nich to kochane nasze pismo zaprowadzić, bo niejeden łatwo się zapozna w ten sposób i zacznie czytać „Pracę", gdy go jeden artykuł zainteresuje. Dobrze też jest czytać artykuły głośno w kółku znajomych.

Ja zrobiłem spostrzeżenie, że wszystkie artykuły *Vestera* tem się odznaczają, że daleko ładniejsze w głośnem czytaniu, niż w zwykłem czytaniu po cichu. Już są tak napisane, jakby właśnie kto na wiecu mówił. Z innemi artykułami tom tego nie zauważył, owszem inne są są ładniejsze w czytaniu po cichu, gdy nad każdem słowem człowiek się może zastanowić, — ale te artykuły *Vestera* to w głośnem czytaniu zupełnie inaczej wychodzą. I niejeden pewnie by się nauczył dobrze mówić na naszych wiecach, gdyby z początku odczytywał te artykuły w gronie przyjaciół.

A teraz pozdrawiam Cię, kochana „Praco" i życzę 20 tysięcy nowych czytelników, i aby Cię tak kochali jak my, starzy. *P.*

* * *

Janków w marcu.

Kochana „Praco".

Jak grom spadły na Ciebie w ostatnich tygodniach te konfiskaty, ale się ich nie bój, bo my czytelnicy wiernie przy tobie stoimy i na wszelki sposób cię popierać będziemy. Słyszałem ja, że w tych numerach, które pobrali Prusacy, były jakieś ważne artykuły w obronie naszego rolnictwa to jest za cłami.*) Bardzo temu wierzę, bo też bym się dziwił, żeby nasi rolnicy do „Pracy" nie pisali, bo wiedzą przecież, że każde zdanie w Redakcyi jest zawsze uwzględnione. Więc proszę jeszcze raz wydrukować te artykuły, abyśmy i my rolnicy mogli nasze zdanie wypowiedzieć.

W naszych czasach to rolnik niejeden jeszcze biedniejszy od robotnika, bo

*) Policya przed trzema tygodniami zabrała nam przygotowane do druku artykuły w tej sprawie. Red.

robotnik w sobotę dostanie swoją wypłatę, choć małą, a rolnikowi to ziemia takiej wypłaty nie daje. Więc ja myślę, że gdyby przez podwyższenie ceł nasz los się polepszył, toby niewątpliwie i wszystkim innym klasom społecznym było z tem dobrze, bo jeśli rolnik ma pieniądze, to i kupiec i rzemieślnik jest w dobrobycie.

Ja sądzę, że skoro robotnicy mają daleko więcej pieniędzy na picie wódki, niż rolnicy, to chyba świadczy to o złych stosunkach rolników. My rolnicy mamy tyle kłopotów na głowie, ile ich pewnie robotnik niema. Z czego tu zapłacić procenty, polisy ubezpieczenia, a podatki, a coś na ulepszenie gospodarstwa zakładów porobić. I skąd to ma się brać, jeśli dochody małe? To nam głowa pęka. A tu słońce spali, wiatr wysuszy, wilgoć zniszczy, mróz zwarzy — i nawet perkami się dobrze używić nasz rolnik nie zdoła. Jak „Praca“ i inne pisma musiały chcąc nie chcąc podwyższyć prenumeratę, bo obstać nie mogły, tak samo i my rolnicy obstać nie możemy przy tych cenach. Niech tylko zmniejszy się w miastach pijaństwo, a pewnie pomimo i o fenig droższego chleba będzie lepszy dobrobyt robotnika, niż dzisiaj. W roku 1891 było żyto po 11—12 mk. za centnar, a dziś stoi na 6! Cóż my tedy możemy robić, aby się ratować? Ten głos mój pewnie i niejeden robotnik podzieli.

A teraz życzę kochanej „Pracy“ najlepszego powodzenia i zapewniam, czy tak czy owak będzie z cłami, to dopóki ostatnia bieda nas nie zje, my „Pracy“ z rąk nie popuścimy, lecz będziemy ją coraz bardziej popierać, jako jedyne pismo, które nas prowadzi naprzód i siły dodaje.

Przywiązany czytelnik
K.

* * *

Piaski, 23 marca 1901.

Szanowna „Praco!“

Widząc te wszystkie utrapienia, jakie przechodzisz, niema chyba żadnego czytelnika, który tak samo jak i ja nie czułby obowiązku szerzenia pomiędzy znajomymi tego przywiązania do twych zeszytów. Gdym tu przybył, do małej mieściny przed rokiem, zaledwie jeden egzemplarz przychodził „Pracy.“ Dziś listonosz dźwiga ich co niedzielę tyle, że aż się gnie pod ciężarem. Gdy to widzę, to aż mi serce rośnie... A wciąż przybywają nowi czytelnicy.

Numer górnoślązki bardzo nam się podobał, ale też i zapewiedź, że o Księstwie będziesz pisać dużo w przyszłym kwartale. Cieszy nas to wszystkich, że ty, kochana „Praco,“ przedstawiasz sobą właśnie jakby jeden z tych łączników pomiędzy ludem poznańskim a ślązkim i zachodniopruskim, a nawet wychodźtwem. Z ciebie się uczy lud, że nie w teoryi, ale naprawdę jest jednym ludem polskim, który siebie zawsze i wszędzie jako jedno ciało powinien kazać uważać. Lud ten, kochana „Praco,“ nigdy cię nie opuści i zawsze pod Twym sztandarem iść będzie.

A więc rozszerzajmy „Pracę,“ rodacy.

Małomieszczanin.

Mowy

wygłoszone na wiecu w Witkowie.

Mowa kowala Zamiary z Mielżyna.

Szanowni panowie!

Dwa lata dopiero upłynęły, jak byłem na wiecu generalnym w Poznaniu. Słyszałem tam, jak gorąco broniono św. naszej sprawy, a tak pięknie przemawiali wszyscy w obronie naszego ojczystego języka, że aż serce rosło.

Jestem stary i słaby tu do mówienia, jednakowoż przyprowadziła mnie na to miejsce ta wiara św., którą tak gorąco kocham, a w której się wychowałem, i ta mowa polska, w której się pacierza uczyłem, miłość do tej ziemi naszej drogiej, na której się zestarzałem.

Szanowni panowie, gdy stoję wśród was, cieszę się i raduję, że tak licznie zebrani jesteśmy, bo dziś o ważniejszą i świętszą jeszcze sprawę nam chodzi: o religią świętą. Jej bronić chcemy i głośno wołać będziemy, by naszym dzieciom nie wydzierano tego skarbu najdroższego, by dozwolono im uczyć się pacierza w tym języku, który nam tak drogi jest, a dla dzieci jedynie zrozumiały, a może Bóg da, że wołanie nasze zmiękczy serca i straszne niebezpieczeństwo od nas odwróci.

Szanowni panowie, toć sami przyznacie, że zły ojciec i zła matka tylko o dzieci swoje nie dbają, ale dobrzy rodzice to starają się dzień i noc, aby temu dziecięciu było dobrze, aby wychowało się na pociechę kraju i podporą było rodziców. (Brawa!)

Ach, smutek dręczy człowieka i żałość wielka ogarnia nas, gdy słyszymy, że dzieci nasze naukę religii pobierać mają w języku niemieckim, że podobno już w Poznaniu i innych miastach w obcym uczą się języku.

Strach wielki, by i na nas to nieszczęście nie spadło, więc kto Boga miłuje, komu wiara miła, ten niech się z nami łączy, aby wspólnemi siłami to złe od nas odwrócić i dzieci ratować.

(Brawa!)

Czytałem ja wprawdzie w gazetach, że ministrowie mówią, iż to tylko panowie i księża krzyczą na to, że szkoła dziś nie wychowuje dzieci dobrze, ale, że my mieszczanie i lud z tego jesteśmy zadowolnieni. Oj nie prawda, bo mnie nikt nie podburzał, a wiem i czuję, że nam się wielka krzywda dzieje, a sobie myślę, że wszyscy, jak jesteśmy tu zebrani, zgodnie zawołać możemy, że większej krzywdy chyba już zrobić nie można.

(Burzliwe brawa i wołanie: Tak jest!

Bo czyż my rodzice tak twardego jesteśmy serca, żebyśmy nieczuli patrzeli na udręczenie naszych dziatek, które tak bardzo kochamy.

Bo, że są udręczone tego nikt nie zaprzeczy. Gdy przed 15-stu laty szkoła uczyła jeszcze w języku naszym ojczystym czytać, pisać i religii św., to oto w tym czasie moi synowie z wielką radością szli do szkoły, a w religii św. tak się wyuczyli, że ksiądz nie miał żadnej biedy do spowiedzi św. ich przygotować, a nawet po niemiecku mówić czytać i pisać tak się nauczyli, że dziś w dalekim świecie dadzą sobie radę. Tak było dawniej i było lepiej.

(Głosy: słusznie!)

Ale dziś, gdy dzieci po niemiecku religii św. uczyć się mają, gdy w szkole ten obcy język słyszą a nasz ukochany język polski jak jaki zapowietrzony z niej wygnany, to dziecko tylko z musu, z niechęcią i ze strachem do szkoły chodzi i niczego się nie nauczy.

(Brawo! Słusznie!)

Toć obcego języka nie rozumie, a choć pan nauczyciel tak pięknie gada, to siedzi nie przymierzając, jak na niemieckiem kazaniu, a wróci do domu i spytam się, to ani bąknąć nie umie.

(Brawo!)

Więc aż ręce załamałem, gdy wyczytałem, że nawet religii św. i pacierza dzieci po niemiecku uczyć się mają, a przecież ja znam z bliska tak gorliwych katolików Polaków, którzy się nauczyli kochać swoją św. wiarę i swój język ojczysty a po niemiecku umieją.

(Brawo!)

A jakbym też zamiast „Ojcze nasz“, „Vater unser“ miał mówić, to człowiekowi ani serce się nie rozgrzeje, ani o Bogu pomyśli i z takiej modlitwy bodaj czy wielką pociechę miałby Pan Bóg.

Bo w polskim języku uczyła mnie matka pacierza, toć nie dziw, że w nim Boga mego chwalę i w nim się modlę.

A ja przecież już stary i dużo na świecie widziałem i czytałem, a czytałem, jak szkoła może wyprowadzić złe skutki, jeżeli dzieci nic rozumieć nie mogą. I oto przykład.

(Tu mówca przytacza przykład zdziczenia moralnego pewnego wyrostka dla braku należytej nauki religii.)

Więc sam siebie pytałem, czy nie musi stracić takie dziecko miłości do swojej wiary św., jeżeli odbiera naukę w niezrozumiałym języku, czy pobożnie, jak tego nasz kościół chce, pacierze będzie mówiło, czy będzie znało i katechizm i historyą św., gdy tylko w obcym je usłyszy języku. I powiedziałem sobie: nie, takie dziecko zatraci wiarę swoją i będzie gorsze od poganina, i dla rodziców swoich będzie złem i niewdzięcznem.

Szanowni panowie! Chociażby dzisiejsza szkoła nawet więcej działała w naszym języku, to nie wystarczy, jeżeli my rodzice nie przyjdziemy naszym dzieciom w pomoc.

Katechizmu i historyi św., dzieci w domu uczyć trzeba i nie wolno w tem rodzicom na szkołę się spuszczać, bo nauczyciel dziecku nigdy rodziców nie zastąpi.

Niech dziecko uczy się na elementarzu, potem na małym katechiźmie, a kiedy czas przyjdzie, aby poszło do księdza na naukę, będzie ku swojej radości i pociesze dla rodziców.

Ale i ojcowie powinni wzorem być dla swoich synów i przyświecać im dobrym przykładem naśladowania zwyczaju przodków naszych.

Szanowni panowie! Pytam się sam siebie, czy też to wszystko złe, i ta krzywda, która nam się dzieje, nie jest palec Boży i kara za przodków i nasze grzechy, a jeżeliśmy zgrzeszyli, to pokutować musimy, bo inaczej zginiemy na wieki. (Brawa! i oklaski.)

Człowiek, który sprawuje swój urząd sumiennie, jak taki urzędnik lub nauczyciel, odbiera od władzy pochwałę albo też gratyfikacyą.

A my Polacy czy nie wypełniamy prawa krajowego nam przepisanego, czy niechętnie idziemy służyc w szeregi wojskowe? Czy my niechętnie wystawiamy piersi nasze na obronę kraju. (Głosy: tak jest!) Czy niechętnie płacimy podatki? Czy nareszcie nie składamy ciężko zapracowanego grosza na dwustumilionowy skarb na wykupienie ziemi naszéj, a do której udziału nie mamy? A przecież my nie chcemy pochwał, i nie żądamy żadnych gratyfikacyi, my tylko żądamy sprawiedliwości naszej, która nam się należy.

(Huczne oklaski!)

Szanowni panowie! Patrząc na to wszystko złe, nie możemy rąk zakładać, ale tem gorliwiej pracować nad dobrem wychowaniem naszych dziatek. Przedewszystkiem bądźmy zgodnymi, na której to jedności wszystko się opiera.

Jedność daje rodzinie dobrobyt, miastu i wsi swobodę, a krajowi i na polu boju daje zwycięstwo. Tak i my bądźmy jednymi, a jeżeli będziemy jednymi, to chociażby największe złe na nas spaść miało, to wszystko za pomocą Bożą zwyciężymy.

(Długotrwałe oklaski i okrzyki.)

Mowa fornala Wojciechowskiego z Małachowa:

Zacni panowie, kochani bracia!

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Kiedym się dowiedział, że tu w Witkowie mają się na wiec zebrać ojcowie polscy, by radzić nad wychowaniem religijnem dziatek naszych, zgłosiłem się i ja, prosty człowiek pracy, aby ze serca swoją gorycz wylać. Ja przecież myślę, że każdy mieszkaniec tego kraju powinien swoje myśli jawuie i otwarcie wypowiedzieć, żeby też rząd wiedział nie tylko to, co niektórzy ludzie w gazetach piszą, ale i to, co myślą ludzie z najniższego stanu. (Brawo!)

Każdemu człowiekowi na to Pan Bóg dał rozum, żeby nad wszystkiem, co widzi i co przechodzi, rozmyślał, a na to język, żeby swoje myśli wypowiedział. Kiedy ja tak sobie wspomnę, jak chodziłem przed 25 laty do szkoły w Mąkownicy i jak się tam uczyłem, a gdy patrzę dziś na moje dzieci i na ich naukę, to aż mnie strach zbiera. Bo jak się ich spytałem, czy one też rozumieją, co tam piszą i czytają, to dzieciaki z płaczem odpowiedziały, że pan nauczyciel im tam tego nie przetłomaczy, jeno grozi, że trzciną dostaną, jak nie będą umiały.

Za moich czasów przecież było inaczej. Pan nauczyciel wszedł do szkoły, pochwalił Pana Boga, który przecież był najpierwszym i największym nauczycielem, zmówił z nami pacierz i rozpoczął naukę. Naturalnie, prowadził ją po niemiecku, ale wprzódy wszystko na polskie przetłomaczył, to my go też rozumieli, i wyszliśmy ze szkoły, nauczywszy się czytać i pisać po polsku i po niemiecku i znając wszystkie tajemnice naszej wiary świętej.

(Brawo!)

A dziś co się dzieje? Jest co prawda więcej szkół, jak było dawniej, jest też więcej panów nauczycieli, ale — ja prostaczek z przekonania to mówię — jest wiele mniej nauki i wiedzy u naszych dzieci.

(Oklaski i brawa!)

Ja widziałem dużo dzieci, które wyszły ze szkoły i nie rozumiały słowa żadnego po niemiecku, ledwie pisać potrafiły swoje nazwisko, przewracając niemieckie i polskie głoski, jak pijany stołki.

(Brawo!)

Dziś — z bólem serca to powiedzieć muszę, idą nasze dziatki do szkoły osłami, a wychodzą z niej wołami.

(Głosy: tak jest! święta prawda!)

Jakto? czy to nasze dzieci takie są głupie, że ich niczego nie można nauczyć?

O nie; trzeba tylko chcieć je czegoś nauczyć, a nauczą się bawiąco, bo nasz naród polski taki ciemny nie jest. Ale widocznie dzisiejsza szkoła nie chce nauczyć czegokolwiek naszych dzieci, bo nie wykłada im nauki po polsku, w ich ojczystym języku! Ja nie wiem, że też to tego nie chcą nam przyznać. No, proszę was, zacni panowie i kochani bracia, ja, prostaczek, udowodnię wam zaraz teraz jasno, że niepodobną jest rzeczą nauczyć czego kogoś bez pomocy ojczystego jego języka. Oto niech tu do nas przyjedzie najlepszy i najmędrszy nauczyciel chiński, powiem raczej z Chin, i niech nauczy dorosłych Niemców, chociażby i nauczycieli, po chińsku, nie znając i nie używając do tej nauki języka niemieckiego.

(Śmiech ogólny i brawo!)

Jakże więc mają nasze sześcioletnie dzieci, co idą do szkoły i słowa po niemiecku nie rozumieją, nauczyć się po niemiecku?

Przecież my, rodzice Polacy, chcemy, żeby nasze dzieci nauczyły się też po niemiecku, bo, czem więcej człowiek umie, tem lepiej i dlatego właśnie żądamy, żeby szkoła, na którą też podatki płacić musimy, rzeczywiście dzieci czegoś nauczyła. Czytałem ja często w naszej gazetce, że, jak nasi posłowie w Berlinie mówili, nasze dzieci dziś, gdzie w szkole wszystko jest po niemiecku, nic po niemiecku się nie nauczą, to pan minister im odpowiedział, że on ma berychty, iż tak nie jest. O, wielemożny panie ministrze, to nieprawdziwe te berychty pańskie!

(Huczne, długotrwałe oklaski.)

Niech pan minister tu sam przyjedzie i egzaminuje dzieci, ale nie w tem, co na pamięć umieją, a przekona się, że my, co się w szkole po polsku uczyli. więcej po niemiecku umiemy od naszych dzieci.

Na zakończenie jeszcze raz powtarzam: „Dzisiejsza szkoła nie jest jak się należy, a jej uczenie nie będzie pożyteczne, ani dla świata, ani dla rodziców, ani dla dzieci!“

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

(Grzmiące brawo i oklaski.)

Mowa gospodarza Wojciecha Brzezińskiego z Jerzykowa.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Serdeczni bracia rodacy!

Zebraliśmy się jako synowie jednej nieszczęśliwej Matki, aby jeden przed drugim jako bratem się użalić w naszej ciężkiej niedoli i wyłuszczyć co nam dolega i co nas boli.

Włosi podczas zarazy boso i z odkrytemi głowami odprawiali procesye, wołając: litości, litości; tak i my na wzór tamtych urządzamy zebrania bosi prawie i nadzy, bośmy z wszystkiego wyzuci i wołamy do Boga kornie ze łzami: cierpliwości nam Boże daj! a do rządu wołamy: sprawiedliwości i prawnej słuszności! (Trzykrotne brawo!) Jak tamtych tak i nas Pan Bóg wysłuchuje, bo daje nam cierpliwości aż nadto, u rządu zaś dla sławnych berychtów nie możemy doznać sprawiedliwości, a na dobitkę wołają nasi najserdeczniejsi do rządu: ausrotten. ausrotten — wytępić, wytępić! (Brawo!)

Jesteśmy potulnymi, pokornymi, na wolą Bożą się zdającymi poddanymi, ale zdaje się, że ta nasza pokora nam tylko szkodzi, bo przeciwnicy nasi nie uważają nas za pokornych, ale za ciemnych i głupich, nie wiedzących, co nam się prawnie przynależy (głosy: oho!) i powiadają jeszcze szyderczo, że my bylibyśmy bardzo zadowoleni z ich ojcowskich rządów (głosy- nie prawda! nieojcowskich!) że nam tak dobrze u nich, jak u Pana Boga za piecem (głosy: nie prawda!), tylko księża nas buntują; a więc widzimy, że oni rzeczywiście nas chłopów mają za głupich, nie wiedzących, co jest złe, a co dobre, co krzywda, a co sprawiedliwość. A jak to nas księża buntują? — Czy przez to, że bezustannie nam głoszą: Miłujcie nieprzyjaciół waszych, czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą, a módlcie się za tych, którzy was prześladują i obrażają; albo przez to, że co niedzielę modlą się wespół z nami za kraj, za rodzinę królewską, za wojsko itd. (Głosy: Tak jest!) Nie potrzebujemy się niczego obawiać, bo nie jesteśmy żadnymi przybłędami, pasibrzuchami, nie przyszliśmy tu z taczką, ni z płachtą, jesteśmy tu na swoich śmieciach, nikomuśmy nic nie zabrali, niceśmy nie winni, mamy sumienie czyste, ani też nie jesteśmy Nobillingami, ani Weilandami, na życie monarsze czyhającymi zbrodniarzami, (burzliwe oklaski i brawa!) dlatego nie bądźmy psami niememi, niech się cały świat dowie, jaka się nam krzywda dzieje. A dzieje się nam i dzieciom naszym krzywda niesłychana, bo nietylko, że nas chcą ogłodzić doczeŝnie, ale i wieczyście, bo nam chcą zabrać język, abyśmy zamilkli na zawsze, aby potomkowie nasi nie wiedzieli, z jakiego pochodzą rodu, dlatego wyrzucają język polski ze szkół i usuwają księży od nadzoru religii w szkołach.

W krajach czysto pogańskich uczą dzieci w ojczystym języku, w państwie zaś niemieckiem, które to chce uchodzić za najbardziej oświecony naród, odbywa się z naszemi polskiemi dziećmi wręcz przeciwnie. (Oklaski).

Matka Polka uczy dziecko pacierza, słowem wszystkiego, co dobremu Polakowi i katolikowi potrzebne, po polsku; wie to każdy z kapką rozumu, a któremu piątej klepki nie brak, że inaczej być nie może, bo taka jest wola Boża, bo nie na to nas Pan Bóg stworzył Polakami, aby po niejakimś czasie w Niemców się przemienić, bo nie jesteśmy gąsienicami, aby się w poczwarki zamieniać.

(Głosy: Nigdy nie zostaniemy Niemcami!

Nawet bezrozumne stworzenie, jak kura, do swych młodych nie będzie kwakać, ani kaczka gdakać. (Ogólne brawa!)

Z temi przez 6 lat w ojczystym języku nabytemi wiadomościami przychodzi dziecko do szkoły, która to zamiast przez rodziców rozpoczęte dzieło dalej prowadzić i uzupełnić, burzy wszystko od razu, nauczając w obcym, dla dziecka niezrozumiałym języku, a szukając zanadto kijem od tyłu drogi do serca. — (Homeryczny śmiech i burzliwe oklaski.) Dzieci słyszą ustawicznie „der die dasy,“ na plecy dostają kiełbasy — ale kijem. (Ogólna wesołość i brawa!)

Jak się pewien nauczyciel wyraził, jest dzisiejsza nauka niczem więcej, jak tresurą małp i papug. (Głosy: Tak jest!) Słuchajcie bracia drodzy, potomstwo po tak wielkich przodkach, sławnych bohaterach, jak Sobieski, którego to niemiecki poseł na kolanach o pomoc błagał (burzliwe oklaski), uważane bywa teraz za rodzaj małp i papug.

Dzieci nasze są na obraz i podobieństwo Boże stworzone; więc żądamy, aby jako takie nam szkoła wychowała na ludzi Bogu miłych, a bliźniemu pożytecznych. A tu żal się Boże! ni dla Boga, ni dla ludzi, więc obawa w nas się budzi, że to będą socyaliści, anarchiści, słowem antychryści. (Oklaski.) A przysłowie mówi: Jakie wychowanie, takie zachowanie. Niemcy powiadają, że dają nam język piękniejszy, za taką życzliwość serdecznie dziękujemy. Huczne, długotrwałe oklaski i wołania: nie chcemy! Naszego giętkiego, cudnego nad wyraz pięknego polskiego języka, tej świętej spuścizny po ojcach naszych, którym to tylu świętych Boga chwaliło, nie zrzeczemy się za nic w świecie, (entuzyastyczne wołanie: nigdy), bo to jest nierozerwalne z wiarą naszą św. katolicką, bo kto nie jest dobrym Polakiem, nie jest też z pewnością dobrym katolikiem. (Ogólne brawa!) W pewnej szkole po śmierci nauczyciela Polaka, zastępował przez pewien czas nauczyciel Niemiec 3 dni w tygodniu i nauczyciel Polak drugie 3 dni. Ów Niemiec, nie umiejący po polsku, pyta się małej dziewczynki: „Wie heisst du?“ dziecko wytrzeszczyło oczy i nic, nauczyciel powtarza to samo, nareszcie dziecko też: „Wie heisst du?“, nauczyciel się zrazu roześmiał, ale dodał zaraz: „Schafskopf!“; dziewczę ośmielone uśmiechem nauczyciela, że to pewnie dobrze powiedziało, powtarza też czemprędzej „Schafskopf!“ (ogromna wesołość); nauczycielowi było tego za wiele, sponiewierał dziewczę co nie miara. Nauczyciel ów bił, poniewierał dzieci bez miłosierdzia, przeklinał i lżył jak: „Dummes polnisches Vieh“ i t. d. jedynie ze złości, że się nie mógł z niemi porozumieć.

Szkoła przecież nie jest zakładem karnym, bo i tam bić nie wolno, nawet nad koniem, psem lub innem zwierzęciem podług prawa pruskiego znęcać się nie wolno pod uniknięciem kary. Gdy dzieci zaś nasze bywają sponiewierane, jak nieraz czytamy, że nawet na śmierć to tam można chodzić od Anasza do Kaifasza, a wreszcie za drzwi cię wyproszą — i zażalenia nie bywają uwzględniane dla owych sławnych berychtów, takich ludzi, jak sławny komisarz Carnap i jemu podobnych (głosy: tak jest!)

Pewien sąsiad powiada, że dziecko jego zrywa się we śnie i pewtarza: „Gott hat mich erschaffen“, gdy go się rano pyta, co to ma znaczyć po polsku, odpowiada, że je Bóg zrobił owcą.

Tyle już zostało w teraźniejszej szkole oćwiczone, że wie, iż Gott jest Bóg, a Schaf owca (ogólny śmiech i brawo!), przytem słyszy od nauczyciela to pochlebne słowo Schafskopf, więc już jest pewne, że Bóg stworzył owcę (wesołość). W te dni, co ów zastępca Niemiec miał uczyć, jakby zaraza spadła, bo połowa dzieci chorowała i nie szła do szkoły.

Nie jestem lekarzem, ale wiem, że od strachu też zachorować można. Powiedzcie teraz, bracia drodzy, jak to dziecko mogło się czegoś nauczyć, kiedy ono miało robotę trzymać się za brzuch i myśleć o tem, aby mu się od strachu coś nieprzyjemnego nie stało (homeryczny śmiech i burzliwe oklaski).

To też przez 8 lat regularnego chodzenia do szkoły, dzieci prawie nic nie umieją, bo gdy co napiszą, to tam polskich, niemieckich, nawet i ruskich głosek nie brak. Doprawdy, trzeba być w teraźniejszej szkole oćwiczonym, aby to przeczytać (ogromna wesołość).

Za tak ciężki pieniądz, składamy na nauczyciela, zamiast wyręczenia, mamy tylko zmartwienie (głosy: Tak jest!), bo nietylko, że się dzieci nic nie nauczą, ale nam jeszcze dzieci katują i poniewierają, i gdybyśmy ich sami w domu nie uczyli, to poszłyby cielętami a wyszły wołami (wielka wesołość). Zdaje się, że na to tylko jesteśmy, aby „Maul halten, Steuer zahlen“ (pysk zamknąć i podatki płacić) (głosy: oho!)

A teraz jak się ma z religią? Do kogo to Pan Jezus powiedział: „Idźcie i nauczajcie wszystkie narody“? Czy do Falków, Bossych, Studtów lub Bismarków? Każdy wie, że nie (wielka wesołość), tylko do Apostołów i ich zastępców w urzędzie kapłańskim, tym to Pan Jezus dał władzę nauczania wszystkich narodów — do których i my Polacy z pewnością należymy (głosy: Tak jest!) — i wychowywania ich dzieci. Chrystus Pan jest królem nieba i ziemi, Jego mają słuchać wszystkie narody, a te, które słuchać nie chcą, prędzej czy później skruszy jak garnek gliniany (ogólne trzykrotne brawo!) Jeśli naród chce być chrześciańskim, musi uznać Chrystusa swoim Panem, a więc poddać się prawu Bożemu (i przyznać Kościołowi prawo wychowania dzieci. Każdy chrześcianin wie, że rządy Kościoła w szkole nie są dla państwa niebezpieczne, bo jak może być niebezpiecznem to, co Chrystus postanowił?

Widzimy więc, że i tu nie dzieje się pudług nauki Chrystusa, bo rząd niemiecki sprzeciwia się prawu Bożemu, bo nie Kościół, tylko minister protestancki rządzi szkołą, do której to my katolicy nasze dzieci posyłać musimy, nie mając żadnej pewności, że zostaną wychowane w wierze, jaką my wyznajemy i w jakiej umrzeć pragniemy, bo jakże protestant może polecać nauczanie wiary katolickiej, kiedy on jej nie zna i zdaniem jego jest błędną. Również inspektor szkolny, protestant, nie znający wiary św., nie może nadzorować nauczyciela, aby tenże z pożytkiem uczył wiary katolickiej.

A jak wygląda w szkołach mięszanych, gdzie nie ma żadnego obrazu świętych, gdzie protestanci i żydzi naśmiewają się ze spowiedzi, odpustów i obrządków kościelnych, a dzieci nasze muszą tego słuchać, a więc co w domu zbudują, to w szkole zrujnują! (ogólne brawo!) a jakie wychowanie takie zachowanie.

Nie do opisania wielka krzywda nam się dzieje, ale czyż wobec tego założymy ręce bezczynnie i narzekać tylko będziemy? (Ogólne wołanie: Nie!)

Czyż wiara nasza katolicka, cudny język polski, te pieśni i wspomnienia narodowe mają iść na zatracenie? (Głosy: przenigdy!)

Dziś nie słychać polskiej pieśni,
Inne hasła, obcy ludzie,
Polskość skryła się gdzieś w cieśni
Nie ulegniem żadnej złudzie,
Dzisiaj dręczy cały kraj
Hakatystów piękny maj.

My tu dziś zebrani wiecownicy protestujemy wobec Boga i całego świata przeciw rozporządzeniom ministrów, dotyczących nauki polskiego języka i religii, również protestujemy przeciw wszelkim prawom antypolskim i wyjątkowym i oświadczamy, że nie żądamy niczego więcej, jak tylko równouprawnienia.

(Frenetyczne oklaski.)

My zaś ślubujmy sobie, że dopóki serca nasze biją, nie uronimy nic z tych św. pamiątek, ale je w całości przekażemy dzieciom naszym; uczmy je czytać, pisać, mówić i myśleć po polsku, śpiewać pięknych pieśni kościelnych i narodowych. Ślubujmy sobie także, że wpajać będziemy w młode serca miłość ojczyzny, aby nie opuszczały lekkomyślnie tej dobrej matki, która jeszcze nikogo nie ogłodziła i żeby strzegli jej jako młode orły gniazd swoich, (oklaski), a tym, którzy to drogie rozdzierali ciało i obcym na pastwę rzucali szczątki, przebacz Panie, przebacz i oświeć, by przejrzeli, bo dosyć już wstydu i hańby.

Gdy razu pewnego przyszedł anioł na ziemię w swe strony rodzinne tu około Witkowa, zajrzeć do pałaców, tam obcy mieszkali, otarł łzę w oku i poszedł w stronę wioski rodzinnej. Po drodze tak mówił do siebie: Czy tam jeszcze wszystko jak dawniej? Niestety, przyszedłszy do wsi westchnął: Gdzież te chatki mchem pokryte? Gdzież ten dworek wśród lip ukryty? Gdzie te pieśni, płynące jedną modłą rzewnie ku górze? Czemu tu tak zimno, tak obco? Nie — to chyba nie moja wioska rodzinna, gdzie stała moja kolebka, to jakaś inna, a jednak mi tak znajoma. I sam anioł byłby nie poznał wioski rodzinnej, gdyby — jeszcze chłopcem będąc — nie był wyrył na olszynie znaku. Ze łzami w oczach zawołał: O, Boże mój! Po tym znaku wyrytym na starej olszy, poznaję cię, o ojców moich ziemio, lecz cóż zrobiono z ciebie? W miejscu znajomych chatek jakieś domki niebieskie, a w nich obce gwary, obce szaty, obcy ludzie, buty z drzewa gdyby łodzie.

Ciężkie westchnienie wyrwało się z piersi anioła, zakrył skrzydłem palącą się twarz, a patrząc w niebo szeptał: Przebacz, Panie, tym co nie wiedzą, co

czynią, przebacz i oświeć, aby przejrzeli, bo dosyć już wstydu i hańby.

I poszedł ku znajomej chatce na końcu wsi, a zajrzawszy przez okno, ujrzał jak robotnik polski po całodziennej ciężkiej pracy trzymał na kolanach syna i pokazywał mu litery, zachęcając do nauki ojczystego języka. Wysłannik z nieba złożył dłonie i nad schylonemi głowami znak nakreślił krzyża, a rozpostarłszy skrzydła, wzniósł się ku niebu.

Po tej wizytacyi złożył Panu Bogu następujące sprawozdanie: Panie, widziałem u polskiego ludu wiele łez i boleści wstydu i upokorzenia, przecież zwątpienia nie widziałem. Widziałem i to, że kapłan zasiadł przy chłopku w siermiędze, a pan bogaty przy ubogim rzemieślniku z jedną myślą, swój do swego. Tam gdzie wiara tak żywa, gdzie miłość współbraci nie czczem tylko słowem, tam jeszcze nic nie jest straconem.

A więc bracia drodzy, niech nadzieja wstąpi w serca nasze.

A teraz przyłóżmy rękę do dzieła, aby ten ptak czarny, wypuszczony ze saskich borów nie stał nam się krukiem unoszącym się nad naszym cmentarzem, ale raczej białą gołębicą, zwiastującą lepsze czasy.

Bracia moi, jeszcze przyjdzie
Dla zgnębionych ludów wiosna
Sprawiedliwość z góry zejdzie
I znów zabrzmi pieśń radosna.
Będziem wołać: grajku, graj
Polską nutę. Boże daj.
Bo nie wierzcie i nie mówcie, że śpi już [na wieki
I ze snu się do życia nigdy nie przebudzi
Dzień zmartwychwstania może już nie- [daleki,
Boże sądy są inne — a inne u ludzi.

(Entuzyastyczne, długotrwałe brawa i oklaski)

Mowa p. Józefa Połczyńskiego, siodlarzarza z Witkowa, o hakatyźmie wojskowym.

Kochani Rodacy!

Dotychczas skarżyliśmy się zwykle na to, że nam rząd za pomocą szkoły odbiera język nasz ukochany, a przez to wiarę i wychowanie religijne podkopuje — dalej, że przeciw prawu i przyrzeczeniom królewskim ze wszystkich urzędów język polski usunięto — słowem skarżyliśmy się na prześladowanie duchowe.

W ostatnim czasie, mianowicie zaś od czasu założenia złowrogiego towarzystwa trzech liter, wypowiedzieli nam hakatyści, a za nimi wszyscy prawie Niemcy wojnę na wszystkich polach, nawet na polu pracy i zarobkowości.

Jest to tak potworna zasada, żeby przeciw własnym współobywatelom państwa toczyć walkę wyniszczenia i ogłodzenia, że trudno odpowiednie znaleźć na to wyrażenie. (Głosy: tak jest!)

Nie znał jej świat barbarzyński i średniowieczny — honor odkrycia tejże pozostawiono — wyższej kulturze hakatystów. (Ironiczny śmiech).

W ostatnim czasie takie nawet instytucye jak poczta i wojsko, walkę nam Polakom wypowiedziały. Trudno opisać, jak głębokie oburzenie wśród nas wywołał rozkaz jenerała komenderującego w Poznaniu, wydany żołnierzom, aby tylko u kupców Niemców potrzeby swe kupowali. Cóż to ma znaczyć, kochani Rodacy! Mnie się zdaje, a porówno ze mną wszystkim rodakom moim, żeśmy Polacy, jako żołnierze pruscy, wszędzie i zawsze obowiązek nasz wypełnili i wypełniamy. (Głosy: tak jest! brawo.)

Starzy żołnierze, którzy ostatnie wojny austryacką i francuzką odbywali, którzy na własne oczy widzieli, jak wiara nasza śmiało i odważnie szła do boju, na bagnety lub armaty (prawda!) — jak zawsze i wszędzie pułkami z Polaków złożonemi do najniebezpieczniejszych wypraw się posługiwano i jak chętnie wiara nasza trudy i niebezpieczeństwa znosiła i na takowe się narażała, jak powiadam, starzy żołnierze nasi, którzy dla chwały Prus i Niemiec piersi na kule i bagnety wystawiali, pojąć nie mogą, dlaczego władza wojskowa naraz tak nieprzyjaźnie przeciw nam wystąpiła. (Przeciągłe oklaski.)

Każdy z was panowie, kto był żołnierzem, przyzna mi, że wam zawsze przy wojsku powtarzali, że Polacy to tędzy i bitni żołnierze, jakby do wojaczki stworzeni, a wiemy też z książek i historyi, że żołnierz polski, czy to dawniej w służbie polskiej, czy francuzkiej, później zaś w służbie pruskiej, czy też austryackiej we wszystkich wojnach i bitwach, gdzie tylko był użytym, męztwem swem i karnością wszystkich w podziw wprowadzał. (Głosy: prawda! racya!)

Znani są całemu światu sławni nasi ułani, którzy w Hiszpanii pod Somosierą takiem męstwem i odwagą zasłynęli, że do dziś dnia atak ich z podziwem jest wspominany — sławni są nasi dawni „Czwartacy“, o których nawet sami Niemcy pieśni pochwalne śpiewają. Męstwem zasłynęły też pułki pruskie z Polaków złożone, wtenczas, kiedy armia pruska pod Jeną w puch rozbita, nigdzie szykom Napoleona pola dotrzymać nie mogła. Wtenczas to młody Polak, w służbie pruskiej będący, Józef Sowiński, ten sam, który później w obronie Woli bagnetami Moskali skłuty, śmierć bohaterską poniósł — tak się odznaczył, że otrzymał najwyższy order pruski „Porlemerit“ (sic!), jaki tylko jenerałowie i wyżsi oficerowie otrzymują.

Jak polscy żołnierze w ostatnich dwóch wojnach chlubnie obowiązek swój spełnili, o tem świadczą liczne pomniki w tych miastach wystawione, gdzie pułki z Polaków złożone garnizonem stoją. Widziałem taki pomnik w Kołobrzegu (Colberg) — pełno na nim złotemi głoskami wyrytych nazwisk naszych Wojciechów, Stanisławów, Bartków i Kazimierzy, którzy w obronie Prus i Niemiec krew swą przelali i kości na polach Czech i Francyi złożyli.

Główny zaś napis na tym pomniku brzmi: „Den tapferen Helden, welche treu für Kaiser und Reich kämpften, das dankbare Vaterland“ (głosy: oj! oj!) — co znaczy po polsku: „Bohaterom za cesarza i państwo poległym, wdzięczna ojczyzna!“ Zastanowiło mnie to mocno. Mój Boże, za to, że ich kula trafiła, są bohaterami i całe Niemcy ich czczą i pomniki stawiają — natomiast ci, którzy obok nich w szeregu stali i porówno z nimi w ogień szli, a którzy śmierci uszli — ci są „Reichsfeinde“ i tych ta sama wdzięczna ojczyzna gnębi i prześladuje. (Grzmiące oklaski, brawo!)

Gdyby który z owych poległych i na pomniku wyrytych „tapfere Helden“ zmartwychwstał i na przykład do komisyi kolonizacyjnej o odprzedanie kawałka rodzinnej ziemi się zgłosił, odpowiedzianoby mu zimno: „Nie można, boś Polak.“ (Głosy: Prawda, prawda!)

Nie dosyć na tem, teraz nie wolno nawet u towarzyszy broni tych bohaterów żołnierzom szczotki na buty i wiksy za 5 fen. kupić, boć przecież minister wojny wyraźnie powiedział, że pochwala rozkaz wydany żołnierzom, by u kupców Polaków nie kupowali. A zapewne niejeden z tych kupców był żołnierzem i wojny odprawiał i gdyby tam poległ, byłby miał pomnik i byłby „ein tapferer Held“ — za to zaś, że szczęśliwszy, śmierci uszedł — ma być przez „dankbares Vaterland“ bojkotowany. (Długotrwałe oklaski.)

Oj, oj, dziwne to, dziwne — a nam niezrozumiałe, tak się zdaje, jakby teraz nie chciano tego, aby Polacy dobrymi byli i walecznymi żołnierzami. Wszakżeż w wojsku wciąż powtarzają, że hańbą jest w razie niebezpieczeństwa szeregi opuścić i chorągwie zdradzić, a czyż nie byłoby równą hańbą, gdybyśmy po ukończeniu służby wojskowej takie świętości jak religią i narodowość opuścili i zdradzili. (Głosy: Nigdy nie opuścimy!)

Co nas przytem niezmiernie rozgorycza i oburza, to to, że wciąż nam powtarzają, że się nam nijaka krzywda nie dzieje, że rząd jest dla nas dobry, ojcowski i t. d. (Głosy protestu: Nieprawda! nieojcowski!) Żeby przynajmniej otwarcie powiedziano: „chcemy i musimy was albo zniemczyć, albo też, jeżeli tego nie chcecie, zmarnować i zniszczyć — bo tak każe wyższa, po Krzyżakach odziedziczona polityka“, toby wiele uczciwiej było, ładniej, a my wiedzielibyśmy, że tak powiem: po czemu łokieć! (Brawa!)

Dlatego też z pogardą odpychamy równie bezczelny, jak niesmaczny dowcip jednego z posłów niemieckich, że w tem najlepszy dowód, jak rząd nam jest życzliwym, że nas chce na Niemców przerobić, a przez to w kulturze podnieść! O, nie, panie pośle Sattlerze, byliśmy, jesteśmy i będziemy Polakami, mimo twej dzikiej nienawiści do wszystkiego, co polskie. (Grzmiące oklaski).

Mówiąc słowami Sienkiewicza, które niedawno w powieści „Quo vadis“ wyczytałem, kończę moje przemówienie, że: minął Bismark, minie też hakatyzm z Sattlerami, Gosslerami, Tiedemannami, a naród polski będzie istniał, rósł i rozwijał się, dopóki Bóg pozwoli, bo naród jest dziełem Boga, którego żadne wysiłki ludzkie zburzyć nie są w stanie!

(Entuzyastyczne okrzyki i brawa!)

Mowa pana Stanisława Malczewskiego z Odrowąża o hakatyźmie pocztowym.

Wiec dzisiejszy, przez lud życzony i w czyn wprowadzony, miał ograniczyć się na przemówieniach włościan i mieszczan, którzy postanowili wyrazić na nim swe oburzenie, nad rozporządzeniem, wprowadzającem do szkół miasta Poznania naukę religii św. w niemieckim ję-

zyku, zaprotestować przeciw tak straszliwemu naruszeniu praw nam przysługujących i zażądać cofnięcia tych rozporządzeń, — debatami jednak przeszłego tygodnia w izbie sejmowej i w parlamencie odbytemi, tak zostałem ciężko dotknięty, że postanowiłem o debatach tych, do was, szanowni wiecownicy, choć w kilku przemówić słowach, dając wam obraz usposobienia rządu i posłów wobec nas Polaków.

Dola naszego narodu z każdym rokiem coraz cięższą się staje. Od lat 30 żyjemy ciągle pod obuchem praw wyjątkowych, prześladowani rozmaitemi rozporządzeniami i ustawami.

Po walce kulturnej, podczas której wielu księży a i sam Najprzewielebniejszy ówczesny nasz Arcypasterz a dzisiejszy kardynał hr. Ledóchowski, przypłacił więzieniem swą gorliwość w służbie Bożej, ustanowiono komisyę kolonizacyjną i dano jej razem 200 milionów marek na wykupienie ziemi z rąk polskich i osadzenie na niej tylko samych Niemców-protestantów; potem nastąpiły wydalania 40 tysięcy braci naszych z pod Moskala, którzy tutaj osiedlili się i w spokojny a uczciwy sposób pracowali na chleb powszedni; następnie zaprzestano w szkołach elementarnych uczyć dzieci nasze polskiego czytania i pisania; teraz, jakeśmy to z poprzednich przemówień się dowiedzieli, w Poznaniu już nawet i religii św. po polsku uczyć zaprzestano.

Prócz powyższych krzywd, jakie społeczeństwu naszemu wyrządzono, któż policzy wszystkie przykrości, na jakie są narażone nasze Towarzystwa, nasi kupcy i rzemieślnicy, nabywcy parcel i rekruci, — ba nawet nasi chorzy i sieroty, słowem cały naród? Któż w stanie jest policzyć te wszystkie małe, ale bolesne ukłucia, jakie niejednemu z nas często przychodzi znosić z rąk najniższych urzędników, którzy w ten sposób chcą okazać swą gorliwość w służbie i zasłużyć sobie na pochwałę i odznaczenie?

Do tych tak rozlicznych krzywd i udręczeń doszła w ostatnim czasie jeszcze jedna krzywda, którą chociaż wszystkie stany porówno są dotknięte, jednak najmniej wykształconym najwięcej robi przykrości. Tą krzywdą są nowe wymagania pocztowe! Wbrew słowom króla pruskiego Fryderyka Wilhelma, które przy okupacyi W. Ks. Poznańskiego wypowiedział, że „język nasz polski ma być używanym we wszystkich publicznych postępowaniach", zaprzestano jednego dnia, w połowie stycznia roku bieżącego, przyjmowania przesyłek pocztowych, adresowanych po polsku, chociaż na nich wymienione było tak nazwisko odbiorcy, jak i miejsce zamieszkania.

Polski język był jedyną przyczyną takiego postępowania, chociaż takie same przesyłki kilka dni poprzednio bez żadnej wątpliwości były rozumiane, przyjmowane i ekspedyowane.

Urzędnikom pocztowym za trudno było zatrzymać w pamięci lub nauczyć się tych kilka słów polskich, odnoszących się do tytułu, jaki adresatowi należy lub do nazwiska miasta lub ulicy, na której adresat mieszka.

Twierdzenie takie brzmi tem dziwniej, że w tem samem mieście Poznaniu, w którem za trudno było, dorosłym i wykształconym urzędnikom państwowym zrozumieć kilka słów po polsku, sześcioletnie dzieci polskie, stały się naraz tak pojętnemi, że rozpoczęto je uczyć religii św. w niezrozumiałym dla nich języku niemieckim. (Oklaski i Brawo!)

Poczta niemiecka była dla swej dociekłości i domyślności, ze wszystkich poczt całego świata najwięcej chwalona. Adresy najniezrozumialsze umiała poczta odcyfrować i poszukać adresata. Mnie samemu zdarzyło się odebrać przez pocztę list z Francyi, na którym prócz imienia, przekręconego nazwiska i oznaczenia Niemiec jako kraju zamieszkania nic więcej nie było podane, a jednak poczta mnie znalazła. Wypadek ten i tysiące innych, o których gazety na pochwałę poczty pisały, dowodzi, że rzeczywiście urzędnicy poczty niemieckiej są bardzo domyślni i nie żałowali dotąd pracy i zachodów, aby wynaleść adresata. Gdy więc naraz, jakby na komendę, zapomniano znaczenia słów polskich, postępowanie takie, przez wszystkich uważane było za nową krzywdę i nowy środek udręczenia. Przypuszczano, że władza pocztowa, dlatego tak podwładnym urzędnikom pocztowym postępować nakazała, aby Polakom pokazać, że nawet na tem dotąd spokojnem, z polityką niemającem styczności polu, Polacy równouprawnienia spodziewać się nie powinni. (Głosy: Tak jest!)

Zdawało się, że i władza pocztowa hołduje zasadzie, wyrażonej przez jednego bardzo mądrego i niby wysoce ucywilizowanego profesora, który publicznie powiedział, że Polacy nie mają innych praw, jak podatki płacić, a gęby stulić.

(Głosy: Oho!)

Posłowie nasi nie poszli jednak za tak brutalną i barbarzyńską wskazówką zaciekłego profesora, lecz owszem wierząc w świętość swej sprawy, przedłożyli ją parlamentowl niemieckiemu, dla wyjaśnienia, przypomnienia naszych praw i spowodowania naprawy. Poseł nasz Głębocki wymownemi słowy udowodnił, jaka nam się krzywda dzieje. Przedłożył setki adresów dotąd zrozumiałych, a mimo to obecnie nieprzyjętych, wskutek czego dla oddawcy powstawał koszt, dla odbiorcy opóźnienie przesyłki. Zdarzały się przypadki, że zwrócenie przekazu pocztowego oddawcy spowodowało zwłokę, a przeto protestowanie weksli i niepotrzebne procesa.

Z naszego powiatu do Poznania wysłane kiszki uległy zepsuciu, zanim zostały doręczone, chociaż wysłane były pod tym samym adresem, jaki dotąd bywał przez urzędników zrozumiany.

Księdzu Paluchowskiemu przy kościele św. Marcina w Poznaniu, nie chciano doręczyć listu, bo twierdzono, że wyraz ksiądz był poczcie niezrozumiały. Na odnośne zapytanie odpowiedział oddawca, że i on nie wie, co to znaczy, ale że słowo to czytał na drzwiach adresata, więc niech jego się o to zapytają. Dopiero wtenczas list oddano. Przezemnie wysłane pieniądze pod adresem Dankowski i Sp. zostały mi zwrócone, ponieważ wyraz Spółka nie był zrozumiany. Kilka przekazów pod tym samym adresem w latach poprzednich wysłane były zrozumiane i punktualnie doręczone.

Gazety donosiły, że pewien chory robotnik zmarł podobno z wycieńczenia, chociaż pieniądze dla niego leżały na poczcie. Gdyby był odebrał je we właściwym czasie, byłby może znowu pokrzepił nadwątlone siły, i żył.

Mimo tej nagle powstałej nieznajomości polskiego języka u urzędników pocztowych, listy nadchodzące z Królestwa polskiego i Galicyi, chociaż cały adres tylko w polskim języku był wypisany, dochodziły adresatów bezzwłocznie, a nawet o dziwo! listy po rosyjsku adresowane, nie sprawiały urzędnikom trudności zbyt wielkich, poczta bowiem ma obowiązek uwzględniać wszystkie języki. To też prócz posła Głębockiego także i inni posłowie jak książę Radziwiłł i ksiądz prałat Jażdzewski wskazywali najwyższej władzy pocztowej na krzywdę, jaka nam się dzieje, podnosząc z naciskiem, że na mocy przyrzeczeń królewskich mamy prawo do używania języka polskiego także i przy przesyłkach pocztowych. Sekretarz stanu p. Podbielski, najwyższy naczelnik poczt niemieckich twierdził z początku, że on rozporządzenia, ograniczającego język polski nie wydał, party jednak przez posłów przyznał, że pochwalił poznańskiej dyrekcyi pocztowej ostre wystąpienie przeciw Polakom, wysyłającym wartościowe przesyłki adresowane po polsku. Przytem pogroził nam, że gdyby biuro tłomaczowskie nie nadążyło tłomaczyć adresów, zakaże przyjmować paczki po polsku adresowane. Pan Podbielski w swej długiej mowie powiedział jeszcze, że tem samem prawem co my polskich adresów, mogłaby i chińska jaka sekta żądać prawa pisania chińskich adresów na paczkach. (Głosy oburzenia.)

Uniesiony po prusku zrozumianą obowiązkowością, zapomniał p. Podbielski, że my nie tworzymy sekty, lecz pod samym rządem pruskim 3 milionowy naród, który zna swoją 1000 letnią historyą i że i jego, p. Podbielskiego jak i jego żony z domu Twardowskiej przodkowie, oglądając do dziś dnia w Kruszwicy nad brzegiem Gopła stojącą większą wieżę, dumni się czuli, że należeli do narodu z tak świetną przeszłością. (Długotrwałe oklaski).

Z biegiem czasu wyparli się Podbielscy swej narodowości, i stali się Prusakami, bo im się w Prusach dobrze działo, my chociaż nam się tutaj źle dzieje i krzywdę za krzywdą znosić musimy, naszej nieszczęśliwej narodowości, dopóty tuku w kościach i pary w ustach, się nie wyprzemy, bo pozostać chcemy Polakami z pokolenia w pokolenie. (Głosy: w najdalsze pokolenia! i długotrwałe oklaski.)

W tych debatach polskich wzięły wszystkie stronnictwa polityczne udział, przyczem okazało się, którzy z Niemców są sprawiedliwsi i życzliwie nam usposobieni, a którzy naszymi wrogami. Niemcy-katolicy, partya wolnomyślna, a nawet socyaliści, bronili naszego prawa, wykazując krzywdy, jakie nas ze strony rządu ciągle spotykają. (Głosy: cześć tym posłom!)

Natomiast partye konserwatywna i niby liberalna, które prawie z samych hakatystów się składają, nie tylko broniły poczty i rządu, ale żądały jeszcze ostrzejszego z nami postępowania (głosy: gałgany!). Jeden z takich posłów dał nawet świadectwo swej wysokiej cywi-

lizacyi, bo radził rządowi, aby wszelkie przesyłki podlegające zepsuciu tak długo trzymać na poczcie, aż się zepsują, wtenczas to jak sądził, wyrzeczemy się naszego prawa i po niemiecku adresować będziemy.

Ta barbarzyńska rada jednak nie znalazła posłuchu u rządu, bo rząd dobrze o tem wie, że my Polacy, chociaż ciężką jest dola nasza, praw naszych za nic w świecie się nie zrzeczemy. (Jakiś włościanin woła: będziemy się bronili do grobowej deski!). Inny hakatysta, jeszcze dalej posunął swą zaciekłość, bo twierdził, że nam się żadna krzywda nie dzieje, tylko przeciwnie sami na Niemców nastajemy, wszystko Niemcom wydzieramy, a udając niewinnych baranków, chcielibyśmy Niemców i całe państwo niemieckie zniszczyć i zmarnować. To też

1) wy rólnicy, którzy będziecie chcieli od komisyi kolonizacyjnej kupić parcelę, lub zażądacie konsensu na kolonią, a nie dadzą wam,

2) wy rzemieślnicy, którym odbiorą roboty rządowe lub nie dadzą ich, chociaż i wy porówno z wszystkimi podatki opłacacie i praw słuchacie,

3) wy robotnicy, których w chorobie zamiast do katolickiego do protestanckiego poślą lazaretu,

4) wy, którym nie dadzą pokrewnej sieroty na wychowanie, tylko ją do protestanckiego oddadzą domu,

5) wy, których synów lub braci jako rekrutów lub urzędników w dalekie niemieckie i protestanckie pognają strony,

6) wy, których dzieciom nie pozwolą ani w szkole ani prywatnie uczyć się języka polskiego i religii św. po polsku,

wiedzcie i pamiętajcie sobie, że to dlatego tak się dzieje, że wy udajecie niewinnych baranków, a w rzeczywistości chcecie całe Niemcy razem z 3 milionami wojska i tysiącami armat naraz pożreć. (Grzmiące oklaski.)

Przed kilku dniami, gdy dzielny nasz poseł ksiądz prałat Jażdzewski interpelował rząd co do funduszu gadzinowego, przeznaczonego na popieranie niemczyzny w dzielnicach polskich, sam minister p. Miquel twierdził, że my Polacy jesteśmy wrogo usposobieni dla państwa i że dopiero wtenczas, gdy okażemy przywiązanie do państwa, rząd więcej wyrozumiały, więcej ludzki dla nas będzie i cofnie środki represyjne.

Pan minister przyznał więc pośrednio, że rząd z nami nie zupełnie po ludzku się obchodzi i że środki represyjne są przeciw nam stosowane.

Nie widziałem na oczy pana ministra, ale chociaż go nie widziałem, wiem, że jak p. ministrowi osa zacznie brzęczeć koło nosa, to nie czeka, aż go użądli, tylko ręką i chustką macha, aby ją odstraszyć. (Oklaski i wesołość.)

Nas obsiadły całe roje os i kłują pod postacią praw wyjątkowych, zabrano nam język ojczysty ze szkół, a teraz i na religią św. czyhają, całe oksefty krwi pod postacią talarów w podatkach ściąganych z nas wytoczono, straciliśmy już prawie nadzieję, że chociaż jaka znaczniejsza część tych milionów, w postaci pensyi urzędniczej lub parceli rolnikowi polskiemu korzystnie przez komisyą kolonizacyjną sprzedanej do nas wróci, a my mamy spokojnie na to patrzeć i może za te kłucia, te bóle i krzywdy rząd i hakatystów chwalić i błogosławić szczodrobliwość pruską i iście pruską miłość? (Długotrwałe oklaski.)

Nie, panie ministrze, tego od nas nie wymagaj! (Trzykrotne brawo.)

Gdybyśmy poszli za twoją radą, ty sam musiałbyś nami pogardzać, jak nikczemnikami, a teraz mimo wszystkiego szanować nas musisz. Wszakżeż sam, panie ministrze, a z tobą wszyscy Niemcy, chwalicie Niemców, osiadłych w Rosyi, Węgrzech i Siedmiogrodzie, że umieli utrzymać język ojczysty i wiarę i popieracie ich w pracy nad utrzymaniem tych darów Bożych. Nie wymagaj więc od nas, abyśmy się dali kąsać i milczeli (entuzyastyczne oklaski.)

Pan minister twierdził, że my tylko pod przymusem poddajemy się porządkowi państwa. Tak nie jest, lecz zupełnie przeciwnie, my bowiem tylko pod przymusem poddajemy się nieporządkowi państwa (długotrwałe oklaski.)

Nieporządkiem bowiem jest tak dla nas, jak i dla państwa szkodliwym, że nam, którzy królewskiem słowem mamy poręczone prawo używania języka naszego we wszystkich urządzeniach państwa i zachowania naszej wiary św., prawa te nasze są uszczuplane, podkopywane lub zabierane (gromkie oklaski.)

Pan minister twierdził dalej, że dwujęzyczne szkoły są absurdem, tem samem stwierdził, że jego poprzednicy, którzy takie szkoły w Prusach urządzali i utrzymywali, nie znali się na rzeczy; rzeczywistość jednak przeczy temu twierdzeniu, a pan minister codziennie sam się przekonuje, że nasi dzielni posłowie, chociaż wychowańcy dwujęzycznej szkoły, panu ministrowi w wykształceniu dorównują (oklaski), szkoda tylko, że dotąd bezskutecznie wołają o zwrócenie nam zabranych praw.

Winni temu przedewszystkiem ci pruscy „patryoci", co to tylko swój osobisty interes mając na oku, rząd sobie za dojną obrali krowę; a nas dają jej na pożarcie, aby lepiej doiła. (Entuzyastyczne okrzyki i brawa, sala trzęsie się od oklasków).

Jeden z takich „patryotów" teraz zdemaskowanym został. Był on naszym największym nieprzyjacielem i zawsze przeciwko nam w parlamencie i sejmie z największą srogością występował, był też największym patryotą pruskim, patryotyzm jego jednak nakazywał obdzierać państwo. Jako wielki przemysłowiec i fabrykant, odstawiał on rządowi niemieckiemu płyty stalowe do okrętów pancernych, lecz z wielkiego patryotyzmu kazał sobie za te płyty rządowi niemieckiemu po 10 marek na centnarze więcej płacić, jak innym mocarstwom, a mianowicie amerykańskiemu.

Widać ztąd, że szczucie na Polaków to popłatny interes.

Takich patryotów jest w Niemczech, a zwłaszcza w Prusach, bardzo wielu, a i w Janówcu ich nie brak.

(Nieopisany entuzyazm dla mówcy.)

Pan minister zwrócił się w zeszły piątek do księdza prałata Jażdżewskiego z zapytaniem: co za cel mają polskie skargi, czy my jesteśmy lojalnie czyli przychylnie dla państwa usposobieni? i powiedział, że jeśli my do rządu wyciągamy rękę do zgody, to rząd jej nie odepchnie; radził przytem, abyśmy z rządem pokój zawarli. Ksiądz prałat Jażdżewski nie miał sposobności odpowiedzieć na te pytania, możemy jednak być pewni, że odpowie wkrótce i stosownie.

My, chociaż nie pytani, możemy na te pytania odpowiedzieć dzisiaj, że rządowi wojny nie wypowiedzieliśmy i w wojnie z rządem nie jesteśmy, bo nam, jako wiernym katolikom tego czynić nie wolno, *wiemy jednak, że są w Prusach takie czynniki, któreby z chęcią widziały, gdybyśmy się z motyką na słońce porwali.* (Głosy: Tak jest!)

A jaki też cel mają nasze ustawiczne skargi? Ten cel, że nie zwątpiwszy jeszcze w zupełności w poczucie sprawiedliwości rządu, krzepimy się nadzieją, że przez ponawianie skarg naszych, raz wreszcie przyjdzie rząd do świadomości, że ulegając parciu *talarowych patryotów* niemieckich, krzywdzi nie tylko nas, ale i państwo, które ma przecież obowiązek być wzorem sprawiedliwości, nawróci z tej tak źle obranej drogi *i wymierzy nam sprawiedliwość, jaka nam się nie tylko prawnie, ale i za nasze lojalne postępowanie słusznie należy.* (Grzmiące oklaski.)

A teraz, aby nie było żadnej wątpliwości, czem jesteśmy, czem być chcemy, czego żądamy i do czego dążymy odpowiedźcie mi szanowni wiecownicy na następujące pytania.

1) Czy czujecie się Polakami i katolikami? (Jednogłośny okrzyk: tak!)

2) Czy chcecie, aby wasze dzieci i wnuki katolikami i Polakami pozostały? (Jednogłośnie: tak!)

3) Czy chcecie nadal pełnić obowiązki poddanych? (Tak!)

4) Czy zawsze i to aż do skutku będziecie się upominać o przywrócenie nam należnych praw? (Entuzyastyczne tak! i aż do grobowej deski!)

Nie dajmy się przeto, żadnem prześladowaniem, żadnemi insynuacyami, żadnemi poduszczeniami i podwodzeniami zwrócić z legalnej drogi, po której dotąd kroczymy, trzymajmy się kupy, nauczmy się rozróżniać prawdziwych przyjaciół od wilków w baraniej skórze, stójmy twardo, wszyscy razem, przy naszem przyrodzonem, konstytucyjnem i królewskiem słowem zagwarantowanem nam prawie i nie traćmy nadziei, że rząd, czy prędzej czy później uwierzy w naszą lojalność, weźmie rozbrat z wichrzycielami, karyerowiczami i talarowymi patryotami pruskimi i wymierzy nam tak długo, lecz napróżno wyczekiwaną sprawiedliwość.

Wołajmy więc do rządu wszyscy razem, jak tu jesteśmy, tak głośno, aby nas, aż w Berlinie usłyszano: sprawiedliwości! sprawiedliwości! sprawiedliwości!

(Całe zebranie woła za mówcą entuzyastycznie z pełnej piersi trzykrotnie: *sprawiedliwości! sprawiedliwości! sprawiedliwości!* — na sali ogólne wzruszenie.)

Mowa p. dr. Gantkowskiego z Witkowa.

Szanowni wiecownicy!

Wiec dzisiejszy chyli się ku końcowi, tak samo, jak się kończy pogodny, słoneczny dzień, który się mile wspomina. Wiec tem większe ma znaczenie i dla nas i dla rządu, że jest — jak to śmiało twierdzić mogę — wynikiem uczuć i potrzeb sfery mieszczańskiej i ludu wiejskiego. Szczerze żałuję tego, że nie było na wiecu tych „wielemożnych", jak ich

jeden z dzisiejszych mówców nazwał, panów ministrów, bo przekonaliby się, że to był wiec ludowy, że lud sam posłał swoich wybrańców na mównicę, by tam w jego imieniu swe bóle, żale i troski wypowiedzieli, (Oklaski i głosy: bardzo słusznie!) przekonaliby się panowie ministrowie, że różnica nie lada pomiędzy nimi a tymi dzisiejszymi mówcami ludowymi, bo co innego tam w sejmie lub parlamencie gromić i wyszydzać biednych Polaków, mając za sobą i rząd i stronnictwa wierne, a co innego znowu, gdy tu stanie prosty człowiek i zdanie swoje wygłasza, nie mając za sobą nic, prócz swej biedy i poczucia narodowego. (Frenetyczne oklaski). Zarzuca się ze strony rządu zawsze Polakom, że pewne warstwy społeczne urządzają „wielkopolską“ agitacyą, oddziałującą potem podburzająco na tłumy. I ja wierzę we wielkopolską agitacyę, sądzę jednakże stanowczo, że *największymi agitatorami „wielkopolskimi“ są sami panowie ministrowie, którzy swojemi mowami, wystąpieniami i zarządzeniami i najobojętniejszych Polaków z uśpienia społecznego przebudzili.* (Burzliwe wołanie: Tak jest! i długotrwałe oklaski). Dzięki tej agitacyi ze strony panów ministrów, sam lud zaczął się domagać wieców, odzywając się tu i owdzie: „podajcie nam ręki, panowie, pomóżcie wiec nam urządzić, bo chcemy i my, maluczcy, głośno protestować przeciwko obecnemu naszemu społecznemu położeniu.“

(Oklaski.)

I tak, korzystając z praw krajowych, zebraliśmy się tutaj, a nad nami widnieje to piękne godło nasze: „Jawnością i jednością silni.“ Prawnie zatem, kochani wiecownicy, postępujemy, jeżeli tu jawnie i otwarcie nasze skargi i żale wypowiadamy, ale pamiętajmy też o tem, byśmy i w życiu codziennem nigdy prawa nie przekroczyli, dając się uwieść rozpaczy i rozgoryczeniu. Gorące okrzyki, któreście podczas przemówień poprzednich mówców wydawali, świadczyły wymownie, że potępiacie wszyscy, szanowni słuchacze, bez wyjątku obecny system szkólny. (Ogólne wołanie: tak jest, potępiamy!) Dlatego właśnie przestrzegam cię, rodzicu polski, abyś stwierdziwszy jakowąś krzywdę, wyrządzoną twemu dziecku przez nauczyciela, zdenerwowanego tym niezdrowym systemem szkólnym, nie udawał się wprost do niego, by szukać tam zadosyćuczynienia, bo rozgoryczony i rozżalony mógłbyś łatwo za wiele powiedzieć lub uczynić i narazić się na skargę sądową. Nie, tak postępować nie wolno; gdy rzeczywiście stwierdzimy krzywdę, wyrządzoną dziecku, bądź to pod względem fizycznym, bądź też moralnym, oddajmy sprawę sądowi lub prześlijmy materyał posłowi naszemu, a z pewnością spotka winnych należyta kara.

Wspomniał jeden z mówców przypadek ze sądownictwa francuzkiego, który dobitnym jest na to dowodem, że szkoła, jeżeli nie kształci duszy i serca dziecka, zdolną jest wychować — zbrodniarzy; a mnie w tej chwili na myśl przychodzi zdarzenie, opisane przepięknie w rymach przez jednę z wybitnych poetek naszych. Otóż chłopczyna, mały, wychudły stoi przed kratkami sądowemi, bo popełnił jakiś czyn karygodny. Sędzia rozpatrzył sprawę, wina chłopczyny była widoczną, wypadało więc tylko zastósować odnośny paragraf prawa karnego. Ale sędzia, nim go zaczął szukać w karnej ustawie, spojrzał na biedną dziecinę, „na blask tych oczu, zmącony i szklany, gdzie przecież mogły odbić się niebiosy“, na drobną główkę, gdzie myśl głucho spała, gdzie nie mogło być rozpoznania dobrego i złego. Zadumał się — i nagle posłyszał jakoby głos w oddali, ponury, bolesny i przekonywający:

„Niechże Was Chrystus“ — głos mówił — rozsądzi,
Kto więcej winien, czy ten nieświadomy, co drogi nie zna i w ciemnościach błądzi,
Czy Wy, co grube księgi spisujecie karnej ustawy, a nie dbacie o to,
By uczyć dziecię....
Niechże Was Chrystus sądzi!“

(Huczne oklaski i brawa!)

A sędzia, który widocznie miał serce i umiał patrzeć w serce, odłożył przepisy karnej ustawy, podszedł do drżącej dzieciny, położył rękę na główkę jej płową i rzekł: „Pójdź dziecię, ja cię *uczyć* każę!“ (Długotrwałe oklaski).

Jakto, a rząd nasz nie ma serca, i nie umie czytać w sercu? Oj ma serce, ma, ale nie dla nas, biednych i nieszczęśliwych, bo każe uczyć dzieci w niezrozumiałym dla nich języku, bo utrudnia im tem przystęp do oświaty i rozpoznanie, co jest dobrem a co złem; (głosy: tak jest! święta prawda!) oj, umie rząd patrzeć w serce, umie, ale nie w nasze, bo musiałby widzieć że ono ciężko zranione, to serce ojców i matek polskich! (Głosy: bardzo słusznie.)

Przekonujecie się więc, kochani rodzice, że sam protest nie wiele nam pomoże, że sama bytność na wiecu nie wyczerpała bynajmniej waszych rodzicielskich obowiązków! Nie; — wy jesteście naturalnymi nauczycielami waszych dziatek, macie więc prawo a teraz i święty obowiązek poza szkołą uczyć dziatki wasze. Rodzice polscy! Jeżeli nie chcecie, by dzieci wasze, w dzisiejszej wychowane szkole, która nie może im dać wyczerpującego rozpoznania, co dobre, a co złe, moralnie upadały i stały się może nieraz przestępcami i przed kratkami sądowemi stanąć musiały; jeżeli nie chcecie, by dzieci wasze, gdy dorosną, gromadziły się tłumnie przy czerwonym sztandarze i nogami deptały to, coście wy gorąco kochali i z cynicznym uśmiechem na ustach prześmiewały to, co dla was świętem było i wzniosłem, jeżeli nie chcecie się tego doczekać — to musicie uzupełniać szkołę, musicie uczyć dzieci wasze, musicie sobie sami pomódz! (Ogólne oklaski.)

Ciężko to i boleśnie, że ty ojcze polski, ty, matko Polko, po całodziennej mozolnej pracy, kiedybyście chętnie skołatane kości do snu ułożyli, musicie uczyć dziatki wasze, chociaż płacicie podatek szkolny i macie szkołę. (Głosy bardzo słusznie!)

Ale trudno! Taka już dola nasza! Niechże więc żaden z was, szanowni nie opuści tej sali wiecowej prędzej, dopóki nie da sobie solennego przyrzeczenia, że chwyci się z zapałem szlachetnym tej ostatniej, ale dzielnej broni — katechizmu i elementarza polskiego. Idźcie więc do domów waszych, kochani bracia, podniesieni na duchu, zahartowani na przyszłość, a niechaj wam się w gorące serca wasze wryją głęboko słowa, które jedno „z pism, mając na celu rozszerzanie znajomości ojczystego piśmiennictwa,*) położyło na czele swego wydawnictwa, słowa:

„Od serca do serca, od duszy do duszy
Niech płynie myśl zdrowa i słowo uczciwe,
A jeśli i serce i umysł poruszy,
Gdy padną wraz z niemi na rodzinną niwę
Miłości i wiary rozsiane ziarna —
Zadanie spełnione, a praca nie marna!“

(Grzmiące, długotrwałe oklaski: brawa!)

Wiec witkowski był wspaniałą manifestacyą budzącego się ducha wśród najszerszych warstw ludu polskiego; był protestem śmiałym i głośnym wobec systemu krzywdzącego nas.

Wiec witkowski nie był żebraniem o łaskę — lecz był energicznem upomnieniem się o prawa nasze mocą konstytucyi zagwarantowane, a przysięgą królów pruskich potwierdzone. Był też zadokumentowaniem niezbitem, że dzięki obecnemu systemowi i nakazie — stał się wreszcie cud:

Z polską szlachtą
Polski lud...

Wiecownik.

*) Szanowny mówca miał tu na myśli „Czytelnią Polską“ wydawaną nakładem „Pracy“.

Wiec w Gniewkowie.

Wschodnio-północne kresy Księstwa zdobyły się w ostatni poniedziałek na manifestacyą narodową, na wiec tak wspaniały, jakiego właśnie w tych stronach nikt się nie spodziewał. Na wezwanie komitetu zebrały się, według „Dzien. Kuj.“, tłumy dzielnych wiarusów kujawskich, tak że obszerna sala p. Witkowskiego wszystkich pomieścić nie mogła. W sali samej było dobrze z 1000 osób, a znaczne jeszcze zastępy otaczały wszystkie wejścia lub zapełniały korytarze, wiodące na estradę. Mieszczaństwo gniewkowskie stawiło się w komplecie, a mimo święta, przybyło także kilku kapłanów z okolicy, z ks. dziekanem Nogą na czele. Nawet niesłychanie złe drogi nie zdołały powstrzymać wiecowników ze wsi.

Wiec zwołali i urządzili wyłącznie reprezentanci warstw średnich, przemysłowcy gniewkowscy, samodzielnie na własną rękę bez pomocy komitetu powiatowego wyborczego lub innych jakich komitetów. Sami utworzyli komitet wiecowy, sami ułożyli program, sami postarali się o mówców. Na czele komitetu stanął znany przemysłowiec gniewkowski, p. Walenty Noga, który też wiec zagaił, witając uczestników i wyrażając radość z licznego udziału.

Przewodniczącym okrzyknięto seniora obywatelstwa kujawskiego p. Stanisława Łyskowskiego z Bąkowa. Na jego propozycyą wysłano przed rozpoczęciem obrad telegram do ks. Arcypasterza z wy-

rażeniem miłości i wdzięczności oraz prośbę o błogosławieństwo. Odpowiedź przed końcem wieca nie nadeszła.

Po utworzeniu biura wiecowego, udzielił przewodniczący głosu p. dr. Krzymińskiemu do sprawozdania poselskiego. Szanowny poseł zdał bardzo jasne i wyczerpujące sprawozdanie, przedstawił obraz działalności Kół poselskich. Rozwiódłszy się też o cłach, podniósł, że podwyższenie ceł koniecznie jest potrzebne rolnikom naszym i całemu społeczeństwu, będzie jednakże głosował za takiemi tylko cłami, które rolnictwu pomódz mogą, a nie obciążą zanadto innych warstw zarobkujących. Dalej objaśnił i omawiał obszernie obecną sytuacyą narodu polskiego pod rządem pruskim, wykazał krzywdy, jakie dzieją się Polakom, i tak zakończył:

„*Takiem postępowaniem rząd pruski nie zdoła sobie zaskarbić miłości polskich poddanych. Przeciwnie, postępowanie takie musi zrodzić gorycz i niezadowolenie, musi lud polski ranić w najświętszych jego uczuciach. Zdawaćby się mogło, że wobec tej przeciwnej potęgi, godzącej w nas tylu środkami, niema już dla nas nadziei. A jednak jest nadzieja, jest możność wytrwania i możność zbawienia. Spoczywa ona wyłącznie w* **samopomocy.** *Język nasz ojczysty nie zginie, jeżeli pielęgnować go będziemy przy ogniskach domowych, w rodzinie. To twierdza, której żadna potęga ludzka zdobyć nie zdoła. A inne ciosy i przeciwności odeprzemy* **solidarnością** *naszą, wytrwałą pracą, jednoscią i miłością. I gdy tak każdy dom, każda rodzina bronić będzie uczciwie a usilnie ideałów naszych, nie zginiemy, nie zmarniejemy i jak o żelazo, odbiją się wszelkie wrogie nam zakusy!!*“

Posłowi Krzymińskiemu podziękowano hucznemi oklaskami i wykrzyknięto mu trzykrotnie: „Niech żyje!“ Następnie przemawiali: obywatel gniewkowski p. *Gruszewicz* o szkole, o wychowaniu dziatwy w domu, o nauce języka polskiego przy ogniskach domowych; p. *Szyper*, gospodarz z Wielowsi, o miłości do ziemi ojczystej; redaktor pan *Maćkowski* o obronie prawnej i samopomocy; pan *Kulerski* z Grudziądza o fałszywym systemie szkolnym.

Wszystkie mowy wywoływały nieopisany zapał wśród zebranych, a mianowicie też poniższy wiersz włościanina p. *Ziętary* z Szadłowic, własnego utworu:

„Szanowni i zacni Panowie!
Niechaj Wam wszystkim Bóg da zdrowie,
Wam wszystkim, którzyście się dziś zgromadzili,
I Wam, którzyście się do urządzenia wieca najwięcej przyczynili.
Mianowicie Wam dzięki, Panowie w Komitecie,
Że tu na kresach, w mieście tak małem w powiecie,
Urządziliście wiec w polskiej mowy obronie,
Którego pamięć w umysłach ludzkich nigdy nie zatonie.
Dzięki Wam, Panowie mówcy, że w słowach tak rzewnych
Wznieciliście w sercach nadzieję w czasach tak niepewnych!
Że podaliście sposób do obowiązków spełniania
I dodaliście odwagi do przeciwności zwalczania.
Przemawialiście wzniośle, dzielnie i śmiało,
Tak, jak na prawych Polaków przystało.
Sława Wam, bo dziś, gdy kto trochę za wysoko machnie,
To zaraz to procesem pachnie!
Dziś znikł u nas obraz szczęścia, a przed duszą stoją
Jakieś mary złowrogie nieprzejrzaną zgrają
Nam, jakby opuszczonym od ludzi i Boga
Długa walk i cierpień otwiera się droga.
My tak to czujem, a żal niezgłębiony
Płynie z ust drżących, gdyby jęk stłumiony.
Lecz cóż nam czynić, gdy siła nad nami,
Ściska nas zewsząd jakoby kleszczami?
Więc mili bracia, cośmy tu dzisiaj pojęli
Obyśmy to wszystko do serca sobie wzięli,
Obyśmy to sobie często rozważali
I ziemię naszą drogą i ojczystą mowę kochali;
Gdyż mowa ojczysta to tak miłe pienie:
Potąd nam tylko życia, póki jej brzmienie!
Jej ton tak miły, tak zachwyca serce!
A ta rozkosz nasza jedyna dzisiaj w poniewierce!
Cóżeś ty winna, o polska dziecino,
Że ci odbierają tę mowę jedyną?
Lecz nie trać nadziei: dziś tu każdy pouczony
Znajdzie w swym własnym domu dobry sposób obrony.
Tylko naprzód z ufnością! Bracia! W górę serca!
A przepadnie z swą złością każdy polakożerca.
Miejmy nadzieję, że wiec odbyty w Gniewkowie
Nie przeminie bez echa, nie skończy się na słowie.
Że płomień rozniecony na pięknym tym wiecu
Nie zgaśnie, nie wypali się, jak w piecu,
Lecz, że będzie ogrzewał, zawsze nam przyświecał.
Rodziców do pilnego uczenia dzieci swych podniecał.
I że wy matki Polki — zaczerpnąwszy oświaty,
Nie ulękniecie się pana Studta, ani też hakaty.
Bo chociaż dziś wyparta ze szkoły polska mowa
Jednak pozostanie zawsze samopomoc domowa,
I tego prawa wśwviecie nikt nam wydrzeć nie zdoła!
Niech więc żyje samopomoc i domowa szkoła!“

Wiec trwał od 2 do 6, a dozorował go radzca policyjny, pan Zacher z Poznania. *Wiecownik.*

Dział kobiecy.

Ślubny pierścionek.

Jak rozmaitemi są życzenia i nadzieje łączące się z złotą obrączką! Obrączka ta wązka, skromna, posiada przecież niezmierny urok dla zakochanych — jest to symbol słodkich więzów hymenu! Patrząc na nią, gdy nowa i lśniąca zdobi biały paluszek młodej kobiety, musimy się mimowoli uśmiechnąć na myśl, jak gorąco upragnionym jest nieraz ów drobny klejnot. Niejedna świeżo „dorosła panna“, niejeden już nawet podlotek marzy o tem, jak zajmującem być musi posiadanie i noszenie ślubnego pierścionka! Młoda mężatka, najwyższy dla nich ideał, a na temat ten snuje bujna wyobraźnia cudowne obrazy nieograniczonego szczęścia!

A jednak pierścionek ślubny nie jest bynajmniej zabawką i przedmiotem żartów, o nie! Ma on być raczej naszym drogim, wiernym towarzyszem na całe życie, i to od chwili, w której kapłan wsuwa nam go na palce, aż do ostatecznego opuszczenia tej ziemi. On, który zamienia przy ołtarzu dziewicę w kobietę, w małżonkę, powinien być naszą najczystszą, najkosztowniejszą ozdobą, uprzytomniającą nam świętość i nieskazitelność sakramentu małżeństwa. On właściwie otwiera nam dopiero życie z wszystkiemi radościami, rozkoszami, walkami i troskami. Chwila, w której pierścionek ślubny staje się naszą własnością, jest zatem i radosną i poważną, wzniosłą i świętą.

Namyślcie się dobrze, młode Czytelniczki, zanim się zdecydujecie na przyjęcie ślubnego pierścionka! Jest to najważniejszy krok w życiu dlatego, że potem już się cofnąć nie można.

Jak pogodnem wydaje się przyszłe życie szczęśliwej narzeczonej w dniu jej ślubu! Wszystko przedstawia jej się w jasnych, różowych blaskach i nic jej nie trwoży, nie lęka. Pierścionek ślubny jest dla niej pewnym zadatkiem szczęścia i miłości, pewną przystanią wiary i nadziei. Jej życie, młodość, marzenia — wszystko to składa wraz z pierścionkiem w ręce ukochanego. Czy nie dozna nigdy zawodu, czy też rozczarowanie zamieszka w jej duszy i czy gwałtowne burze nie złamią czystych uczuć jej serca? Któż zdoła przeniknąć tajemnice przyszłości?

W każdym razie odczuwa młoda narzeczona w dniu ślubu wysoką powagę świętej przysięgi i przyrzeczenia, że nic już nie rozłączy jej z mężem, że musi mu być wierną towarzyszką w szczęściu i niedoli i wytrwać przy nim w miłości aż do śmierci.

Błogo tym, którym złota obrączka jest przez całe życie symbolem najwyższego powołania kobiety a zarazem najwyższego jej szczęścia, bo nie ma nic piękniejszego i szlachetniejszego na świecie, jak pożycie dwojga osób, opierające się na wzajemnej miłości i wzajemnym szacunku; małżonkowie uzupełniają się wtedy w zgodzie, spokoju i szczęściu!

Ale biada tym kobietom, którym pierścionek ślubny przykrym jest tylko ciężarem i symbolem łańcucha wiążącego je z nienawistnym lub wstrętnym sobie mężczyzną. Gdyby ta złota, błyszcząca obrączka mówić mogła, o, ileżby nam opowiadała o rozpaczy, kłamstwie, zazdrości, złośliwości, niewierności, troskach i kłopotach, o odgrywaniu komedyi, tęsknocie i o gorących, gorzkich łzach!

Chociaż poglądy i pojęcia o celu ślubnego pierścionka, o jego zadaniu i nawet o małżeństwie samem, są bardzo rozmaite, to jednak głębokie jego znaczenie leży już w tem, że wyrabianem bywa ze złota, a więc z najszlachetniejszego kruszcu. Tak szlachetnemi i czystemi powinny też być nasze dążności i cele, tak silną i niezmienną nasza wierność, tak nieskazitelnem całe nasze życie!

Oby obrączka ślubna była nam zawsze znakiem spokoju i trwałego szczęścia! I jeżeli ją w tej myśli nosimy, to nas rozmaite losy życia, chociażby burze i wichry, nigdy zupełnie złamać nie zdołają, bo samo przeświadczenie, że w szczęściu i w nieszczęściu możemy się mocno oprzeć na drugiej istocie, która nas kocha i szanuje, i znaleźć u niej pociechę i pomoc, już nam łagodzi niespodziewane ciosy i pozwala z większym spokojem znosić przeznaczenie. Skromna złota obrączka dodaje nam siły i odwagi do walczenia z losem i do znoszenia cierpień, a nawet gdy w ostatniej chwili rozłączenia się z drogą osobą, spojrzymy na nią, pociesza nas myśl: Bóg złączył nas na ziemi i nie rozdzieli nas na wieki. Zobaczymy się znowu w lepszym świecie.

Ale dopóki nam wolno cieszyć się życiem na tej pięknej Bozkiej ziemi, dopóty musimy uważać nasz pierścionek ślubny za zadatek przynależności, zawierający w sobie porozumienie się dwojga serc. *Oska.*

RODZINA-DOM.

Jadwiga z Z. S.

(Ciąg dalszy.)

O!... wielkie zadanie być członkiem *rodziny polskiej* w dniach dzisiejszych, dniach pełnych zdrady — jadu, smutku i boleści.

Wielkie zadanie stać na czele *rodziny* i być tym mistrzem, który musi wszystkie struny dostroić do harmonijnego chóru — wszystkie pasma ustrzedz od pogmatwania, wszystkie płomyki uczuć uchronić od zagaszenia i dać Ojczyźnie skarb, a nie ubóstwo!..

„Ile jest w kraju *rodzin szlachetnych i zacnych* — tyle jest dobrych szkół moralności publicznej, tyle ognisk światła i ciepła, a nawet tyle pracowni przemysłu i gospodarstwa domowego, bo przecież bogactwo krajowe składa się z majątków jego obywateli, dobrobyt ogółu z dobrobytu jednostek, jak *cnota publiczna z cnót jednostek.*“

Ile jest *rodzin szlachetnych*, tyle jest skarbnic nieprzebranych, tyle szańców obronnych i twierdz niezdobytych!...

Ile jest *rodzin szlachetnych,* tyle gwiazd lśniących cnotą, tyle gniazd rodzinnych, tyle zastępów dopominających się o byt i prawa nasze!...

O kraju!... trzykroć szczęśliwy i trzykroć potężny w swej mocy, jeśli możesz rzec śmiało, iż rodziny twoje zacne — silne — święte — a narodowe!...

O kraju!... jakże możesz być spokojnym i pełnym nadziei, gdy rodziny twe nie zarażone cudzoziemczyzną, kospolityzmem, niewiarą, egoizmem, materyalizmem i tymy innymi prądami, które ku nam z dalekich obcych stron płyną.

. . . .

My — słowy Ujejskiego z żalem mówimy:

— Cały *mój naród jest moją rodziną,*
Łzy z jego oczu, krew z jego ran czerpię,
Cierpiąc ból jego chcę śpiewać:
Ach! cierpię!

„Dom powinien być niebem dla męża — światem dla żony — portem dla synów, a szkołą dla córek“.

I znów wracamy do *domu.*

Dla jednych dom jest świątynią, nieskażoną nawet tchnieniem waśni, niezgody, nudów — lub upadku moralnego, a dla drugich dom jest obojętnem tylko mieszkaniem, martwym składem mebli, lub co gorsza — niewolą ciężką.

Dla jednych dom, daje wszystko, co najpiękniejsze, najczystsze, najsłodsze na ziemi, a dla drugich daje tylko schronienie przed burzą i zimnem, pokarm codzienny dla ciała i nadto nic więcej. Owe nasze ludowe, „wedle wiktu i opierunku“ sprawdzą się bardzo często i w tych sferach, gdzie umieją ten sam cel ubrać w piękniejsze słówka.

Jednym dom jest rajem — drugim tylko lokalem wynajętym, dla innych wreszcie i — piekłem.

Jednych dom podnosi — uszlachetnia, uzacnia i uświęca — drugich poniża, strąca w ciemnie moralne i brudzi.

I ten dodatni i ujemny wpływ nie zależy od tego, czyli dom jest pałacem bogatym lub lepianką nędzną, czy składa się z wielkiej liczby komnat lub jednej izdebki ubogiej — ale zależy od ducha tych, którzy dom zamieszkują, tworzą w nim gniazdo rodzinne, którzy są tchnieniem i barwą życia w nim ukrytego.

Dom — jako dom — jest rzeczą martwą, składającą się z tylu a tylu metrów drzewa lub cegły, marmuru lub sośniny. Ale dom, jako przybytek rodziny, jest zespoleniem dwóch dusz i serc dwojga, które, połączywszy się węzłem dozgonnym ślubu małżeńskiego, rozpalając ognisko *życia rodzinnego* — przynoszą w dom ***ducha — myśl — serce*** i dobrą ***wolę i cel*** jasno zarysowany, do którego dążyć wspólnie mają.

Od tego ducha dwóch istot — męża i żony zależy owa świętość, wielkość i potęga domu, lub też jego nicość, próżność i upadek.

Od niego zależy moc — wartość i cnota tej rodziny, która tu żyć poczyna, która ma być silnym granitem w gmachu życia Ojczyzny.

Sklecić lepiankę ubogą, byle stała — to łatwo i łatwiej jeszcze wznieść bogaczowi ogromny pałac na to, aby stał i zdumiewał oczy ludzi ubogich. Łatwo też założyć rodzinę i przyjąć na siebie to cudne miano ojca i matki.

Lecz kto chce ubogą lepiankę zmienić w przybytek miejsca — prawdy i cnoty, bogaty dom uczynić domem ludzi obowiązkowo żyjących duchem, a nie samem ciałem, ten niech rozważy i zbada dobrze, ile powinności bierze na swe ramiona w obec Boga i Ojczyzny, ten, kto ma być ***głową rodziny*** i ta, która ma być *sercem rodziny.*

Dlaczego dziś u nas żalą się wszyscy, iż coraz mniej ognisk domowych się rozpala, coraz rzadziej się otwierają nowe domy — coraz więcej jest kobiet takich, które muszą szukać i szczęścia i chleba na samotnej drodze życia i mężczyzn, „bezdomnych“, takich, którzy żyją bez ciepła — bez uczuć, bez trosk o rodzinę — dla siebie — sami byle sobie?

Czyliż brakło sosen na zbudowanie nowych gniazd dla rodzin polskich, czyli w tych miastach wielkich, w których tyle „domów“ kryje się pod jednym dachem kamienicy, trudno już o miejsce dla niektórych ludzi, czyli też niema komu stanąć u nowego ogniska i rozpaliwszy ogień, podtrzymać go aby nie wygasł?

Jest dość drzewa na domki ubogie, dość chróstu na lepianki nędzne, dość pustych pokoi w pałacach bogatych — brakuje tylko tego ducha, który pragnie *rodzinę* stwarzać, który wskazuje, czem jest rodzina w narodzie, który idąc

drogą miłości — egoizm depce, a szczęście daje i szczęście rozrzuca w około.

„Dziś na rozum ludzie biorą,
„Ale idzie coś niesporo...

powiada autor Janka Cmentarnika. A my odważamy się jeszcze rzec inaczej — dziś ludzie na pieniądz patrzą z większą lubością, niż na cnoty — dość o wygodach własnych więcej myślą, niż o obowiązkach względem Ojczyzny i dlatego gasną ogniska dawne, ciepłe, świetlane, a nowych coraz mniej się rozpala — coraz są one chłodniejsze i ani nie grzeją tych, co nad nimi straż mają, ani tych nie umieją ogrzać, którzy przy ich ogniskach rosną i mają kiedyś własny dom zbudować.

Za wiele dziś wymagań do tego nowego domu, dla tej nowej rodziny, za wiele zbytku, komfortu i szyku.

Niejednej istocie pójdzie życie na marne — samotne — puste — zimne — tylko dlatego, iż chciała na majątku oprzeć szczęście, bo bała się chatki — izdebki — łuczywa bladego, a wyciągała ręce do kinkietów żarzących i salonów dywanami wysłanych.

— Mam wyjść za mąż za biedaka, woła ta lub owa panienka, lepiej zostać starą panną. I istotnie, dlatego, aby nie zdecydować się na ubogie mieszkanko, na meble wypłowiałe, na sukienkę ubożuchną, dlatego będzie wiecznie do obcych przytulona, u obcych ognisk grzana — sama w młodości — sama u kresu życia, blisko mogiły.

— Mam wyjść za mąż za mało uczonego, dziwaka, brzydkiego, nieeleganckiego, wolę być panną, powiadają inne i znów ta sama smutna — sieroca droga — na której ani dla niej, ani dla innych niema szczęścia.

Ani jej — ani drugim...

Ale gdyby tylko szło o zmarnowanie szczęścia — jeszczeby strata była mniej bolesną, choć przecież i szczęścia nie wolno lekceważyć, bo i szczęście splata się na życie narodu. Ale po za złamanem szczęściem ile to ***niewykonanych prac, niewypełnionych powinności,*** ileż to *zaniedbanych obowiązków?*

— Pan niema rodziny? pytają tego lub owego mężczyznę, a jeden odpowiada:

— Nie mam! Dziś czasy ciężkie — moja pensya jeszcze za mała na utrzymanie rodziny.

A drugi znów:

— Nie mam, bo dziś wymagania żon są tak wygórowane, iż nie można im zadośćuczynić, mam wpadać w długi, wolę być sam.

A trzeci mówi:

— Nie mam, bo swoboda osobista, to największe szczęście, a dziś żony chcą za silnie trzymać berło domowego rządu.

A czwarty na to:

— Nie mam, bo gąski boję się, światowej jeszcze więcej, a przemądre chcą dom do góry wywrócić.

A panna znów powiada:

— Wyjść za mąż — kłopotać się o męża — dzieci — oszczędzać — liczyć — troszczyć się o wszystko — po co to?... sama zapracuję na siebie.

Dobrze? Może być, że dobrze i tobie i społeczeństwu, bo gdybyś miała być *sercem rodziny i domu* twojego, byłabyś raczej jego lodem i ciemnością, więc jeśliś nie stanęła na progu nowego domu — mała szkoda.

A jednak — gdy w narodzie ognisk coraz mniej — coraz mniej rodzin — to znaczy, że naród gaśnie i niknie, to znaczy, iż wróg podciął rdzeń życia, a my nie umieliśmy przeciw tym ciosom uzbroić się.

---

*) „Wiesz, co to za istoty zwane lionkami“?
„Z nich dusza się wyrwała wszystkiemi porami
„*I osiadła na wstążkach, koronkach i piórach,*
„Na świetnych ekwipażach, zbytkownych ubiorach,
„Nie zostawiwszy z siebie, jak poczwarkę lichą,
„W której jeżeli jeszcze serce bije cicho,
„*To nie serce kobiety — żony — matki,*
„Ale już serca tylko wyschnięte ostatki.“

*) Asnyk.

Tak samo rzec można o tem, iż są u nas *rodziny*, z których serce wyrwało się wszelkiemi porami i osiadło na marmurowych kolumnach, kasach szczelnie zamkniętych, rozsypało się po dalekich gościńcach włoskich, hiszpańskich, francuzkich — przylgnęło do ścian hotelowych, pokładów okrętowych, i tu go nie ma, ani w Ojczyźnie, ani w narodzie, ani nawet w domu ich własnym.*)

To serca — przelotnych ptaków, które wiecznie gonią tam, gdzie wygodniej i weselej i lepiej — to serca zimne i tak, choćby wśród nas mieszkały — nie wieleby naród miał korzyści i pożytku.

Ich domy — to muzea martwe — ich rodziny — zasklepione w kole egoizmu jednostki.

Za niemi stoją inne.

Z tych także dusza się wyrwała wszystkiemi porami — osiadła na meblach aksamitnych, dywanach perskich, portyerach bogatych i tak się tem nasyca, tak poi — tak rozkoszuje, iż za swoim domem — za swoją wygodą — niczego nie widzi, ani widzieć nie chce — to też patrząc na życie takie, nieraz człowiek staje i pyta:

„Czy tu mieszkają, żyją i najważniejsze miejsce zajmują meble, dywany, marmury i bronzy — a ludzie są tylko dlatego, aby dać nazwę temu zbiorowi, iż jest domem — czy też jest tu jakaś cząstka, odrobina ducha i myśli, ale tak przysłonięta oponami i przydeptana dywanami, iż trzebaby silnej pracy, aby ją z tych więzów uwolnić.

Tu — praca mozolna, ciężka, twarda jak obroża — zagarnęła wszystko dla siebie i myśl i serce i ducha i chwilę każdą, więc choć jest dom — życia w domu nie ma, choć jest rodzina — życia rodzinnego nie ma.

Tam — wcisnęła się nędza — poczwara stugębna — żmija nie nasycona, ona zdarła marzenie o szczęściu już, ona zbrudziła święte porywy uczuć podnioślejszych, ona zgasiła nadzieję i wiarę.

Tu ciemnota — zupełny brak wiedzy, samopoznania, oświaty — tworzy *z domu norę mieszkalną, z rodziny* — splot kilku, kilkunastu jednostek, które wspólnie trud życia dźwigają, ale ani celu nie widzą, ani drogi nie znają. Dadzą się zwieść na bezdroża najokropniejszych zbrodni — stoczą się w dół przepaści najgłębszej.

Takich domów i takich rodzin — dziś — w Polsce czyż mało?

Przeciwstawieniem tych ponurych, szarych obrazów, są domy i rodziny takie, o których mówi Krasicki:

„Rodzina — to kolebka i cnót wszystkich zaród, z niej wyrasta, co tylko ma świętego naród.“

Ah! takich rodzin nam trzeba... nam, którzy jesteśmy dziś narodem bez istnienia — bez nadziei — bez praw do przyszłości — nam trzeba takich rodzin, któreby kolebały życie narodu potężne, olbrzymie, silne, jak nasza przeszłość, wielkie, jak nasze męczeństwo święte i bezgraniczne.

Nam trzeba takich rodzin, któreby zaiste były silną warownią, i kuźnią wykuwającą ludzi żelaznych, nie dających się ani ugiąć ani złamać.

Gdzie te rodziny, te domy święte, te ogniska nasze ciche, pełne czaru i powabu, poezyi i cnót, wiary i czynów wielkich?

---

*) Fredro.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pamiątka 4 kwietnia 1794 r.

(Bitwa Racławicka).

Często słyszymy głosy, że Polska musiała upaść, bo nie było w niej ludzi, pojmujących dobro Ojczyzny; że nie obcy, ale przodkowie nasi doprowadzili kraj do takiego rozkładu, że śmierć polityczna musiała być jego wynikiem.

Jak niesłuszne są te zarzuty dowodzi konstytucya 3-go Maja, dowodzi powstanie Kościuszkowskie, którego pamiątkę w rocznicę bitwy Racławickiej, obchodzimy.

Drugi rozbiór Polski nie dał się upozorować temi stosunkami, jakie panowały przed pierwszym rozbiorem, kraj bowiem od chwili przyjęcia Konstytucyi odradzał się, dążył już drogą postępu. Haniebna konfederacya Targowicka mogła była być z łatwością stłumiona, gdyby nie zależało właśnie na tem, by kraj nasz od reform powstrzymać. Gdy Rosya zażądała zniesienia armii polskiej, rozpacz ogarnęła wszystkich. Przygotowywano się do powstania. Lecz któż miał być jego wodzem? Mieliśmy zacnych jenerałów, ale nie było wśród nich takich, którzy mogliby pociągnąć za sobą tłumy, prócz jednego tylko Tadeusza Kościuszki, wsławionego już bitwą pod Dubienką (17-go lipca 1792 r.) a poprzednio jeszcze walką za niepodległość w Stanach Zjedn. Ameryki Północnej. Na niego więc zwróciły się oczy wszystkich patryotów.

Wezwany przez komitet zajmujący się przygotowaniem powstania, przybywa Kościuszko z zagranicy do Krakowa, składa tam na rynku, dnia 24 marca 1894 r. przysięgę i staje na czele narorodu, jako wódz jego i głowa.

Dnia 1-go kwietnia wyrusza z prastarej stolicy na północ, ku Warszawie. Mała armia jego składała się z 2000 ludzi, w tej liczbie 100 piechoty, 500 jazdy, 500 włościan uzbrojonych kosami, oraz 11 lichych armatek, źle opatrzonych. Po drodze łączą się z nim oddziały jazdy Madalińskiego i Manżeta, liczące razem do tysiąca ludzi, prócz tego włościanie ściągają z wiosek okolicznych.

Po południu dnia 4 kwietnia, w pobliżu wsi Racławic, wojsko polskie spostrzega nieprzyjaciół. Był to oddział jenerałów Tormansowa i Denisowa, liczący 6000 żołnierza i 200 armat, a dążący ku Krakowowi. Walki nie można było uniknąć. Zresztą nie pragnął tego Kościuszko. O godz. 3-ej stanęły naprzeciwko siebie wojska w szyku bojowym. Armaty wroga prażyły niemiłosiernie piechotę naszą, nie przywykłą jeszcze do boju i złożoną przeważnie z mieszczuchów, to też kolumny chwiać się poczęły i tylko ostre słowa oficerów powstrzymywały je na miejscu. Nieopodal od nich stali kosynierzy. Na barach rozrosłych od ciężkiej pracy widniały szare sukmany, przepasane szerokiemi, nabijanemi pasami; zgrzebne koszule, z pod których wyglądał to szkaplerz, to medalik święty, zasłaniały piersi spalone; nogi grzęzły w niezgrabnych butach juchtowych; na głowach kraśniały rogatywki lub okrągłe wełniane czapki, a ręce posiekane od wiatrów, poczerniałe od ziemi, stwardniałe od pługa, dzierzyły za całą broń długie drzewce z osadzonemi na wierzchu sztorcem kosami. Dziwne wojsko, nieprawdaż? Spojrzyjmy jednak na te ogorzałe twarze, okolone włosem spadającym na ramiona. Co za potęga, co za blask z nich bije! Oczy szeroko rozwarte, krwią nabiegłe źrenice, nozdrza drgające, wargi spieczone gorączką, zęby zaciśnięte, rumieńcem oblane policzki! Każdy wyciągnął szyję, każdy węszy dym prochu, każdy ściska tak drzewce, że nad tłumem głów ludzkich drży w świetle zachodzącego słońca las kos stalowych, a kościelna chorągiew z wizerunkiem Matki Boskiej kołysze się niecierpliwie...



Biały koń pomknął błoniem. Migocze mundur jeneralski, wiatr rozwiał bujne czarne włosy jeźdźca, twarz jego zwróciła się ku tłumowi sukman, szabla połyskuje w ręku.

To on. To naczelnik! — zawrzały szeregi, jęknęły kosy.

— Chłopcy, weźcie te armaty! — zagrzmiał głos donośny, a szabla ukazała bateryę nieprzyjacielskie.

— Jezus, Marya! — huknęło tysiąc piersi i nie prędzej błyskawica rozdziera ciemne chmur wały, jak ten lud nasz ruszył do boju.

Naczelnik stoi, patrzy. Przed chwilą byli tuż koło niego, czekali rozkazu, a teraz hen, daleko migają sukmany, błyszczą kosy, hulają serca chłopskie wśród kłębów dymu, grzmotu i świstu kul wrażych.

Sukmany znikły. Ryk dział potężnieje, ziemia drży, a kłębiaste dymy zalegają błonie.

Serce naczelnika uderza młotem Czyżby zginęli?

Lecz co to? Grzmoty milkną jedne za drugimi, wrzask piersi ludzkich zapełnia powietrze, trąbki grają do odwrotu!

Zwycięztwo!

Reszta wojsk naszych rusza za wrogiem, dymy unoszą się ku niebiosom, a ze wzgórz, zieleniejących trawą wiosenną, zjeżdżają armaty moskiewskie. Ale już nie obcy żołdak kieruje niemi, nie konie ciągną spiż wystygły! Ręce od pługa zaprzęgły się do nich, serca bijące wolnością otoczyły je kołem.

Na czele jedzie na armacie Bartosz Głowacki, wódz tego ludu, za nim kroczy Stach Swistacki, także przy armacie, której zapał przykrył własną rogatywką, a ze wszystkich stron grzmią okrzyki radości, czapki lecą w górę, niezmierne szczęście błyszczy na uznojonych bojem twarzach.

Niech żyje naczelnik, niech żyje naczelnik, niech żyje ojciec nasz! — wołają tysiączne głosy. Kościuszko wzruszony, upojony radością, nie wie jak dziękować. Zsiada z konia, miesza się z tym tłumem, ściska jednych, całuje drugich, wreszcie zrzuca z siebie jeneralski mundur i zażądawszy sukmany, nakłada ją na swe barki! I oto wódz, bohater dwóch światów, w szarej siermiędze szuka odtąd zbawienia dla Ojczyzny. Ta szara chłopska sukmana, przesiąkła krwawym potem pracy, podobna barwą do tej ziemi, której Kościuszko bronić poprzysiągł, to najpiękniejszy order jego, to największa chluba, to aureola, w której na wieki czcić go będą serca polskie.

Bo rozważmy ten moment dziejów naszych, tę bitwę Racławicką, której rocznicę obchodzimy, którą najwięksi nasi wieszcze opiewali, a niezrównany

mistrz w malarstwie uwiecznił na płótnie. Czy może ona być porównaną pod względem taktyki, strategii, rozmiarów lub odniesionych korzyści materyalnych z takiemi bitwami jak pod Beresteczkiem, Chocimem, Wiedniem, a nawet z obroną Częstochowy? Bezwarunkowo, że nie! A więc dlaczego tak się nią chlubimy, dlaczego będzie ona zawsze gwiazdą pierwszej wielkości na firmamencie dziejów ojczystych i przetrwa pamięć innych zwycięztw stokroć świetniejszych?

Oto dlatego, że w niej lud nasz uczuł, że na nim spoczywa zbawienie tej Ojczyzny, którą w obrębie swych zagród miłował, choć ona tak często obchodziła się z nim po macoszemu!

Przed bitwą Racławicką lud nasz służył już także wojskowo. Istniały wojska kwarciane, piechoty łanowe, poczty pachołków i ciurów, składające się przeważnie z prostego ludu. Byli to jednak ludzie zaciężni, przymusowo zabierani z domów do wojska. Do piechoty np. łanowej każda dziesiąta chata lub, jak podówczas mówiono, każdy dziesiąty dym musiał dostarczyć żołnierza. Możemy także zacytować z dziejów naszych przykłady waleczności ludu, bądź to pojedyńczo, bądź to w masach, jak np. podczas wojen tatarskich, kozackich i szwedzkich, nigdzie jednak nie spotykamy dowodów męztwa tak zacnego, tak bezinteresownego, tak przejętego istotną miłością Ojczyzny, jak w tej bitwie Racławickiej.

Nie dziw więc, że w dziejach naszych zajmuje ona miejsce tak wybitne. Nie dziw, że opiewali ją poeci, że przeszła do powieści i legend.

Bohaterzy jej, nie mówiąc już o Kościuszce, żyją ciągle w pamięci narodu. Każdy z nas słyszał już nieraz bezwątpienia ową pieśń Wincentego Pola o Bartoszu Głowackim:

Hej, tam w karczmie za stołem
Siadł przy dzbanie Jan stary;
Otoczyli go kołem,
On tak mówił do wiary:

Ja mówiłem wam nieraz,
Że dziś zuchów jest mało,
Wiara bracia, źle teraz,
Dawniej lepiej bywało!

I opowiada „Jan stary“ jak to dzielnie spisali się chłopi pod Racławicami, jak brali moskiewskie armaty i

Jak się zeszli wodzowie
Bartosza przywitali,
I pili jego zdrowie
I serdecznie ściskali!

Inny nasz poeta, Teofil Lenartowicz, tak śpiewa w prześlicznym poemacie, opisującym bitwę Racławicką, o tych chłopach bohaterach:

Komu Pan Bóg błogosławi,
Temu się i wiedzie,
Idzie sobie Stach Świstacki,
A Głowacki jedzie.
Jedzie, jedzie na armacie,
Na smoku mosiężnym,
Czapką wiewa, a lud śpiewa
Głosem tak potężnym,
Jak na wiosnę się przewala
Fala rozdąsana:
Danaż moja, dana, dana,
Ojczyzna kochana!

Kościuszko to zrobił, on natchnął lud tą chęcią służenia Ojczyźnie, rozbudził w nim poczucie obywatelstwa, wprowadzając w życie postanowienia Konstytucyi 3-go Maja, obiecując ludowi opiekę i prawa, których był dotąd pozbawiony.

Przedstawiciele starych rodów szlacheckich oburzali się na reformy, zapowiadane w pamiętnych odezwach, nazywali Kościuszkę szaleńcem, wzruszali ramionami i z szyderstwem przyglądali się zdala bitwie Racławickiej. Im się zdawało, że tylko szlachcic walczyć może, tylko potomek rycerzy ma prawo ledz na polu bitwy i to jeszcze wtedy tylko, gdy mu się tak spodoba.

Nasz bohater śmiało wdział na barki swoje strój chłopski, ową Racławicką sukmanę, by była symbolem równości stanów, by głosiła, że jedynie szlachectwo czynów jest godnem uznania.

Wychowany w warszawskiej szkole kadetów, gdzie honor rycerski ceniono nadewszystko, a następnie przebywając dłuższy czas we Francyi, Kościuszko miał, coprawda, sposobność dobrze zapoznać się z prądami idei wyzwoleni ludów, nurtującemi wówczas po całej Europie! Tam zapewne w duszy jego zaczęło nurtować przeświadczenie, że zbawienie naszej Ojczyzny leży w równouprawnieniu klas wszystkich; kto wie jednak, czy umiałby zastosować w życiu te wiadomości teoretyczne z taką energią, jaką okazał w bitwie Racławickiej, gdyby nie popęd szlachetnej duszy jego, który rzucił go na ląd amerykański.

Ameryka była dla Kościuszki szkołą praktycznego życia. U boku Waszyngtona, wśród trudów obozowych, wśród gwaru bitew, serce naszego bohatera zabiło tak, jak zabiło w dzień przysięgi na rynku krakowskim, w dzień bitwy Racławickiej — zabiło bezgraniczną miłością dla ludu.

Waszyngton był wielkim, Kościuszko dorównał mu pod każdym względem. Waszyngton nigdy nie skalał ust kłamstwem — Kościuszko słynął z prawości; Waszyngton był łagodnym — Kościuszko nigdy nie uniósł się gniewem; Waszyngton kochał ojczyznę nad życie — Kościuszko szukał śmierci pod Maciejowicami; Waszyngton wreszcie dla miłości ludu zrzekł się tytułów szlacheckich — Kościuszko przywdział sukmanę chłopską.

Dużo wody upłynęło od dnia bitwy Racławickiej, czasy się zmieniły, dziś już nikt z nas o powstaniu zgoła nie myśli, ale każdy z nas nie traci nadziei, że tylko pod hasłem „Módl się i pracuj!“ doczekamy się lepszych czasów. *D. C.*

Album współczesnych pisarzy polskich.

Zebrał i objaśnił Stefan Demby.

(Ciąg dalszy).



Jan Baudouin de Courtenay.

Urodził się dnia 13 marca 1845 roku w Radzyminie, w gubernii warszawskiej. Od r. 1887 do 1861 pobierał nauki w gimnazyum realnem w Warszawie, od roku 1861 do 1862 w szkole przygotowawczej do Szkoły Głównej, a od roku 1862 do 1866 na wydziale historyczno-filologicznym Szkoły Głównej warszawskiej, którą ukończył ze stopniem magistra. W r. 1870 otrzymał stopień doktora filozofii Uniwersytetu Lipskiego i stopień magistra językoznawstwa porównawczego Uniwersytetu petersburskiego, a po latach pięciu stopień doktora tegoż uniwersytetu. Od r. 1867 odbywał studya nad gramatyką porównawczą w Pradze, Jenie, Berlinie, Petersburgu, ziemiach południowo-słowiańskich Austryi i we Włoszech. W r. 1871 był docentem prywatnym językoznawstwa porównawczego w Uniwersytecie petersburskim, od roku 1875 do 1883 profesorem gramatyki porównawczej języków indoeuropejskich Uniwersytetu kazańskiego, a od r. 1883 do 1893 profesorem gramatyki porównawczej języków słowiańskich w Uniwersytecie jurjowskim. Jako członek Akademii krakowskiej, zamieszkał w Krakowie, gdzie od r. 1893 do 1900 wykładał w Uniwersytecie Jagiellońskim językoznawstwo porównawcze. W ciągu trzydziesto-pięcioletniej działalności naukowej napisał około dwustu pięćdziesięciu prac w języku polskim, czeskim, słowiańskim, włoskim, niemieckim i rosyjskim. Z prac wydanych oddzielnie wymienić należy: „Uebersicht der slavi-

schen Sprachenwelt im Zusammenhange mit den anderen arioeuropäischen (indogermanischen Sprachen“ (1884); „O zadaniach językoznawstwa“ (1889); „O ogólnych przyczynach zmian językowych“ (1890); „Jedna z kwestyi spornych pisowni polskiej“ (1890 i 1891); Vermenschlichung der Sprache“ (1893); Il Catechismo resiano“ (1894); „Próba teoryi alternacyi fonetycznych“ (1894); „Materialen zur südslavischen Dialektologie nnd Ethnographie“ (1895); „Cenzurnyja miełoczi“ (1898) i inne.



Adam Bełcikowski.

Urodził się w Krakowie dnia 24 grudnia 1839 roku, tamże ukończył gimnazyum św. Anny w r. 1859, a wydział filozoficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego w r. 1863. Po latach dwóch otrzymał stopień doktora filozofii. Od r. 1866 do 1868 wykładał, jako docent historyę literatury polskiej w Szkole Głównej warszawskiej. W r. 1868 powrócił do Krakowa, a cały prawie rok 1869 był we Lwowie na posadzie suplenta gimnazyalnego. W r. 1870 habilitował się jako docent historyi literatury polskiej w Uniwersytecie Jagiellońskim. Od r. 1870 do 1876 wykładał w Muzeum dra Adryana Baranieckiego na wyższych kursach dla kobiet historyę literatury powszechnej i pewne epoki literatury polskiej. W r. 1876 został mianowany urzędnikiem w Bibliotece Jagiollońskiej w Krakowie i na tej posadzie dotychczas pozostaje. Poczynając od r. 1859 wydał bardzo wiele prac z dziejów literatury ojczystej, do najcenniejszych należą: „Wacław z Potoka Potocki“ (1868); „Konrad Wallenrod“ (1870); „Irydion Krasińskiego“ (1871); „Gustaw i Werter“ (1872); „Kazimierz Brodziński“ (1875); „Lucyan Siemieński“ (1879); „Balladyna Słowackiego“ (1879); „Dramaty historyczne“ Korzeniowskiego (1881); „Ideały kobiece dwóch poetów“ (1884). Wszystkie te prace wraz z innemi, wcześniej napisanemi, weszły do obszernego dzieła, wydanego w rocznicę dwudziestopięciolecia działalności literackiej Bełcikowskiego p. t. „Ze studyów nad literaturą polską“ (1886, Warszawa). Oprócz studyów nad dziejami literatury ojczystej pisał Bełcikowski dramaty i komedye, które wyszły w Krakowie w r. 1898 w 5 tomach. Z dramatów na wyróżnienie zasługują: „Hunyady“ (w 5 aktach); „Kmita i Bonarówna“ (w 5 aktach); „Król Bolesław Śmiały“ (w 5 aktach); „Focyusz;“ „U kolebki narodu“ i inne. Z komedyi: „Król Donżuan;“ „Dwaj Radziwiłłowie;“ „Protegujący i protegowani;“ „Wizyta pana Feliksa.“ Bełcikowski znany jest również jako autor powieści „Dług honorowy“ (1872) i „Patryarcha“ (2 tomy, 1872) i jako współpracownik pisma angielskiego: „The Athenaeum.“



Stanisław Bełza.

Urodził się w Warszawie, dnia 2 listopada 1849 roku z ojca Józefa, profesora Szkoły Agronomicznej w Marymoncie i matki Bogumiły z Ostrowskich. Nauki początkowe pobierał w domu rodzicielskim, a następnie w szkole prywatnej Jana Barszczewskiego, zkąd przeszedł do gimnazyum gubernialnego, potem zaś do gimnazyum II-go w Warszawie, które ukończył w roku 1866. Tegoż roku wstąpił do Szkoły Głównej na wydział prawny, który, po przekształceniu Szkoły Głównej na Uniwersytet, ukończył w roku 1871. Wkrótce został aplikantem przy Trybunale Cywilnym w Warszawie. Organizacya sądowa w r. 1876 zastała go na urzędzie podprokuratora przy sądzie policyi poprawczej. Od roku 1880 jest adwokatem przysięgłym i konsystorskim. Mając lat 19-cie zaczął pracować na polu literackiem: był współpracownikiem „Kuryera Codziennego“, „Tygodnika Ilustrowanego“, „Biesiady Literackiej“, „Kraju“, „Wędrowca.“ W r. 1879 dopomagał Arturowi Wołyńskiemu do założenia Muzeum Kopernika w Rzymie, za co od zarządu Muzeum otrzymał medal imienny. Od r. 1880 wydał szereg prac oryginalnych, z których najważniejsze są: „Karol Miarka“ (1880); „O przymusowem i bezpłatnem nauczaniu w szkołach początkowych“ (1880); „Jeden miesiąc w Norwegii“ (1882); „W Danii i z Danii“ (1882); „Dziesięć lat pracy na kresach“ (1883); „Za Apeninami“ (1886); „Nowe prawo upadłościowe włoskie“ (1886); „Odgłosy Szkocyi“ (1889); „Holandya“ (1894); „Na Lagunach“ (1895); „W kraju tysiąca jezior“ (1896); „Obrazy Korsyki“ (1897); „W stolicy Padyszacha“ (1898); „W Górach Olbrzymich“ (1898); „Nad brzegami Bosny i Narenty“ (1899; „W Pirenejach“ (1900) i inne. Niektóre z prac wymienionych miały po dwa, lub trzy wydania.



Antoni Gustaw Bem.

Urodził się dnia 4 czerwca 1848 r. w Lipsku w gubernii Radomskiej. Nauki początkowe pobierał w domu pod okiem matki, a następnie w szkole powiatowej w Sandomierzu, zkąd przeszedł do gimnazyum w Radomiu. W r. 1866 wstąpił na wydział historyczno-filologiczny Szkoły Głównej Warszawskiej, a w 1870 otrzymawszy dyplom uniwersytecki, poświęcił się zawodowi nauczycielskiemu i jednocześnie został współpracownikiem postępowych pism warszawskich. Od r. 1873 do 1878 mieszkał w Kielcach, gdzie w szkołach prywatnych wykładał język polski, grecki, łaciński i historyę. Po roku pobytu w Warszawie otrzymał nominacyę na nauczyciela języka polskiego w gimnazyum kieleckiem i na tem stanowisku przebył do r. 1888. Obecnie mieszka w Warszawie. Drukiem ogłosił: „Adam Pług“ profil (1873); „Eliza Orzeszkowa“, profil (1873); „Słowo o satyrach Krzysztofa Opalińskiego“ (1873); „Wizerunek... Mikołaja Reja, jako utwór sztuki i zdrowej myśli“ (1874); „O stanowisku Ludwika Kondratowicza w historyi literatury polskiej“ (1874); O Józefie Bohdanie Zaleskim“ (1877); Kresy dziejowe;“ „Andrzej Towiański;“ „Bolesław Chróbry pod piórem Dytmara i Galla“ (1881); „Obywatel polski z doby romantyzmu“ (1881); „Stanisław Trembecki“ (1883); „Śmielsze przebłyski humoru satyrycznego w literaturze staropolskiej“ (1882); „Adam Bełcikowski, jako krytyk literatury“ (1886); „Echa mesyaniczne w literaturze polskiej“ (1888); „Awizacya“, nowela (1890); „Popis“, nowela (1891); „O dziejach Polski Bobrzyńskiego“ (1891); i wiele innych. Wydał osobno: „Zarys wykładu mowy polskiej“ (1888); „Jak mówić po polsku, czyli gramatyka polska w zarysie popularnym“ (1889); „Teorya poezyi polskiej“ (1899). Przełożył dzieło Quineta „Duch nowy“ (razem z Zglińskim), Spasowicza „Dzieje literatury polskiej“ i „O margrabi Wielopolskim.“

Mateusz Bersohn.

Urodził się w Warszawie dnia 4 czerwca 1826 roku, z ojca Mejera i matki Anny z Lachmanów. Nauki początkowe pobierał w gimnazyum gubernialnem

w Warszawie, a następnie kształcił się w Akademii Handlowej w Berlinie i był wolnym słuchaczem w Uniwersytecie berlińskim. Od roku 1861 pracuje na polu literackiem, pisując do „Jutrzenki“, „Biblioteki Warszawskiej“, „Kłosów“, „Tygodnika Illustrowanego“, „Dziennika Literackiego Lwowskiego“, „Kuryera Codziennego“, „Rocznika Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu.“ Wydał osobno: „O Wicie Stwoszu i jego rzeź-



Mateusz Bersohn.

bie, „Pozdrowienie Anielskie“ (1870); „Tobiasz Kohn, lekarz polski w XVII wieku“ (1872); „Józef de la Vega, poeta hiszpański“ (1883); „O rytownikach gdańskich“ (1887); „Marcin Teofil Polak, malarz polski“ (1889); „Studenci Polacy na Uniwersytecie Bolońskim w XVI i XVII wieku“ (1890—94); „O Henryku Walezyuszu“ (1892); „Modlitewnik królowej Maryi Kazimiery Sobieskiej“ (1896); „O dawnych bóżnicach drewnianych w Polsce“ (1896); „Kilka słów o Janie Heweliuszu“ 1898); „Księgozbiór Katedry Płockiej“ (1899); „O illuminowanych rękopisach polskich“ (1899).



Henryk Biegeleisen.

Urodził się dnia 24 października 1855 roku w Tłustem, w Galicyi wschodniej. Gimnazyum niższe ukończył w Tarnopolu, wyższe w Brzezanach. W roku 1876, po złożeniu egzaminu dojrzałości, wstąpił na wydział filozoficzny Uniwersytetu lwowskiego, gdzie otrzymał dyplom w roku 1880. Wyjechawszy za granicę, studyował estetykę, filologię i psychologię w Monachium i Lipsku. Stopień doktora filozofii uzyskał za rozprawę p. t. „Zur Charakteristik Trembecki's.“ Zamieszkawszy we Lwowie, objął od roku 1878 kierownictwo szkoły ludowej żeńskiej, a od roku 1898 dyrekcyę szkoły przemysłowej imienia Bernsteina. Od r. 1877 zamieszczał bardzo



W niedzielę Palmową.

wiele artykułów z dziedziny historyi, literatury i nauk społecznych w pismach krakowskich, lwowskich i warszawskich. Z licznych krytyk literackich na wyróżnienie zasługują: „Żywot ks. Jezuity Fr. Bohomolca“ (1879); „St. Konarski, jako dyplomata“ (1883); „Atak Mickiewicza na obóz klasyków“ (1885); „Adam Mickiewicz, jako rewolucyonista“ (1887); Ze studyów folklorystycznych: „Duchowieństwo w świetle poezyi ludowej;“ „Szlachta w świetle poezyi ludowej;“ „Pieniądze i bogactwo;“ „Kartki z wyobrażeń chłopskich;“ Ze studyów naukowych: „Pan Tadeusz Adama Mickiewicza“ (1884); „Ilustrowane dzieje literatury polskiej“ (wychodzą obecnie); Wydał z objaśnieniami: „Dzieła Adama Mickiewicza“, „Juliusza Słowackiego“, „Aleksandra hr. Fredry“, „Wiliama Szekspira“ i wiele innych.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kwietnia czyli Palmowa Niedziela,

Wielki Tydzień, Święcone.

Już we Wstępną Środę wycinano zwykle rózgi wierzbowe albo z malin i porzeczek i wstawiano do dzbanuszka z wodą w mieszkaniu, aby rozwinęły się, rozkwitły, czyli jak po staropolsku mówiono „rozksciały“ na Palmową Niedzielę. Gdy dzień ten uroczysty nastąpił, kto wstał raniej, ten z „palmą“ w ręku biegł budzić innych, a budząc i chłostając ich żartobliwie wołał:

Wierzba (lub Palma) bije, nie ja biję,
Za tydzień — Wielki Dzień,
Za sześć noc — Wielka-Noc.

Palmy takie niosą do poświęcenia, które kapłan dopełnia przed nabożeństwem, a ceremonia powyższa dała właśnie powód do nazwania niedzieli poprzedzającej Wielkanoc, niedzielą Palmową albo Wierzbną lub Kwietnią. W kościele wszyscy trzymają palmy w ręku. Po ich poświęceniu przypisywane są im zbawienne własności. Już Mikołaj Rej z Nagłowic pisze żartobliwie w Postylii:

„W Kwietnią Niedzielę, kto „bagniątka“ czyli kotki, t. j. pączka z palmy wielkanocnej nie połknął, ten już zbawienia nie otrzymał.“

Wierzono bowiem, że połknięcie pączka wierzbowego z palmy wielkanocnej zdrowie przynosi. Aby dobytek nie uległ chorobie i zarazie podczas lata, gospodarz wypędza go pierwszy raz w pole na wiosnę z palmą w ręku. Palmy przechowywane w domu zwykle zatknięte za obrazami świętych, z nadejściem zimy, albo Wielkiejnocy w roku następnym, rzucowe są w płomień.

Corocznie na Jasnej Górze w Wielki Czwartek z uderzeniem godziny 4-tej rano odbywa się zmiana sukienki na cudownym obrazie Najświętszej Panny.

Tej uroczystej i wiekami uświęconej ceremonii dopełniają Ojcowie Paulini przy zamkniętych drzwiach świątyni i bram klasztornych, raz aby uniknąć

natłoku ludu napływającego na uroczystości wielko-czwartkowe, powtóre ze względu na szczupłość miejsca, w którem ta ceremonia się odbywa. Jeszcze zwykle ciemno, gdy na korytarzach pojawiają się Ojcowie Paulini, śpieszą ku zakrystyi, otwierają skarbiec i dążą po schodach ku małej celce, przylegającej z tyłu górnej części ołtarza Przenajśw. Matki Zbawiciela. Przyklękają wszyscy, poczem dwóch Paulinów przybranych w komże i stuły wyjmuje obraz z ołtarza, składając go na stole przybranym w obrus, przy świetle świec ustawionych w górnej stronie cudownego obrazu. Zakonnicy rozpoczynają modlitwy pod przewodnictwem przeora, po skończeniu których zdejmują koronę i sukienkę drogocenną i odnoszą ją do skarbca, zkąd przynoszą drugą w jej miejsce. Obraz okurzają i kładą na nim welony, obrazki, koronki, także medaliki i krzyżyki osób obecnych, pragnących, aby te ich przedmioty dotknęły się świętej relikwii.

Do ćwieczków na obrazie, osobnemi narzędziami za pomocą drutu przymocowują koronę, aniołów i sukienkę. Po przybraniu obrazu, przeor odmawia litanię do Najśw. Maryi Panny, po ukończeniu której znowu dwóch zakonników wstawia obraz do ołtarza. Świadkowie tej wzruszającej ceremonii opowiadają, że widok z blizka cudownego oblicza Najświętszej Maryi Panny Jasnogórskiej kruszy serca obecnych i łzy im z oczu wyciska, a na usta przywodzi nieraz modlitwę:

Wiek to wiekowi w pieśni ogłasza:
Na Jasnej Górze — to Matka nasza!
Ciebie widziano w pobożnej radzie,
I kierowniczką w domowym ładzie,
Zapalającą serca ołtarze,
Niosącą radość na łzawe twarze.

Powszechnym był dotąd zachowywany w wielu kościołach zwyczaj strzeżenia przez trzy ostatnie dni w Wielkim Tygodniu grobu Chrystusa przez młodych parobczaków przybranych za żołnierzy. Co godzina lub co parę godzin zmienia się warta złożona z kilku takich niby żołnierzy, dawniej w prawdziwe zbroice i miecze lub szable uzbrojonych, a dziś zwykle w papierowe chełmy i drewniane pałasze lub włócznie. Przebrany za oficera luzuje szeregowców, którzy z dziwnem namaszczeniem spełnianego obowiązku, przez cały czas pozostają na warcie nieruchomi. Zwyczaj ten starodawny zachowywano bardzo gorliwie we wsi Tunnie pod Łęczycą i w bardzo wielu miejscowościach zachowują dotąd.

W niektórych okolicach w Wielki Czwartek (zwany także cierniowym) gromada chłopców przebierała się za żołnierzy i zrobiwszy sobie Judasza ze słomy przybranego w szaty czarne, podarte, trzymającego w ręku kaletę napełnioną szkłem tłuczonem dla brzęku, szła do kościoła na „ciemną jutrznię“, Judasza z sobą niosąc. W kościele pod chórem wśród ludu stali uszykowani jak wojsko pod przywództwem jednego. Po skończonej jutrzni, na cmentarzu, chłostano Judasza kijami i siekano go drewnianymi pałaszami wśród wrzawy i śmiechu zebranego ludu. Potem włożywszy go na taczkę, wieziono na plebanię i do dworu, gdzie powtarzano to samo widowisko. Ze dworu udawano się z Judaszem do gospody, a wreszcie albo topiono go w rzece czy stawie, albo, gdy się ściemniło, palono na wzgórzu za wioską. Indziej obchód z Judaszem, którego zrzucano najprzód z wierzy, odbywał się w Wielką Sobotę lub w Wielki Czwartek. Wypędzano go grzechotkami z kościoła, co się bez tumultu nigdy nie odbywało.

Sam Wielki Tydzień, począwszy od Kwietniej niedzieli, cały już był przygotowaniem do Wielkiego dnia Zmartwychwstania Pańskiego. Cały ten tydzień pracy poświęcony był nabożeństwu, spowiedzi, zachodom gospodarskim i kuchennym. W Wielki Piątek ubierano grób Chrystusów, przystrajając go w wodotryski. Wyścielano kobiercami, strojono kaplicę ku temu przeznaczoną z wielkim przepychem, na jaki stać było kolatora i parafian. Czasem czyni to jaka pobożna rodzina. Po miastach tłumy nawiedzają grób Chrystusa, a pobożniejsi starają się odwiedzić wszystkie kościoły i groby.

Po dworach wiejskich i u możniejszych mieszczan już w Wielką Sobotę od rana zastawiają stół ciastem, zimnem mięsiwem i jajami do poświęcenia. Po twardym poście jadło było pożądane, a przepych w niem i dostatek wielki. Pozostały nam opisy święconego z pańskim zbytkiem zastawionego, na które setki gości spraszano. Na pieczywo bab, jajeczników i mazurków wysilał się kunszt gospodyni. Zwykle jej ręką przepisywana książka mieściła w sobie liczne recepty i sekreta.... a co kłopotu było z babami, sadzeniem i wyjmowaniem z pieca tych olbrzymów. „Zwykle w pośrodku wielkiego stołu — powiada Kraszewski — stał baranek z chorągiewką z cukru lub masła... w końcu stołu głowa dzika z chrzanem w pysku... półmiski jaj otoczonych wędzonemi kiełbasami itp. Spotykając się w święta i ściskając mężczyźni witali się słowami: *Resurexit sicut dixit, Alleluja!* Dzieląc się jajkiem święconem, starym obyczajem, brano je nie widelcem, ale palcami. Święconego nie zdejmowano do Przewodów.“

Zygmunt Gloger.

Z poematu: Dni „doroczne.“

Otoż Wierzbna, otóż Kwietna
Zawitała nam niedziela!
Wnet nastanie chwila świetna
Zmartwychwstania Zbawiciela.
Kościół jęczy w dzwonów jęki,
I rozmyśla z cichym żalem: —
Gdy Baranek sam na męki
Przyszedł w mury Jeruzalem.
Kiedy tłuszcza, co za chwilę
Ma nań wywrzeć gniew swój srogi,
Gościa w bramach wita mile,
Palmy ściele mu pod nogi.

. . . .

Do świątyni gronem wszystkiem
Idą młodzi, idą starzy;
Różczkę wierzby z młodym listkiem
Niosą święcić do ołtarzy.
Boga w mękach, Boga w chwale
Do swej duszy biorą żywo,
I na nutę boleściową
Wyśpiewują „Gorzkie Żale.“

. . . .

Jęczy pieśnią szczerej wiary
Organ stary i popsuty;
A z Kantyczek szlachcic stary,
Ciągnie basem drżące nuty;
Ostre głosy niewiast grona
Płoną twardo i nieczysto;
Pieśń chłopaków rozpędzona,
Nie w takt idzie z organistą.
Jezus tylko, Jezus z krzyża,
Co go pieją tak gromadnie,
Sam te nuty poprzybliża,
Sam piosenkę ich odgadnie.
W takiej pieśni, wie syn Boży,
Że najlepsza jego chwała;
On do serca ją przyłoży,
By go rana mniej bolała.
Za te proste łzawe słowa,
Spuści kroplę krwi i łezki;
A ta łezka Jezusowa
Stworzy w oczach cud niebieski.
Ulży sercu, co tam boli,
Wskrzesną w Panu poniżeni, —
Jeśli nie da ziemskiej doli,
To niedolę w świętość zmieni.

Orzeźwiona łzami wiary
Wraca w domy ciżba prosta,
I jak każe zwyczaj stary,
Różczką wierzby siebie chłosta:
— „Nie ja biłem — wierzba biła!
„Już za tydzień Zmartwychwstanie!
„Jak na rzecze lodu bryła
Niech się zdrowie krzepkiem stanie“!
Z niepamiętnych czasów świata
Taki zwyczaj trwa radośnie, —
I syn ojca, i brat brata
Poświęconą różczką chłośnie.*)

. . . .

. . . .

*) Po powrocie z kościoła w Kwietną niedzielę uderzając się „palmami“ wierzbowemi, mówią na Litwie: „Nie ja biję, za tydzień, Wielki dzień, bądź zdrowy jak lód, wesoły jak wiosna, bogaty jak ziemia“.

Następnie tydzień święty,
Tydzień żalu i modlitwy,
Każdy kościół wiernej Litwy
Od świtania odemknięty.
Z pod słomianej, dymnej strzechy,
W lnianej szacie i siermiędze,
Lud spowiada swoje nędze,
Lud spowiada swoje grzechy.
W kółku kmiotków zaciśniętem,
Ze łzą w oku, stułą w dłoni,
Kapłan prosty jak i oni,
Szepce w ucho z penitentem,
I szeptają długo, długo...
Kapłan w głębię serca wnika,
Aż na oczach pokutnika
Łzy rzęsistą trysną strugą,
Wtedy koniec już rozmowie.
I pokutnik do nóg klęka,
I kapłańska drżąca ręka
Krzyżyk kładzie mu na głowie.

W Wielki Czwartek rzesza cała
Do ciemnicy wiedzie Chrysta.
Dzwony zmilkły a nastała
Jakaś cisza uroczysta.
Nastał jakiś popłoch trwożny,
Zapłakane wszystkie oczy,
I żal święty, żal pobożny
Chrześciańskie serca tłoczy.
A wieczorem przy wieczerzy
Nie o ziemskim myślą chlebie,
Lecz najświęciej każdy wierzy,
Że Chrystusa ma u siebie...
Przenieś, przenieś mię, pamięci,
W te niedawne jeszcze lata,
Jak to pałac, jak to chata
Dziś wieczerzę Pańską święci!
Jak w szlacheckim cichym dworze,
Z tej wieczerzy wszyscy radzi!
Gdy wieczorne błysną zorze,
Pan czeladkę swą gromadzi,
I zwoływa drobne dziatki,
Gdzie wieczerza już nakryta, —
I dla drobnej swej czeladki
Ewangelię świętą czyta: —
Jako Chrystus w dzień czwartkowy
Piotra z Janem słał ku miastu,
By wieczernik był gotowy
Spożyć paschę we trzynastu.
A gdy przyszła już godzina,
Siadł z uczniami na wieczerzę
I chleb paschy w rękę bierze,
Bierze w rękę kielich wina,
I rozłamie chleb na dwoje
I donośnym głosem powie:
„To prawdziwe ciało moje,
„Pożywajcie je uczniowie!“
Rzekł oddając go w koleje:
„To krew moja, krew jedyna,
„Która za was się wyleje“.
Czyta dalej szlachcic stary:
Jako Judasz Iskariota,
Dla znikomej garści złota,
Bogobójcze knuł zamiary;
Jak odgadło serce boże
Tego, kto się przeniewierzy;
Jako Chrystus przy wieczerzy
Nogi uczniom mył w pokorze,
A gromada pilnie słucha,
Wlepia oczy w gospodarza,
„W imię Ojca, Syna, Ducha,
„Teraz jedzmy, co się zdarza“.
Pańskie serce wszystkich kocha, —
Żona, dzieci, czeladź cała
Wedle stołu posiadała,
Skosztowano wina trocha,
I w milczeniu uroczystem
Spożywają dary boże i t. d.



A po dworach ruch nieznany
Wszystkie twarze uwesela,
Czyszczą domy, bielą ściany
Na przyjęcie Zbawiciela,
Z nad kominów walą dymy,
Że aż poczuć je z daleka:
To obyczaj nasz rodzimy,
To święcone się wypieka.
Każda krząta się niewiasta,
Boć to dla niej ważne święto;
We sto kształtów idą ciasta,
We sto kształtów mięs nacięto,
Chociaż z ciężkim serca bólem,
Młody pieszczoch, wychowanek,
Już pod nożem był baranek,
Co Chrystusa jest symbolem.
Tryumf strzelca, dzik zębaty,
Własną ręką zabił w lesie,
Strojny w wieńce, strojny w kwiaty
Na ofiarę łeb swój niesie.
Zwiastun wiosny, cietrzew stary,
Co na tokach nie umilka,
Co kosztował prac bez miary
I bezsennych nocy kilka —
Głuszec z boru, gołąb z niwy,
Szary zając co pod miedzą,
Z doświadczenia dobrze wiedzą,
Że Wielkanoc dzień straszliwy,
Od miesiąca, od tygodnia
Każda knieja przetrząśnięta;
Szlachta z flintą chodzi co dnia,
By zwierzynę mieć na święta.
. . . .
A gdy jutro po obiedzie
(Jako zwyczaj przekazany)
Święcić jadło ksiądz przyjedzie,
I przeżegnać domu ściany —
Lubił szlachcic starej daty
Wskazać ład swój i dostatek:
Stół sążnisty wśród komnaty,
Obrus biały jak opłatek
Umajony w zieleniźnie,
Zastawiony jadłem szczerze,
Że i wąż się nie prześliźnie
Między misy i talerze.

Władysław Syrokomla.

Prima Aprilis.

Tak nazywa się powszechny u Polaków i u innych narodów zwyczaj żartobliwego zwodzenia innych w dniu pierwszym kwietnia. Początek tego zwyczaju wywodzą niektórzy od uroczystości dawnych Rzymian na cześć Bożka śmiechu i wesołości. Poganie bowiem rzymscy rozpoczynali nowy rok w dniu 1-ym kwietnia, wśród najweselszych zabaw. Inni utrzymują błędnie, że zwyczaj ten powstał w Judei, gdzie żydzi nie wierząc w Zmartwychwstanie Pańskie (Chrystus dnia 30 marca przybity na krzyżu, w dniu pierwszym kwietnia powstał z grobu), uczyli podobno kłamać żołnierzy i wszystkich. Polacy od czasów dawnych w dniu 1-ym kwietnia rozsyłali listy ze zmyślonemi wiadomościami, lub tylko kartkę z napisem *Prima Aprilis*, a także zwodzili się ustnie, by naśmiać się z łatwowiernych. Ztąd powstało to przysłowie:

Na *prima aprilis*, nie wierz, bo się [omylisz,
lub: nie czytaj, bo się omylisz.

Łukasz Gołębiowski przypuszcza: „że powrót wiosny w dniu tym zakreślony, powszechną sprawując radość, skłaniał do wesołości, która śmiechem się oznacza. Nic zaś nie wzbudza tak snadno śmiechu u nieokrzesanych, jak niewinne jakieś zwodzenie; ztąd szyderstwo, że się nie poznał na tem, iż się dał podejść.“ *Z. G.*

Złote myśli.

Więcej słuchać, mniej mówić, tak natura [chciała,
Kiedy nam dwoje uszu, jedne usta dała.
Okiełznaj dumne zdanie pokory munsz- [tukiem,
Wierz, nie szperaj; bądź raczej cnotliwym [nieukiem,
Niż mądrym a bezbożnym. *Krasicki.*

* * *

Strzeżmy cnoty praojców, niech uczciwa [ręka
Skalanej dłoni łotra dotykać się lęka.
Obcym nam być powinien, kto honor [swój plami;
By nas świat uszanował, szanujmy się [sami.
Gaszyński.

ANTYSEMITYZM.

Powieść oryginalna współczesna

przez

Romana Srzeniawitę.

dla „Pracy."

(Przedruk wzbroniony.)

I.

Doliną rzeki Stawy, rzeki podgórskiej przeleciała wieczorem silna burza z całą kanonadą piorunów, przy wtórze olbrzymiego chóru rozgłosów, łamiących się w potężne basowe akordy na szczytach gór zjeżonych lasami, na skałach dzikich parowów...

Słońce gdzieś tam za górami leżało jeszcze w swojej pościeli i tylko z oczu jego otwartych tryskały promienie w górę, gasiły gwiazdy i księżyc, co się wlókł ospale, zalewały blaskiem srebrzystym powietrze czyste, świeże, wonne... jak zwykle nazajutrz po burzy, a w alei stuletnich dębów i kasztanów, wiodącej do Kruchy, brzmiała już w niebogłosy kapela tysięcy spiewaków ukrytych wśród gęstych liści, na których drżały blaskami tęczy przepyszne brylanty porannej, bujnej, lipcowej rosy.

Wzdłuż tej cienistej alei, wymijając co krok świeże kałuże wody, posuwało się zwolna dwoje ludzi widocznie zmęczonych drogą, bo chociaż przed chwilą powstali z noclegu, szli bardzo powoli zgarbieni ciężarem tobołków.

On, prawdziwy typ galicyjskiego żyda, z długą, rudawą, już bielejącą brodą, z długimi pejsami zwiniętymi jak wióry stolarskie — szedł naprzód. Za nim posuwała się jego towarzyska życia i podróży, bardziej jeszcze zaniedbana w stroju i o wiele starzej wyglądająca.

Aleja wkrótce zwróciła się trochę na prawo, a w dali zaświeciły żółtawe ściany jakiejś ogromnej budowy.

— No! patrz Małke! — odezwał się żyd ochrypłym głosem — to już Krucha, a to Kruski zamek.

Bogu dzięki Lejbo! — odrzekła starowina — bo ja już ledwo idę — gdyby nie wczorajsza burza, to zamiast w podziemiach tej karczmy przydrożnej pod samą Kruchą, spalibyśmy nie na wiorach, lecz w łóżku u naszego Aarona.

No! co tam moja ty! — jedna noc więcej poniewierki — ot i minęła — już nie daleko!

I oboje raźniej pomknęli się drogą.

Na prawo od gościńca wznosiły się w czworobok około podwórza ściany starego zamczyska. Potężne baszty, górujące nad całą budową, strzelały szczytami ku niebu. Mury były jeszcze oblane zaledwo różowiejącem światłem i tylko krzyż na wieżyczce kaplicznej świecił promienisty. Na podwórzu i krużgankach nie było widać nikogo, firanki w oknach były pozapuszczane, wszyscy jeszcze spali i tylko, gdy nasi podróżni mijali zamek, a zegar uderzył czwartą, olbrzymi pies poskoczył ku żelaznemu ogrodzeniu zamku i silnie zaszczekał basowym głosem. Zbudzony z porannej drzemki stróż, przyłożył machinalnie gwizdawkę do ust, parę razy gwizdnął dobrze, trzeci raz nie dokończył, snadź ręka z rozespania opuściła gwizdawkę. Pies również odbiegł od kraty, położył się przy nogach stróża i znowu nastała cisza, przerywana tylko szlapaniem po żwirze zmęczonych nóg, wlokących się dalej ku miasteczku, podróżnych.

Weszli na rynek, na którym również panowała cisza większa, niż przy zamku, bo nawet żaden pies nie oszczekał przybyszów. Kogut tylko, grzebiąc wśród śmieci, nawoływał kury od czasu do czasu, a dumny ze swoich wykopalisk jeżył pierzastą grzywę. — Tylko przy domku piekarza było trochę ruchu, przed drzwiami stał wózek, na który ładowano gorące pieczywo.

W poprzek rynku skierowali się ku mostowi i przeszli na drugą stronę rzeki. — Tutaj szeregiem stały domki, których podsienia słupami od drogi oddzielone, ich schludność w ujemnem znaczeniu i zapach wielce aromatyczny, acz dość pospolity, pouczał przechodnia od razu, że to dzielnica dzieci Izraela. -- Odrębna dzielnica semitów w małem miasteczku i to w naszym kraju była rzeczą nadzwyczajną. Rzeczywiście mieszczanie Kruchy byli dziwnym wyjątkiem. Pomimo wszelkiego równouprawnienia żydów, powiedzieli sobie, iż żaden żyd nie będzie mieszkał przed mostem i, nie robiąc wyboru w środkach, spotykając się nawet z prokuratoryą, nigdy żadnemu żydowi nie pozwolili zamieszkać wśród miasta. *)

Lejba, przechodząc przez rynek, patrzył wokoło z pogardą, spluwał, gryzł końce brody i coś tam mruczał pod nosem wcale nie rzewnym tonem.

W ulicy semickiej również królował jeszcze snu bożek i tylko przed domem, na którego przyczołku widniał napis: *propinacya*, stał wózek jednokonny. — Woźnica na koźle, wpółdrzemiąc, kiwał się wraz z batogiem pod pachą na prawo i lewo — nie zawsze metrycznie, ale zawsze z akcentem na końcu. —

Podróżni nasi zbliżyli się do propinacyi właśnie w chwili, gdy z drzwi na przedsień wyszedł izraelita wysokiego wzrostu w całej sile wieku. Twarz miał kościstą, bladą, ale zdrowej cery z niebardzo bujnym porostem brody i wąsów, i przepysznego zakroju, semickie nos i usta. W całem znaczeniu tego słowa, piękny wschodni typ. — Nadto powolne, poważne ruchy stanowiły wybitny rys oryentalny. Spojrzał ku idącym, w pierwszej chwili zdawał się trochę niedowierzać oczom; lecz, poznawszy, zrobił ku nim parę przyśpieszonych kroków i zawołał:

— A toście Lejbo przybyli na jedną minutę dokładnie! Już miałem siadać na wózek i bez was, a dla was starać się o interes! — Lecz chodźcie do izby! — Witajcie ciotko! — odezwał się do starej, która się dopiero przywlokła. — Wy zostaniecie z Surą, a my Lejbo zaraz pojedziemy, tylko się trochę posilicie.

Weszli do izby, chociaż dość obszernej, ale cuchnącej zarazem wódką, cybulą, dymem cygar za trzy fenigi sztuka i góralskiej fajki, z domieszką obecności w jednym kącie kojca z kurami, a w drugim leżącego na ziemi paryasa wioski, znanego w całej Kruchy pijaka. — Tu w karczmie był on wszystkiem, za co dostawał dziennie parę kieliszków wódki i wolno mu było spać w kącie obok psa, lub obok kojca. — W tem mu gospodarz pozostawiał wspaniałomyślnie zupełnie wolny wybór, jak również, czy miał spać na gołych deskach czy na zgniłej słomie.

— Napijecie się Lejbo! kieliszek wódki, zjecie pare jajek — ta i nie tracąc czasu pojedziemy — rzekł gospodarz, zbliżając się do barłogu nędzarza i kopiąc go nogą, nawet nie patrząc, w co go uderza w głowę czy pod żebra?...

— Nu! Maciek! wstawaj!

— Mr!... mr!... odpowiedział przez sen jakimś nieludzkim wykrzykiem nędzarz, zwinął się w kłębek i nie myślał wcale o wstawaniu...

— Ny! wstaniesz ty bydle — huknął żyd, kopiąc go nogą ponownie.

— Któż tam! psia krew!.., — odhuknął nędzarz, podnosząc głowę i przecierając oczy, a widząc, że to gospodarz go tłucze, dodał skromniejszym tonem: — czegoż znów chcecie?

— Wstawaj i nastaw wodę na jaja!

— A cóż u licha! Czy wam mało tego, coście tylko co zjedli — odrzekł Maciek mrucząc.

— Ny! gałgan! co ty będziesz tu dowodził! wstawaj i gotuj! — wołał gospodarz, szarpiąc siedzącego już na ziemi pijaka.

— Psia krew!... — zacharczał nieszczęsny, powlókł się do pieca, by podrzucić do przygasłego ognia świeżego łuczywa i począł się oglądać za wodą, rondelkiem i jajami.

Tymczasem Aaron odprowadziwszy starą matkę do leżącej jeszcze w łóżku Sury, nalał spory kieliszek gorzały dla Lejby i podawszy mu czerstwą plecionkę z makiem tak począł mówić:

— No! wiecie Lejbo! wyście mieli prawdziwe szczęście! Jak ja waszą kartę otrzymałem, iż was z Batulina wypędzają, i że wy do nas przyjść zamierzacie, w ten sam dzień zachorował arendarz tu w sąsiedniej wsi w Tryszawie, a wczoraj umarł.

— Nu! dobrze! ja wezmę tę karczmę! — zawołał Lejba, świecąc oczyma z radości.

---

*) Takie wyjątkowe miasto rzeczywiście istnieje — jest nim Żywiec w Zachodn. Galicyi.

— Ja tak właśnie myślałem — odrzekł spokojnie Aaron — i wczoraj posłałem do was kartkę o tem...

— Ah! szkoda! — mimowolnie przerwał Lejba.

— A powiadam wam, Lejbo! — ciągnął dalej gospodarz, cmokając w palce — pyszne miejscuszko!... Na całą milę wokoło niema nawet choćby małego szynku... wieś cała w lesie, a pośrodku karczma, szkoły niema, budują tam wprawdzie kościół, ale księdza nie będą mieli, bo nie mają za co. Na końcu wsi jest tylko leśniczówka, w niej stary leśniczy, a zresztą chłop i chłop... a takich jak ot ten — dodał, wskazując na nędzarza skulonego przy piecu — masz tam całą setkę.

— Aj! Aj!... — Lejba z radości aż skakał po zydlu. — Na całą milę wokoło mówisz! niema żadnej karczmy, niema szkoły... chłop i chłop i nikt więcej!... Aj! aj!... — wykrzykiwał Lejba i aż głowa mu się trzęsła na karku z radosnego wzruszenia. — Aaron! Aaron! — dodał, chwytając swego siostrzeńca za rękaw — i ja dostanę tę karczmę?... ja dostanę?...

— Musicie dostać — odrzekł Aaron — bo ja tam muszę mieć zaufanego człowieka — będziemy tak samo interes prowadzili, jak z nieboszczykiem.

— Jaki interes? — przerwał Lejba, a oczy mu się przyćmiły podejrzliwością. — Ja tę karczmę mam trzymać z tobą na spółkę?... Nu! a wiele ty zechcesz? — dodał dość smutnie.

— Mylicie się, Lejbo! — tam przy tej karczmie jest jeszcze jeden korzystny interes, oprócz arendy, i przy nim musimy być w spółce.

— Jeszcze interes... i to dochodny! — zawołał Lejba, a ze wzruszenia zachłysnął się jajkiem, które spożywał, aż mu lica pokraśniały. — No! co to za taki interes?

— Tu nie warto o tem mówić — rzekł Aaron, wskazując znacząco na pijaka, który znowu zwijał się w kłębek na brudnej podłodze i mruczał półsenne przekleństwa. — Jedźmy! — W drodze do Dzikowia będziemy mieli czas na pogadankę.

— To my do Dzikowia jedziemy?

— Teraz jedziemy do Tryszawy, by ztamtąd wywieźć nieboszczyka do Dzikowia... tu nawet cmentarza nie mamy — przekleństwo na nich! — pojedziemy do Dzikowia, tam ja was zaprowadzę do Dorna, który trzyma Kruską propinacyę i zrobimy interes.

— To propinacya Kruska nie należy do tutejszej hrabiny? — spytał Lejba.

— Nu! — zaśmiał się Aaron, siadając na wózek i dając na migi rozkazy woźnicy, gdzie ma jechać — chcieli mieć propinacyę za 18,000... Dorn bez namysłu dał 25.000 i wziął... Trochę teraz trudniej idzie, niż dawniej bywało, ale sposoby się znajdą... Lecz przestańmy o tem mówić, bo mamy ważniejszą sprawę. Teraz jesteśmy bezpieczni, bo nasz woźnica, gdyby nawet nasz język rozumiał, nie jest nam straszny — jako głuchoniemy. Sprawę więc tego rodzaju...

I tu począł powoli, z flegmą prawdziwie oryentalną, opowiadać całą sprawę i tylko oczy, błyskające od czasu do czasu białkami, świadczyły jak sprawę uważał za bliską swemu sercu. — Natomiast Lejba, jako prawdziwy polski żyd, za każdym ważniejszym argumentem, który mu Aaron okazywał na palcach, podskakiwał na wózku, targał się za brodę, zakręcał pejsy i aż kłapał zębami z radości.

Tak dojechali do Tryszawy, przewieźli nieboszczyka do stacyi kolei, leżącej w lesie o parę kilometrów od karczmy i następnym pociągiem przybyli do Dzikowa. Sprawa poszła gładko, Aaron był jednym z poufnych Dorna, nawet przez żonę było tam jakieś powinowactwo, posada była opróżnioną w jego okręgu, więc on, niemal wyłącznie, miał rozstrzygający głos w tej sprawie.

Gdy pod wieczór głuchoniemy woźnica przybył na stacyę, by zabrać wracających z Dzikowia, toć oczom swoim nie chciał wierzyć, że ten rozpromieniony, co chwila podskakujący żyd jest ten sam dziad pochylony pod ciężarem tobołka, który dziś rano przesunął się koło jego wózka.

Wrócili do karczmy, w której została wdowa z trojgiem dzieci. Lejba po długim dość targu ściągnął but z nogi, odpruł podszewkę cholewy, wydobył parę setek guldenów, a zapłaciwszy wdowie za niewielki remanent i odstępne, począł z Aaronem oglądać swą przyszłą siedzibę.

A teraz, rzekł Aaron, obaczymy rzecz najważniejszą. Dajcie no klucz — rzekł do gospodyni — Czy jest? — dodał lakoniczne pytanie ze znaczącym ruchem głowy!

Jest! odpowiedziała gospodyni również lakonicznie — Idźcie! ja tam zaraz przyjdę... zupełnie zapomniałam...

Zaraz za karczmą, przytykając do ścian jej stajni, poczynały się bujnie urosłe krzaki orzyn i innych krzewów a splątane w taką gęstwinę, że żaden człowiek nie potrafiłby się tam przedrzeć. — Dalej za niemi ciągnął się las. Aaron i Lejba obeszli krzaki w około i od strony lasu znaleźli krzak z podciętemi od ziemi gałęziami.

— Tutaj! — rzekł Aaron, stając na czworaku i pełznąc pod krzak w głąb gęstwiny — Lejba polazł jego śladem.

. . . .

A co! — dobra stajnia? — pytał Aaron Lejbę, gdy wrócili znowu do izby ze swej tajemniczej wycieczki.

— Znakomita! — odrzekł z zachwytem Lejba.

— Nic dziwnego! odparł Aaron. Sześć lat już prowadzimy ten interes — tych krzewów niebyło, to nieboszczyk zasadził. Ale co lepsze nad te krzewy to jest to, iż chłopi powiadają, że w tych krzakach djabli siedzą, bo słyszeli ich głosy w nocy... a nieboszczyk przysięgał im, że niemal co nocy słyszy te krzyki.

Cha! cha! cha!... parsknęli wszyscy troje szyderczym śmiechem.

W dobę później już Lejba i Małka byli na swojej świetnej posadzie.

II.

Tajemniczy handel, o którego szczegółach dowiemy się później, nie był wyłącznem zajęciem Aarona i Lejby, lecz, że tak powiem, ich sportem od święta. Trzeba jednak powiedzieć, że na wiosnę i jesień używali tego sportu niemal codziennie. — W każdym razie nie było to ich zwykłe zajęcie.

Wyzyskanie ludności okolicznej; ta mila w około, o której mówił Aaron... ta mila „bez żadnej karczmy i większej osady, bez szkoły i kościoła...“ oto był obszar właściwego działania Lejby w przysłości.

Przedewszystkiem więc zajął się poznaniem swoich sąsiadów. Do każdego zaszedł do chaty, z największym sprytem rozpytał się o jego stosunki i gospodarstwo; nie uszły uwagi Lejby słabostki tych i innych jego sąsiadów; pilnie zważał na to, co chwalono w postępowaniu jego poprzednika, a co ganiono — słowem po kilku dniach znał już doskonale swoje stanowisko, a wiedział na palcach dokładnie z kogo i jakie będzie mógł zyski pociągnąć. — Szczególniejszą uwagę Lejby zwrócił na siebie jeden z najbliższych sąsiadów karczmy.

Stary Mateusz Dynda, ów sąsiad, miał żonę, dobrą kobietę, ale ograniczoną wielce, miał córkę dopiero dorastającą, a więc o zięciu jeszcze mowy być nie mogło. Przychodził tam wprawdzie, a nawet często, syn restauratora z Kruchy, dzielny parobczak Stach, ale przed nim stały trzy lata służby wojskowej, jeszcze o żeniaczce mowy być nie mogło, — słowem, stary Mateusz był sam a grunt miał ładny i chałupę porządną. — Liczono, iż to było warte przeszło 10 stówek... A ten grunt i ta chałupa były tak blizko karczmy, że często, gdy stara Dyndzina paliła w piecu, to dym gryzł oczy Lejby. Lecz nadto Lejbę żarła pożądliwość, on sobie przyrzekł posiąść ten grunt, a nie wątpił, że to będzie łatwem, zauważył bowiem od razu, że stary Dynda lubi kieliszek.

Przyszedł dzień poświęcenia kościoła w Tryszawie. Po nabożeństwie zebrała się na lesniczówce spora gromadka gości, kilku młodych ludzi, kilka młodych pań, a muzyka była pod ręką, tać się chwycili młodzi w pas, i dawaj hulać. — Tańce z okazyi poświęcenia kościoła, to rzecz wprawdzie dziwna, ale młodość i zakątki parafialne mają swe wyłączne prawa a więc hulali, aż dobrze po północy. — Na rozjezdnem komuś tam z gości zabrakło koni, więc pędem posłano do starego Dyndy. Mateusz zaprzągł swą parkę i ruszył. Zaledwo poczynało świtać. Niedaleko za karczmą trzeba było, zwracając się z gościńca na małą drogę, przejechać na rowie niewielki mostek. Czy Mateusz nie był wyspany, czy może kieliszek, który mu Lejba podał był za wielki — słowem, jak gdyby oślepł, wpadł na mostek pędem, w mostku była dziura, prawy koń złamał nogę i już dalej nie pojechali. — Lejba patrzył za odjeżdzającym Mateuszem, a skoro dostrzegł, co się stało, pobiegł ku niemu i zaczął razem z nim biadać.

Chłop klął na czem świat stoi, bo mu wódka już do głowy poszła, a żyd stał przy nim, cmokał i, kiwając głową, biadał.

— Oj! oj! Mateuszu! jaky wy biedni! — a to dopiero przypadek i co wy teraz będziecie robili?...

Chłop klął i klął, obchodził konia z jednej i drugiej strony, targał go, ale koń już powstać nie mógł.

— Oto masz, Lejbo, co mi się stało! Że tam dziś na leśniczówkę nie pojadę, to mniejsza, ale jam się umówił jechać jutro na Węgry z trzema żydami od Aarona z Kruchy... Jednym koniem nie pojadę...

— A dokupić nie można? — zapytał Lejba.

— Ta Karbowiak ma tam dobrego konika, cóż kiedy chce za niego 50 papierków, a ja mam w kieszeni tylko 40, a i na drogę trzeba mieć jakiś grosz, bo to na tydzień jedziemy.

— To mógłby wam poczekać! — rzekł Lejba.

— Eh gdzie u licha — taki sknera! — wczoraj na jarmarku w Kruchy powiadam: daj konia! — pojadę moim i twoim, zarobię i zapłacę — ale gdzie tam!... Wylicz powiada 40 papierków, a potem jedź choćby do Ameryki.

— No Mateuszu! — zawołał Lejba — kiedy on taki nieużyty, to ja tak, po sąsiedzku, pożyczę wam 15 guldenów, zapłacicie mi guldena procentu i kupujcie konia.

— A toście mi usłużyli Lejbo! — zawołał uradowany Mateusz — dam guldena procentu, bo inaczej straciłbym może jakie 30 zarobku.

— A jużci — odezwał się Lejba — tu niema co czekać — ciągnijmy tego konia do karczmy, trzeba go zabić, to przynajmniej skórę można sprzedać.

— Ja już dawno tego głupca chciałem sprzedać — wołał chłop, kopiąc nogą nieszczęsne zwierzę — ślepy, czy jakie licho, wlazł w dziurę!

Wciągnęli biedne konisko do stajni, wrazili mu nóż do serca, Lejba dał Dyndzie 15 guldenów, obiecał złupioną skórę zachować i Dynda najspokojniej jednym koniem pojechał do Kruchy, by po drodze dokupiwszy drugiego — wprost już ruszyć dalej na Węgry.

— Na odjezdnem Lejba prosił Mateusza, by doręczył Aaronowi jakąś karteczkę.

Wieczorem, gdy zapadł zmrok przybyła przysłana od Aarona furka z parobkiem od żydowskiego rzeźnika. Lejba odciął koniowi ogon, trochę skóry przy dwóch piętach i uszy z częścią powłoki czaszkowej — potem wpakowano konia na wóz, okryto sianem i słomą i już nazajutrz poczciwe zwierzę nakarmiło swem mięsem kilku obywateli w Kruchy i okolicy, lub przerobione na kiełbasy w jednej z garkuchni Kruchy... Tak ludzie o tej garkuchni mówili, lecz to przecie wiadomo, iż bywają plotki... a jeszczeż w Kruchy!...

— Po tygodniu może, powrócił Dynda z dobrym zarobkiem, pod wieczór poszedł do karczmy pomówić z kumami i obaczyć się z Lejbą.

To się rozumie, iż rozpoczęto od kieliszka. Lejba się okropnie ucieszył, że sąsiad powrócił zdrów, szczęśliwie odbył drogę, więc z radości wielkiej poczęstował go arakiem. Rozpytywał o Węgrów i Węgry, i bardzo wiele o nich prawił... Tak go zajmowały stroje i obyczaje madziarskie, że nie dał staremu Dyndzie chwili do namysłu, zarzucając go bez przerwy zapytaniami. — Dopiero, raz czwarty nalawszy kieliszek, gdy widział Lejba, że Dyndzie już się plącze język, a więc i głowie jego nie jest też lepiej — dopiero wtedy zaniechał zapytań, co oczywiście to miało w skutku, że Dynda wkrótce przypomniał sobie skórę z konia i zapytał o nią.

— A prawda! prawda! — zawołał Lejba — skóra jest, wisi u mnie w stajni — już pewnie dobrze podeschła, trzeba ją posłać do Gębczyc do wyprawy.

— To dobrze! — zabełkotał Dynda — jutro muszę do Gębczyc jechać to i powiozę.

— Zaraz wam ją dam, zaraz! — chodźmy do stajni.

Lejba zapalił latarkę i poszli do stajni. Była zamknięta na klucz, weszli i skierowali się w kąt, który wskazał Lejba, ale skóra na belce nie wisiała.

— Nu! co to jest? — zawołał zdziwiony żyd — na co ją moja żona ztąd przeniosła?...

Poszli do drugiego, do trzeciego, do czwartego kąta — skóry jak niema tak niema...

— No! co to znaczy! tu był złodziej! — zakrzyczał Lejba — którędy on wlazł, kiedy drzwi były zamknięte?... Co to znaczy? Co to znaczy? — wołał Lejba... Chyba może lis tu był...

Przyszli znowu na miejsce, gdzie przed tygodniem była niby powieszona skóra... Lejba się o coś potknął, schylił się, by lepiej obaczyć i krzyknął żałośnie:

— A co! Czy nie mówiłem? — lis skórę zjadł! Patrz! zostawił tylko ogon, nogi i uszy!

Dynda osłupiałym wzrokiem patrzył na wskazywane kawałki skóry — nareszcie zabełkotał:

— A to bestya! a którędy on wlazł?

Poczęli oglądać stajnią, i znaleźli rzeczywiście dziurę między brewnami, a co najważniejsza — za oskołkiem jednego tramu uwięzła nawet kiść sierści lisiej. — Trudno było żądać więcej dowodów... Dynda zaklął i poszedł do domu, nazajutrz był nawet u leśniczego z tą wiadomością — leśniczy wątpił, ale to był znany dziwak.. ta jakże wątpić, kiedy skóra zjedzona, a nawet sierść lisia pozostała?...

Sprawa utraty skóry i to zjedzonej przez lisa nie mogła oczywiście wpłynąć na stosunki Mateusza z Lejbą.

Nazajutrz Mateusz zaszedł znów do swego przyjaciela. Lejba nie spieszył z kieliszkiem, bo właśnie tym razem trzeba było mu trzeźwego przyjaciela. Rozpoczął od narzekań.

— Aj! Mateuszu! Mateuszu! jak mi żal tej skóry!... Ah! taka była dobra!... nu! ja temu winien, bo czemu ja jej nie powiesił na strychu? Wiecie co, Mateuszu, nie gniewajcie się na mnie, ja chcę wam krzywdę nagrodzić, wy macie mnie 16 guldenów zapłacić — nu! ja nie chcę od was procentu, niech tego guldena stracę za karę, żem was pokrzywdził.

— Ależ wy tego nie chcieliście przecie! — zawołał Mateusz — ja tego guldena nie przyjmę!

— Nie! nie, Mateuszu! ja was proszę weźcie, bo on mi na sumieniu ciężv.

Stary Dynda otworzył usta.

— Aleś ty, Lejbo, poczciwy żyd — zawołał z zapałem — to ze świecą szukać takiej poczciwości u żyda.

— Mój Mateuszu! dlaczego żyd nie ma być uczciwym? — odparł Lejba patetycznie, stawiając przed chłopem spory kieliszek rumu. — Czy to my nie wierzymy w tego samego Boga?... Czy to my wszyscy nie jesteśmy jego dziećmi?... Nu! to chrześcianin jest także mój brat...

— Pięknie mówisz, mój Lejbo! bardzo pięknie! ty bardzo poczciwy żyd! — wołał Dynda już rozczulony potrochę pod wpływem rumu.

— Ot widzicie, Mateuszu! ja już nawet kwitek przygotowałem do podpisu na 16 guldenów, teraz ja go drę, podpiszcie mi tylko na 15 — i podał mu kwitek do podpisu.

— Ja wiem — mówił dalej — że wy możecie mi zaraz zapłacić, lecz wy pewnie macie ważniejsze interesa, wam się tam pieniądze przydadzą, a ja poczekam. Czyż jabym takiemu sąsiadowi nie poczekał?

Poczęła się więc gra w kredytowe kwitki, które są najznakomitszą bronią w ręku żydów przeciwko naszym wieśniakom. Żyd udaje bardzo wyrozumiałego na nieposiadanie pieniędzy i otwiera chłopkowi kredyt na wszystko: na gotówkę, na wódkę, na tytoń, na wszystko, co ma do zbycia. Kartkę daje zwykle do podpisu wtedy dopiero, gdy chłop jest pijany, ciągle przedłuża termin wypłaty, ostatecznie chłop nie pamięta, ile kwitów podpisał.

Przychodzą tam kiedyś do obrachunku, liczą kwity — to się rozumie, iż zawsze po pijanemu — i dopiero na sumę, której chłop pijanemi oczyma nie widzi, podpisuje on weksel.

Na sumę w tym wekslu składają się rzeczywiste pożyczki; tj. sumy z kartek, które chłop podpisał, nie wiedząc często, co podpisuje; ostatecznie olbrzymiej stopy procenta.

Przedewszystkiem idzie o zaprzyjaźnienie się z chłopem, by jak najdłużej kartki nie były przepisywane na weksle... tak przecie zwykle bywa między przyjaciółmi...

To jest polityka codzienna, a przy tej zasadniczej i codziennej walce żyd upatruje lub nawet sam urządza utarczki rozmaitego rodzaju — tem właśnie była sprawa końskiej skóry zjedzonej przez tego lisa, z którego Lejba miał czapkę już od 10 lat przeszło. Taką również była utarczka o skórę drugiego konia tegoż Mateusza.

Kiedyś pod wieczór żyd podszedł do jednego z koni Mateuszowych pasących się na łące i niby to klepiąc go po szyi, wsypał mu do ucha najdrobniejszej miary śrótu. Koń wstrząsnął głową, pewna ilość śrócin precz wyleciała, ale dwie lub trzy zapadły tak głęboko, że koń ich wytrząść nie mógł. Trząsł i trząsł głową, śrót zapadał wciąż dalej, a drażniąc sprawił wkrótce stan zapalny, koń dostał obłędu, widocznie ginął, a Lejba rozpaczał nad biednym Mateuszem.

Rada w radę — przyjaciele uznali dobić biedne zwierzę, bo się darmo męczy, już się ledwo wlecze i nic a nic mu nie pomaga; ani wódka, ani szpiginar, ani sadło topione... Zawlekli biedactwo do stajni Lejby i tam je zabili.

Lejba złupił skórę, a było to już pod wieczór, więc drugim koniem Mateusza wywlókł cielsko daleko w las — gdzie w pobliżu stał wózek Aarona i pachołek rzeźnika — a skórę — tym razem ostrożny — powiesił na strychu.

— No, Mateuszu! teraz wam lis już nic nie zrobi.

— Ta jużciż! — odrzekł uspokojony Mateusz, a nie wiedział biedak, że najchytrzejszy lis właśnie koło niego krążył upornie. — Jutro ją zabiorę — dodał.

Nazajutrz o świcie Lejba dobył z szuflady atramentowy ołówek, rozciął go na kilka kawałków, a obłupiwszy z drewnianej powłoki, wetknął w kilku miejscach w mięso tu i owdzie pozostałe pod skórą konia.

Rankiem nadszedł Dynda.

Lejba się skarżył na jakieś boleści w żołądku, nalał więc sobie i Dyndzie po kieliszku araku.

Poczęła się gawędka to o tem, to o owem, jak to zwykle pomiędzy przyjaciołmi, którzy się nie mają czego spieszyć.

Lejba wypił jedną czarkę, a Dynda trzy, bo go Lejba prosił, by spróbował i dał mu radę, który arak warto kupić, a który nie. — Właśnie wczoraj wieczorem Aaron z Kruchy nadesłał mu próbki, a on się przecie tak nie zna, jak Dynda.

Dynda wypróbował, poradził, ale przytem i podpił nieźle. — Poszli nareszcie na strych zdjąć skórę.

— Aj! Aj! Mateuszu! patrzaj no jaka to wielka skóra, to tak, jak z okropnego byka. Trzeba ją ściągnąć.

Targnął za ogon, skóra się zsunęła na sierść, odkrywając wewnętrzną stronę, na której okazały się czarne pociski... Lejba aż się schwycił za głowę...

— Uciekajmy Mateuszu! uciekajmy, to jakaś zaraza... patrzaj! wszystko czarne... nie ruszajmy! nie ruszajmy! tak trzeba zakopać — ja powiem Małce niech wyciągnie do lasu i zakopie.

— A jak Małka się zarazi? — bąknął podpity Dynda.

— Niech będzie ostrożna — ja jej powiem — no! a gdyby się zaraziła — dodał szeptem żartobliwie — to i owszem, wziąłbym jaką młodą...

— A ty hultaju Lejbo! — śmiał się Mateusz, tłukąc żartami żyda w kark — ot czego się tobie zachciewa!

Zeszli na dół, Aaron kazał żonie wleźć na strych, z wielką ostrożnością ściągnąć skórę i zakopać w lesie. Małka się rozkrzyczała na Lejbę, Lejba na nią. Mateusz nie rozumiał tego, co między sobą szwargotali, ale to było jawne, że Małka czegoś nie chciała, a Lejba tupał nogami i rozkazywał. W końcu Małka, chlipiąc od płaczu, pociągnęła atramentem oblaną skórę do lasu i tam ją gdzieś schowała.

Nazajutrz przez Aarona posłano ją do Gębczyc do wyprawy.

Przyjaźń Lejby i Mateusza trwała ciągle, nawet wzrastała.

Dynda wszędzie i zawsze z całym naciskiem opowiadał, jaki to Lejba wyjątkowo poczciwy żyd i tem wyrabiał mu zaufanie u sąsiadów w okolicy.

Jakże można było nie nazwać Lejba uczciwym żydem, kiedy on zawsze był na usługi wszystkich.

Naprzykład zbliżał się jarmark w Kruchy, w Dzikowiu, w Padowicach, a czas był bardzo roboczy, zbiórka siana, czy żniwo... gdzie tu myśleć o stracie dnia całego... Lejba pierwszy zachodził do sąsiadów, pytał czy nie mają czego sprzedać lub kupić? — Więc jeden prosił go, by sprzedał korzec zboża, drugi cwiartkę ziemniaków, trzeci wieprza i t. p. — słowem Lejba wyjeżdżał zawsze ogromnym wozem naładowanym powyżej drabin, a wracał najczęściej próżnym — ale z pełną torbą pieniędzy... A już taki był uczciwy, jak trudno znaleźć. Każdemu, kto do niego przyszedł z takim interesem, zaraz mu z niemieckiej gazety wyczytał, ile dostanie za swój towar. Nigdy, a nigdy się nie zdarzyło, żeby wziął na targu mniej, a nieraz przywiózł więcej pieniędzy, niż obiecał... I nic za to nie brał... ot czasami tam poprosił o jakąś miarkę ziemniaków, albo garniec grochu... ot tak coś, co to nikomu żadnej krzywdy nie przyniosło, a biednego żyda skrzepiło.

...No wprost uczciwy, a przytem rozumny żyd... czytywał niemieckie gazety, to i nie dziw, że umiał tak wszędzie sobie poradzić...

Oh! umiał sobie doskonale radzić... Jeszcze rok nie minął, a od setki okolicznych włościan miał już kwitki, a nawet poważne weksle...

Raz przyjaźń Dyndy tylko co nie pękła. Lejba nie zauważył, że stary jeszcze za mało pił i począł z nim obliczać kwitki. Jak on tam liczył, sam tylko wiedział, ostatecznie naliczył 125 guldenów; weksel jednakże dał do podpisu na 175. Dynda podpity podpisał, kartki spalono. Jednakże na drugi dzień przypomniał sobie stary, że jakaś tam była różnica. Przyszedł do karczmy i kazał sobie weksel pokazać — na wekslu było 175.

— Kłamiesz żydzie — huknął Mateusz — nie było tyle!

— Żyd z całem oburzeniem popatrzył na starego.

— Mateuszu! Mateuszu! — zawołał patetycznie — i wy mnie! mnie! Lejba posądzacie, że ja wam weksel sfałszował?... Ja tylu obcym ludziom prowadzę handel, a nikt nie może powiedzieć, bym mu jeden grosz zataił, a jabym was oszukiwał, was starego przyjaciela, dobrego sąsiada?!... Aj Mateuszu! Mateuszu! — zakończył żyd, kiwając głową i cmokając ustami...

— Ale cóż u licha! — zawołał zawstydzony Mateusz — kiedy nie było tyle...

— Nu dobrze Mateuszu! spytajmy sąsiada Jędrzeja, on był przy tem, gdyśmy weksel podpisali....

Przywołano Jędrzeja, który wczoraj był pianiusienki. Zaświadczył, że słyszał jak Mateusz sam mówił: sto siedemdziesiąt pięć... Mateusz poczynał wierzyć, Lejba natarł ostatecznie...

— Patrzcie Mateuszu — zawołał — ja wam więcej wierzę, niż wy mnie, ja jestem pewien, że moje pieniądze u takiego jak wy gospodarza nie zginą, choć i wekslu mieć nie będę... Rozdarł weksel i rzucił w piec... Dynda czuł się pobitym, upokorzonym do ostatka... To się rozumie, że wieczorem Lejba tak nakręcił rozmowę z Dyndą, iż ten uznał niegodnym siebie, pozostawiać Lejbę w niepewności a i w niebezpieczeństwie — bo któż wie czy jutra dożyje? i sam domagał się od Lejby wystawienia nowego wekslu. Lejba najpierw spoił Dyndę na potęgę, a gdy zostali na cztery oczy w szynkowni, wtedy przyjaciel żyd napisawszy weksel na 225 gl. wziął rękę przyjaciela Dyndy, podpisał nią weksel a chowając go, rzekł: Mój Mateuszu! to będzie u mnie leżało i leżało — czy jabym z tobą proces toczył — będziesz miał, to mi oddasz.

Od dnia następnego Lejba począł nowy rachunek z Mateuszem — to przecie był jawny dowód, że nie myślał procesować o dług na weksel o jakieś tam marne 175 gl.

— Zaufanie Mateusza dla Lejby i ich wzajemna przyjaźń ciągle rosła, a dosięgła szczytu, gdy gdzieś tam w drugim roku Małka, aczkolwiek stara, obdarzyła Lejbę potomkiem płci mężkiej, Lejba i Mateusz radowali się okropnie, Mateusz spił się wódką i rozczuleniem, a huknąwszy kułakiem w stół krzyknął...

— Wiesz co Lejbo! choć ja nie żyd, a tak twego chłopaka do chrztu ponoszę... i tak się rozognił, że tylko co żyda nie wycałował... a przecież tego i po pijanemu nie potrafił.

Ale niestety!.... rosła przyjaźń Mateusza z Lejbą, a wraz z tem wrastały chwasty w jego obejściu — gospodarka padała. W chacie powstały codzienne kłótnie małżeńskie... Hanuś, jedyna córka łamała ręce, klękała przed rodzicami, prosząc o zgodę, całowała nogi ojca, zaklinając go, by nie pił... a czy to pomogło?... nieraz jeszcze i nogą ją skopał gniewnie... a biedne dziewczę jęczało ze łzami.

— Tatusiu! Tatusiu! zabijcie mię, ale nie idźcie do karczmy!... Wszystko na darmo!... W końcu drugiego roku Dyndzina umarła ze smutku, a stary Dynda od tego czasu dzień w dzień przez cały wieczór siedział w karczmie, to pił, to pisał kartki i weksle Lejbie — Już w trzecim roku przyjaźni z Lejbą, suma długów na wekslach u Lejby wynosiła przeszło 500 gl.

. . . .

O biednaż ta Hanuś! biedneż to było dziewczę!... sama jedna w chacie przy ojcu pijaku, gdzie tam i dźwignąć gospodarkę rolną!... ot wszystko poprostu leciało jej z rąk... a i ludzie, jak to zwykle w biedzie, poczęli ich unikać... często i dobę całą nie miała z kim słowa przemówić... ratunku z nikąd nie widziała!..... Był ktoś na świecie, był, ktoby ją wspomógł, pocieszył... lecz, Boże zmiłuj się!... gdzieś w żołnierce wędrował po świecie... a czy został wierny?... Hej! Hej! znalazły się kumoszki, co jej kładły do głowy: — ta co: wy teraz idziecie na dziady! Stach do ciebie nie wróci!... Alboż on głupi czy co?... Chudobę waszą rozbiorą żydzi, ty pójdziesz w poniewierkę na służbę, i biedne dziewczę gryzło się tem, gryzło i mizerniało, że aż litość brała...

Takie to były dzieje naszego zacnego Lejby, starego Dyndy, a podobno jeszcze kilku innych sąsiadów. Jednakże to przekonanie o zacności Lejby zaczęło się trochę chwiać u niektórych ludzi, którzy nieczęsto zaglądali do karczmy. Jakieś dziwne słuchy, że do Lejby nocą ktoś przyjeżdża i od-

jeździa, że tam są jakieś schadzki żydów, że to i owo... możeby ostatecznie przestano mówić, gdy wtem pewnego dnia, przed świtem jeszcze, wpadli żandarmi do karczmy, przeszukali od strychu do piwnicy, przepatrzyli wszystkie rachunkowe książki i odeszli...

Lejba tryumfował i mówił, że ma nieprzyjaciół i ci go pewnie o coś fałszywie oskarżyli. Tymczasem i z innej strony nadeszły zdarzenia, które ukrytym zbrodniom miały zgotować zasłużoną karę.

III.

Z gospody na rynku Kruskim wyszedł mężczyzna odziany w strój podróżny. Liczył może lat do czterdziestu, twarz miał ogorzałą, wybitnych, surowych rysów, znać było, iż przeszedł nie małą szkołę życia i duszę w niej zahartował a w ruchach swoich miał coś wojennego. Przed nim szedł mały chłopczyna, wskazując mu coś przed sobą w dali a kierując się ku brzegom Stawy, doszli do gajów nadbrzeżnych

— Tędy, proszę pana! tędy — wskazywało chłopię, rozchylając krzaki, poza którymi widniała wązka ścieżyna, tak czasami zarosła trawą, iż tylko miejscowy mieszkaniec wiedział, że to droga.

— Więc tu niedaleko poczynają się spadki rzeki, o których mi mówiono — przerwał podróżny.

— A tak, panie! — odrzekł chłopaczek — a tam w górze jest jar*), tam! tam! za tą przegibą rzeki — dodał chłopak, widząc, że przybyły szukał oczyma nadaremno wskazanego przedmiotu — ztąd go nie widać, lecz proszę posłuchać!... Oh! słyszy pan, jak woda szumi — teraz przybyła, to idzie wierzchem.

— Dobrze, mój chłopcze, lecz gdzie jest pierwszy spadek?... pokaż mi go...

— A ot tu! — rzekł chłopczyna, uwiesił się jedną ręką na większym pniu wierzby, a spuściwszy się na brzegowym urwisku, drugą ręką uchylił gałęzie młodych jeszcze krzewów. — Widzi pan, jak tu woda leci przez kamienny próg?

— I tam dalej są takież progi? — pytał podróżny.

— O! jest ich dosyć, aż tam na połowę drogi do drugiego jaru...

— Podróżny patrzył na spad wody u jego stóp, na pochyłość brzegów wraz z biegiem rzeki — widocznie coś rozważał, liczył, gdy wtem na ścieżce dały się słyszeć kroki; w chwilę potem uchyliły się gałęzie i naprzeciwko naszego podróżnego wyszedł mężczyzna, może trochę młodszy od niego, widocznie miejscowy, bo ubrany był w prostą bluzę, z małą strzelbiną w ręku. Spojrzeli ku sobie, a oczy ich rozświeciły się naraz zdziwieniem i radością. „Baltazar!" „Paweł!" krzyknęli naraz i padli sobie w ramiona; snadź dawni i dobrzy znajomi.

— Ty mieszkasz w Kruchy? od dawna?

— Jestem tu na służbie od kilku lat, ale zkąd ty w tych stronach? Czego ty szukasz wśród wiklin?

— Szukam wody, mój drogi bratku!

— Wody? — zawołał Paweł, nie rozumiejąc dobrze odpowiedzi. — Czy chcesz się napić, czy utopić? Ani jedno, ani drugie ci się nie uda, bo rzeka najczęściej mętna, jak dzisiaj, a zwykle płytka, że nawet leżąc na samem jej dnie, wykracza się przeciw przyzwoitości... Lecz żart na stronę! Co znaczy twe powiedzenie?

— Szczerze ci powiadam! Wierz, że skończyłem politechnikę w Monachium — słyszałeś, że poszedłem za kordon i miałem fabrykę sukna na Litwie.

— I wiem, żeś się ożenił — przecie prosiłeś mię na kuma — potem urwateś korespondencyę i straciłem twój ślad — więc cóż się stało?

— Ot tak mój bracie!... i szczęście i nieszczęście i znowu słońce świta ot, jak zwyczajnie na tej to ziemi. Żona mi od roku umarła, została mała dziecina... przez pamięć nieboszczki i dla tego dziecka pracowałem, jak dawniej, ale ot jakoś było mi w oczach ciemno. W rok potem matka zabrała dziecinę do siebie, toć mi poprostu i ręce opadły i uciekałem z pustego domu do miasta, do sąsiedztwa — byle zapomnieć swą boleść. Tymczasem fabryka poczęła kuleć a tu żydzi z okolicy poczęli już krążyć w około — już mi parę psikusów urządzili... Do stu piorunów, myślę sobie, tom na to postawił fabrykę na takiej stopie, żeby mi to żyd zabrał? niedoczekanie wasze! — Już przy założeniu urządziłem tę fabrykę w ten sposób, że robotnicy mieli w niej znaczny udział. Zwołałem więc starszyznę, zaproponowałem, by zrobili spółkę i wzięli odemnie w dzierżawę. Długo się naradzali, okazało się, iż kilku miało trochę grosza, a że warunki postawiłem dostępne, złożyli więc kaucyę dzierżawy, wzięli fabrykę w swe ręce a ja poszedłem w świat...

— I cóż nie straciłeś? Czy ci płacą rzetelnie? — zapytał Paweł. — Ależ mój drogi — odrzekł kolega. Trafiłem na wiernych a porządnych ludzi. Już z końcem roku zaproponowali mi kupno. Z radością podałem im cenę u mnie włożonego kapitału. W parę lat potem zaciągnęli dług w banku i połowę mi spłacili a w sześć lat potem przysłali ostatnią ratę. Od roku przeszło już tylko raty bankowe im ciężą... Nie mają słów na podziękowanie...

— A gdzieś ty się podziewał przez te długie lata?...

— Ja poszedłem szukać nie doli, ale zapomnienia. Wróciłem do stron rodzinnych, zaciągnąłem się do wojska, biłem się w Hercogowinie, stałem tam przez kilka lat, aż oto w przeszłej jesieni wysłano mię do Krakowa. Wiedziałem, że rodzice mojej żony, oddawszy wioskę synowi, przenieśli się do Krakowa. Dopytałem się, gdzie mieszkają i poszedłem odwiedzić. U drzwi spotkał mnie okrzykiem stary sługa domu, pokazał drzwi, gdzie miałem wejść a sam poskoczył oznajmić moje przybycie. Wszedłem do salonu i stanąłem jak wryty, w oczach mi pociemniało. Nad krosnami przy oknie siedziała moja nieboszczka żona... Wszystko, com przeczuł od chwili poznania jej — wszystkie chwile szczęścia, rozkoszy, męczarni, tęsknoty... wszystko naraz ścisnęło mi serce.... bezwiednie krzyknąłem: „Helu moja!" Dziewczyna skoczyła z miejsca, przestraszonym okiem spojrzała na mnie...

— Kto pan jesteś? — spytała — ja nie jestem Hela... tak było na imię mej siostrze"... „Jam mąż jej" odrzekłem, chwytając ręce dziewczęcia... „Tyś Baltazar!" zawołała, cofając ręce, płonąc jak wiśnia.

W tej chwili nadeszli rodzice i domyślasz się zapewne, że ten dzień zapłacił mi lata całe cierpień i tęsknoty. — Na Wigilię przy opłatku zamieniliśmy pierścionki, a z końcem karnawału przeniosłem się na mieszkanie do mojej żony.

— I cóż! jesteś szczęśliwy jak z pierwszą?

— O tak! — odrzekł Baltazar. — Umysłem, charakterem, nawet rysami twarzy tak młodsza ta siostra podobna do starszej, że wierz mi, kochany Pawle! — czasami zdaje mi się, że mój wyjazd na Litwę, ta fabryka pod Kownem, ta śmierć mojej żony i dziecka — to wszystko, jakiś sen. — Zdaje mi się, że ja nigdy ztąd nie wyjeżdżałem, żadnej żony, żadnego dziecka nie miałem...

— Jakże więc! To ty nie znałeś siostry twej żony?

— Gdy miałem się żenić z jej siostrą, miała dopiero lat dziesięć i była w klasztorze w Jazłowcu — miała przyjechać na ślub, lecz zachorowała, a nim nadeszły wakacye, ja wyjechałem na Litwę.

— Cdzie mieszkacie? w Krakowie?

— Dotąd tak! — lecz ty mnie znasz, z założonemi rękami nie usiędę, więc znowu myślę o fabryce i szukam wody, na którejbym mógł ją postawić.

— Dajże więc Boże — odrzekł Paweł — byś ją znalazł w Kruchy, znowu będziemy razem, jak ongiś w poczciwem Monachium... Więc dobrze, mój Baltazarze! cóż z chłopakiem, gdzie ci iść potrzeba, a potem... — Słuchaj ty, chłopcze! przyprowadź pana do mnie — przerwał Paweł rozkazem chłopakowi. — Jeżeli znajdziesz coś odpowiedniego, to cię zaprowadzę do hrabiny i rządzcy dóbr i może się coś ułoży.

— Ależ mój drogi! — odrzekł Baltazar — ty nie wiesz, że ja hrabinę Horczak nietylko, że znam, lecz czczę ją i kocham jak dobrodziejkę moich rodziców i moję. Rodzice moi mieli skromną posadę w jej dobrach na Ukrainie. Jej i nieboszczyka hrabiego kosztem ja i mój starszy brat przeszliśmy gimnazyum. Potem otrzymaliśmy wielki spadek pod Lwowem, lecz wierz mi, ze łzami żegnaliśmy i nieboszczyka hrabiego i tę waszą dzisiejszą dobrodziejkę... wszak nie mylę się, że tak ją nazywacie?

— Słuchaj, Baltazarze! — odrzekł Paweł z widocznem rozrzewnieniem na twarzy — jedno ci tylko powiem, iż lud wiejski zaniechał dawać jej tytuł hrabiny, a zwie ją matką swoją.

— To przecież inaczej być nie mogło — odparł Baltazar, machnąwszy ręką przed sobą. — Czy znajdę tu co dla mnie, czy nie, a ręce jej muszę ucałować. A jakież twoje tu zajęcie? — zapytał Pawła.

— Przeszedłem, jak wiesz, kursa handlowe i praktykę w Niemczech, miałem rozmaite posady, potem, ożeniwszy się, szukałem spokoju, więc wziąłem tu miejsce marszałka domu

*) Jar w narzeczu górskiem oznacza tamę, przy której zbierają spławiane rzeką drzewo.

— przyjdźże więc do mnie, zaprowadzę cię do hrabiny, a tymczasem do widzenia, kochany kolego...

— Bądź zdrów! przyjdę niebawem!

— W godzinę potem Baltazar Bomiński ubrany odświętnie znalazł się w mieszkaniu dawnego kolegi.

— No, widzisz! wcale mi się szczęści! — rzekł do kolegi — już niemal wszystko skończone. Gdy przeprowadzę kanał, jak myślę, będę miał potrzebną siłę wody, kanał zasię pójdzie brzegowiskiem żwirowem bez użytku, które mi właściciel — jakiś Kasprzak — sprzedaje z gorącem podziękowaniem.

— Tylko przy końcu, kanał przecina parę morgów dworskiego gruntu, które wierzę, że mi hrabina ustąpi.

— Więc, nie tracąc czasu, chodźmy szukać rządzcy...

Okazało się, iż wyjechał, więc Baltazar wprost udał się do hrabiny. Na tym dworze nie było zbytecznych formalności, chwila była stosowna, zatem Baltazar z marszałkiem poszli do zamku.

Zamek kruski była to wielka budowa, powstała w trzech różnych epokach. Najbliższa gościńca, wschodnia jej część sięgała początków XVI wieku. Był to niewielki zameczek o jednej baszcie rozsiadłej u dołu, wysmukłej u góry, trochę tylko wyższej nad górne drugie piętro. Mury tej baszty łączyły się ściśle z murami głównej budowy, otoczonej szkarpami i ongiś zapewne sklepionej na każdym piętrze. Wązkie a wężem wijące się schódki ciosowe wiodły ku szczytom baszty. Był to zameczek obronny wedle świadectw kronikarskich, umieszczone na wieży szmigownice panowały doskonale nad trzema dolinami, które się tam schodziły. Ze strachem po cichu szeptano sobie wieści, że pod tą wieżą głęboko były lochy ciemne, że ktoś tam kiedyś znalazł w nich i czaszki i piszczele z żelaznemi okowy na nich — lecz kto i kiedy to widział, nie można się było tego dopytać... Kończono zwykle opowieści, że teraz to już stracone, bo zamurowane i ślad tego zginął. Od baszty tej szedł niegdyś mur w około dziedzińca, wysoki, warowny; jeszcze kawałek jego pozostawiono przy baszcie w formie jakiejś szkarpy bez żadnego celu, a chyba tylko na pamiątkę. W innych trzech kątach dziedzińca były ongiś wieże, z których do dziś jedna tylko pozostała w zachodnio-północnym kierunku. Była w niej kaplica, a nad nią mieścił się zegar, odwieczny staruszek, trochę dziwak, mający za byle co, tak słońce, jakoteż i kompas umieszczony na przyległej ścianie.

Do opisanej powyżej najstarszej części zamku, przybudowano w końcu XVI wieku, na linii południowej warownego muru, obszerną również na dwóch piętrach budowę a o trzynastu wielkich oknach zwróconych ku cienistemu ogrodowi. Od strony dziedzińca upiększono ją stylowym szeregiem arkad opartych na dole na pilastrach, a na górze zasię na wysmukłych ciosowych kolumienkach, od których żebra, podnosząc się w górę pokryły chodnik szeregiem pięknych krzyżowych sklepieni. Oddrzwia choć proste, lecz kamienne, rzeźbione, świadczyły miarą i pięknością linii o swem pochodzeniu z epoki odrodzenia.

W siedemnastym wieku dodano trzecią część, skrzydło pod kątem na linii zachodniej dawnego muru, a w kierunku stojącej na północ samotnej starej baszty. Wówczas to zrobiono w niej kaplicę upiększoną pilastrami, których kapitele wykonane rzeźbą w kamieniu unoszą na sobie wyniosłe krzyżowe sklepienie. Przedłużono nadto galerye poprzedniej budowy, aż po kaplicę, w załamie skrzydeł i przy kaplicy urządzono z arkad dwa małe, wystające na zewnątrz pawilony i tak się utworzył wcale ładny krużganek — na pierwszy rzut oka od początku do końca tejże epoki, przypominający bardzo wnętrze wielu pałaców i klasztorów włoskich. Wówczas to dla symetryi dodano od strony ogrodu duże wieże... i ot, chociaż ta budowa była zlepkiem tylu i tak różnie powstałych części, to jednak szczęśliwym trafem tak się to udatnie na całość złożyło, że było to i niezwykłe i piękne i pociągające ku sobie a, co najważniejsze, nie brakło mu, szczególnie w półcieniach zmroku, lub w srebrnych promieniach księżyca, tej powagi starca, który dużo widział, dużo przewalczył, przed którego głową osiwiałą na burzach żywota mimowoli się pochyla głowa młodzika.

Jak dębu stuletniego ozdobą jemioła i zielony mech, tak starych zamczysk urokiem są dziwne legendy o strachach i przeszłych w nich dziejach. Nie brakło ich w zamku kruskim. Powiadano, iż w owym starym zameczku spadł jakiejś pani pod nogi zakrwawiony nóż... ot tak wprost z powietrza... W przestrachu uciekła z pokoju, a gdy, ochłonąwszy, wróciła z drugimi na to miejsce, już noża nie było ani śladu... Komuś tam znowu na krużganku, przy owych kamiennych wijących się schodkach pokazał się jakiś duch, ale tak potworny, że ten ze strachu padł bez zmysłów, a nigdy i nikomu nie chciał wyjawić, co on tam widział. Dużo ludzi zaręczało, że na chodniku przed basztą widziało z daleka w nocy kogoś chodzącego, słychać było nawet westchnienia ciężkie, lecz, jeśli kto się odważył zbliżyć, mara znikała. Na kamiennej poręczy krużganku pokazywano dwa dołki wyżłobione łokciami jakiejś nieszczęsnej branki, trzymanej na tym zamku.

Zapewne osładzała sobie dotkliwy los widokiem ślicznego krajobrazu na przeciwległe bliziutkie, nie nader wysokie, lecz pięknym lasem porośnięte góry. Było też podanie o jakiejś kryjówce, zapewne ze skarbami, ale ostatni, który o niej wiedział, był to miejscowy proboszcz, zmarły przed laty 30 — przed śmiercią wołał kapelana zamku, chcąc mu tajemnicę powierzyć, lecz ten, nim nadszedł proboszcz, stracił przytomność i już jej nie odzyskał. — Dlaczego tajemnica ta była u proboszcza, a nie u dziedzica? Dlaczego proboszcz wprzód jej nie zwierzył?... tego nikt nie wiedział i nie wie do dziś. Legenda musi być przecie tajemniczą — bez tego utraci urok... A kto się prawdy dowiedzieć chce, niech ma cierpliwość, aż się spotka z księdzem proboszczem na tamtym świecie.

W takim to zamku mieszkała hrabina Horczak, podeszłych już lat, a przy staruszce bawiły zwykle latem jej cztery wnuczki, dzieci jej syna ukochanego, a który z żoną stale zamieszkiwał swe dobra na Ukrainie. Prowadziła życie w wielkiem zamknięciu. Widywano ją zwykle przed wieczorem na krużganku z książką lub częściej z różańcem w ręku, a tak ją całe otoczenie czciło i szanowało, że jak długo trwała jej przechadzka, nikt się nie ośmielił wejść na krużganek, by jej nie mącić spokoju, chociażby przywitaniem. Czasami tylko za kolumnami przemknęła jakaś jasna główka, od sklepień się odbił głosik... to któraś z wnuczek przybiegła do babuni z jakąś tam wieścią i znów utonęła w ciemnej głębi drzwi wychodzących na galeryę. I znowu cisza była na krużgankach, słudzy, gdy musieli tam przejść, to czekali na chwilę, gdy hrabina szła ku stronie przeciwnej i wtedy, co prędzej, przemykali się na palcach. — Ktośby mógł myśleć, że służbę tę trzyma w takich karbach jakaś żelazna ręka postrachem kary, a nawet szturchańca na cztery oczy za najmniejsze przewinienie, a tymczasem to wypływało z ogromnej czci i miłości, jaką otaczali wszyscy tę swoją dobrodziejkę.

IV.

Po kamiennych schodach weszli Baltazar Bominski i marszałek dworu Paweł Bolszewski najpierw do wielkiej sali, z której drzwi wiodły na krużganek w pobliżu kaplicy. — Była to ogromna przez całą szerokość zamku idąca a na dwa piętra wysoka sala, nie nader oświetlona dwoma oknami w głębi a na przodzie drzwiami wychodzącemi na krużganek. Pułap modrzewiowy spoczywał na olbrzymich z tegoż drzewa tramach a setki lat powlokły je piękną brunatną barwą. Pośrodku jednej z bocznych ścian mieścił się komin a takich rozmiarów, że i dwadzieścia berwion można było wygodnie na ognisku rozpalić — Był on prawdziwem dziełem sztuki rzeźbionem w kamieniu w stylu XVII w. Na czterech półkolumnach, upiększonych maskaronami i festonami wypukłej rzeźby, spoczywał fryz tegoż charakteru a nad tem wznosił się przyczołek z dwoma herbowemi tarczami w otoczeniu tłuściutkich aniołków. — Dołem sali, w około ścian, biegł szereg starych z poręczami dębowych ław, pod których siedzeniem były skrzynie. Na nich tu niegdyś sypiała zebrana na naradę okoliczna szlachta, a tobołki miała uprzątnięte w skrzyniach. Górą na bocznych ścianach wisiały stare obrazy ogromnych rozmiarów, miernej wartości artystycznej, ale niezmiernie ciekawych i ważnych pod względem historycznym jako dobrze zachowane, a współczesne królom z dynastyi Wazów.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Skazaniec.

Pamiętam dobrze twarz jego: delikatną, nerwową, twarz dwudziestoletniego suchotnika.

Oczy miał czarne: głębokie a niespokojne. W subtelnych rysach błąkał się wyraz gorzkiej ironii, zatruwającej tę piękną twarz młodzieńczą. Ślady trawiącej go choroby dobrze się ukryły. Nie odgadłbyś jej ani w wysmukłej postaci, ani w gorąco bladej cerze, ani w ustach różowych, zlekka wąsikiem ocienionych, złożonych jak do pocałunku, gdy ich nie krzywiło szyderstwo. Tylko niekiedy, gdy odejmował od warg chustkę, na której pozostały plamki krwi, mgła znużenia powlekała mu twarz, a matka, niedaleko gdzieś się kręcąca, niespokojnem okiem patrzała przed siebie, oczekując odpowiedzi od ludzi czy Boga...

Czasami widywałam go przez okno wili, gdy z książką w ręku przechodził aleją do lasu, zgrabny, wytworny, rzekłbyś uosobienie piękności młodzieńczej. Książkę brał dla pozoru, bo kilkakrotnie spotkałam go w lesie i widziałam, że nie czytał. Na gorącem podłożu suchych igieł, leżał na wznak. Nieruchomy w potokach świateł, słuchał szmerów, brzęków i odgłosów, płynących z osłonecznionej przestrzeni. Leżał tak godzinami. Koniki polne i osy przelatywały mu nad głową; motyle dotykały włosów w locie; mrówki pełzały po rękawie. On nie poruszał się... w sennej ciszy południa. Powieki opadały na pochmurne oczy, a usta rozbiegały się w spokojnym, dziecięcym prawie uśmiechu.

Wtedy był sobą. Znikał rozdźwięk nieprzyjemny pomiędzy tą młodą twarzą a wyrytem na niej przedwczesnem rozgoryczeniem i pogardą. Aż matka, drżąca o niego, wołała: „Janku!“ Wtedy powstawał, z trudnością, przecierał czoło i opuszczał kryjówkę, gdzie mu było tak dobrze, tak dobrze.

Widywałam go też kilkakrotnie w parku, w godzinach popołudniowych, gdy grała muzyka i spacerowały postrojone damy. Prowadził matkę pod rękę; szedł pomiędzy tłumem, zamieniając powitania, składając ukłony paniom. Za nim biegły szepty, oglądano się często... zwracał uwagę... taki młody, taki piękny z tem zachmurzonem czołem... On szedł obojętny. Patrzał wprost przed siebie w zbiegające się dwa rzędy przepysznych starych drzew. Czasem nachylał się troskliwie do matki... przy niej jedynie łagodniał sarkazm jego uśmiechu i oczy jaśniej na świat spoglądały.

Moja krewna, Zosia, spotykając go codzień, zajęła się nim nadobre. Zapalona główka ośmnastoletniej dziewczyny rozfantazyowała się na temat ślicznego skazanego na śmierć w rozkwicie. Kiedyś, gdy szedł do lasu, rzuciła mu różę z balkonu i uciekła. On przystanął, spojrzał w górę niepewnie. Choć nie było nikogo, gwałtownie poruszająca się firanka musiała zdradzić obecność dopiero co spłoszonego kwiatodawcy, bo przez chwilę patrzał ciekawie na balkon. Potem ujął różę, popieścił jej białe listki, powąchał i położył na miejscu. Wracając, jeszcze raz spojrzał w górę, ale odtąd chodził już inną drogą.

* * *

Jednego dnia siedział przed domem w altanie. Jak zwykle, trzymał książkę, lecz patrzał przed siebie. U stóp góry, po drugiej stronie drogi z za olbrzymiego parku strzelały lekkie, wdzięczne linie białych willi. Jasne słońce oblewało góry i drogę, złocąc kwitnące lipy i nadając blaski marmuru budowlom.

Na żwirowanej ścieżce rozległy się kroki... Matka powracała z poczty z gazetą.

— Daj mamo, rzekł, nie odwracając głowy.

Zakłopotała się.

— Janku, mój, Janku, szepnęła błagalnie, synu mój drogi.

On drgnął.

— Co jest w gazecie! Co tam jest! Daj mamo, daj prędzej!

— Janku!... przyrzeknij mi, że się nie zmartwisz...

— Wyrok?..

Skinęła głową. Był wyrok. Cała lista nazwisk drogich, ukochanych... I on byłby z nimi, gdyby nie to...

Matka zapytała trwożnie:

— Nie zaszkodzi ci to wzruszenie, Janku?

Odparł spokojnie:

— Nie jestem wzruszony.

Wtedy dała folgę żalowi. Znała ich wszystkich przecie... Ach, co za nieszczęście! Biedni, biedni skazańcy...

On obojętnie słuchał narzekań. Gdy odeszła, powtórzył:

— Biedni skazańcy!

A on czem jest, jeśli nie skazańcem?

I on też skazany, tylko sto razy gorzej jeszcze. Tam, gdzie jest życie, jest nadzieja, ale gdzie życie ucieka... On, gdy stąd odejdzie, nie powróci już nigdy, nigdy...

Usta mu się wykrzywiły gorzkim uśmiechem egoizmu. Zazdrościł im w tej chwili dziką zwierzęcą zazdrością. Umierać, gdy się jest starym, przygnębionym, wyziębłym — to nic przecież, ale umierać, gdy się prawie nie żyło, gdy się czuje wściekłą żądzę życia... Oh, jest od czego wyć z rozpaczy!

Upał słabnął. Słońce zaczęło opadać za omglające się drzewa parku. Z wstającą rosą płynął zapach lip, róż i rezedy...

Pomału kipiąca w nim złość ustępowała miejsca łagodnemu, cichemu bólowi. Z omroczonej dali wiało na niego tchnieniem smętnem a żałosnem...

— Biedni skazańcy! szepnął cicho.

Odtąd nazywał siebie w myśli: „Skazańcem.“

* * *

— Janku, Janku, wielka nowina! Lili przyjechała! zawołała matka, wchodząc do altany.

Wykrzyknęła to jednym tchem, a potem zatrzymała się i pożałowała słów niebacznych. Wzruszenie może zaszkodzić. Ale Janek jest tak dziwnie obojętny... Gdyby go poruszyć, rozbudzić... Spojrzała niespokojnie na syna.

On zaczerwienił się lekko. Cios był silny... nie zdążył odrazu się opanować. Ręce mu drgnęły i książka osunęła się na kolana.

— Lili? kiedy przyjechała? zapytał wreszcie.

— Wczoraj wieczorem. Widziałam ją dziś rano w parku. Serdecznie witała się ze mną i pytała o ciebie.

Patrzał przed siebie, nieporuszony, jak maska kamienna. Powtarzał w duchu: „Lili! Lili!“ Widział o cztery lata starszą od siebie kuzynkę taką, jak niegdyś, gdy bawili się dziećmi w komórki do najęcia... taką, jaką była w białej sukni, gdy jechała na pierwszy bal... taką, w jakiej się zaczął kochać szalenie, bez pamięci, on, gimnazyasta, gdy ona była już znaną, uwielbianą pięknością...

Dnia tego nie chciał wyjść do parku. Bał się spotkania, w którem stanie oko w oko z nią rozkwitłą, błyszczącą, pełną życia. Troskliwość?... żal?... litość?... Nie, on nie chce współczucia od Lili...

Dojrzał ją jednak przez okno. Taka, jaką była — złota blondyna o palących czarnych oczach i królewskiej postawie — była niezaprzeczenie najpiękniejszą w całej miejscowości. Obok niej postępował młody, utalentowany malarz i niemłody znakomity literat. Zwracali się do niej, ona słuchała z lekkim niedbałym uśmiechem.

Lili! Lili!... Nie domyślała się, że w tej chwili pił każde jej spojrzenie roztargnione, każdy ruch jej sukni... że zazdrościł pyłowi ulicznemu po którym deptała. A przecież nie wyszedłby za żadne skarby świata przed dom. Zwyciężyło go życie. Prezentować swoją słabość wobec niej — nie, stokroć lepiej ciemne ukrycie na zawsze. Palił go w tej chwili najstraszniejszy ze wszystkich bólów: ból wstydu, na który niema ratunku.

* * *

Pomału dnie przechodziły. Pogodził się z losem skazańca i wpadł w bierne osłupienie. Codzień patrzał na gęsty gaik brzozowy za domem. Liczył pożółkłe z upału liście. Myślał wtedy z niezdrową ciekawością, co wpierw nastąpi: śmierć tych liści, czy...

Nie mówiono mu nigdy o śmierci, ale on czuł ją wokoło siebie: w niespokojnych spojrzeniach matki, w uprzejmości sąsiadów, we własnej chorobliwej egzaltacyi. Szum drzew wydawał mu się przedmową do snu wiecznego. Śmierć wyzierała zewsząd, ze wszystkich rzeczy żywych, ponętnych, w których on jeden umiał dostrzedz cień zagłady. Nie myślał o niczem. Tylko zjadliwy uśmiech przyrósł mu do warg różowych, gdy spoglądał na gaj brzozowy, migocący grą światłocienia, na smukłe, szybujące jaskółki, na szeleszczące jedwabiami damy, które go wymijały idąc do parku. Czuł się w własnem pojęciu nieskończenie wyższym od wszelkiej żywej i martwej natury, od głupich ptaków i ludzi zagłębionych po uszy w drobnostkach swej egzystencyi. Ale tak pogardzał wszystkiem, że mu się nawet dumnym być nie chciało.

* * *

Wtedy zobojętnienie doszło do tego, że zgodził się zobaczyć z Lili, która już parę razy odwiedziła jego matkę, a której dotąd nie chciał dopuścić do siebie.

— Odejdź mamo, niech ona sama przyjdzie.

Opleciona wiciami altanka stała cała w różach. Zerwał jedną i powąchał.

Potem spojrzał w górę — na południowe słońce... na złote pszczoły, brzęczące w czystem, szklanem powietrzu, na lipy, trzęsące ostatniem kwieciem. Poniżej zieleniał park, białe wille wyłaniały się do połowy z za niego... Lili stanęła cicho.

— Dlaczego uciekałeś przedemną Janku? Niegrzeczny!

Podała mu rękę. On rękę tę zatrzymał w swojej. Drobna, biała, wypieszczona... Znał ją doskonale... ileż razy chwytał, ba, nawet uderzał ją w zabawach dziecinnych! Nie śmiał tylko nigdy pocałować... bał się zmrużenia oczów i tego jednego chłodnego wyrazu: „dzieciak.“

Stała tuż obok niego, taka piękna w białej sukni. On ją kochał za wszystko: za tę piękność, za dumę wyniosłą, za bezlitośną złośliwość, bogatej, rozpieszczonej jedynaczki... Po rękawie jej pełzła liszka. Zdjął ją delikatnie i ręki nie wypuszczał. Potem zamknął oczy. Umiał ją odtworzyć do najdrobniejszego rysu. Ten obraz pójdzie za nim chyba aż *tam*...

Mocny zapach róż i rezedy, dzwonienie różnogwarne much i komarów odurzało go. Wpadł w półsen, w pół świadome marzenie... Kontury świata zewnętrznego zacierały się w mglistych półobrazach, tkanych z przeczuć tęsknot i rojeń... Wreszcie się ocknął. Spostrzegł stojącą przed nim kuzynkę i puścił jej rękę.

— Przebacz, rzekł, jestem śmieszny. Powinienem był pamiętać, że nie znosisz czułych scen... pewnie się śmiać ze mnie będziesz.

— Ależ Janku, zaprzeczyła, jak możesz tak myśleć o mnie.

— Wiem... wiem... jesteś złośliwa, ale jesteś dobra, anielsko dobra... Lili... Widzisz, jestem dziś wzruszony, śmieszny, ale skazańcowi trzeba wybaczyć.

— Skazańcowi powtórzyła Lili, nie rozumiejąc.

— Tak... Wiesz, stało się coś kapitalnie zabawnego. Jak te róże pachną! Chcesz jedną? Poco? I tak umrą. Niech żyją, póki mogą. Nie zrywaj, kuzynko, kwiatów.

— Janku, co tobie?

— Nic... nic... Czytałaś w gazecie?

— Czytałam... Twoi koledzy...

Moi koledzy..- A ja tu zostałem... Ale oni odcierpią i wrócą, a ja cierpię, odejdę i nie wrócę...

Wielka zielona mucha z brzękiem wpadła do altany. Od ściany do ściany przelatywała w tumanie pyłu słonecznego i wyfrunęła drugą stroną. On ją śledził ciekawie.

Szczęśliwa... zdrowa... Oh, zdrowie to skarb! Zdrowie, życie, szczęście!... Jaki ja dziś śmieszny, nieprawda Lili? Oh, możesz drwić, drwij, ile ci się podoba.

— Janku!

— I ja też drwiłem... potem przestałem. Chciałem się dostroić do sytuacyi.. Coś tam pękło... Dosyć!... Kuzynko, pod powłoką ironii, lub apatyi ile rozpaczliwego buntu tai się w piersi skazańca!

Była cisza. Potem zapytał:

— Czy ten młody malarz, który z tobą chodzi, kocha się w tobie?

Lili zaczerwieniła się lekko i zawahała.

— Tak, szepnęła cichutko.

— A ty w nim?

Otworzył przymrużone podczas ostatnich pytań oczy i patrzał wprost w twarz kuzynki. Ona zwolna powiodła głową przecząco.

— Domyślałem się tego. Zawsze dumna, królewska, niezwyciężona... I dobra... Bo ty dobra jesteś, prawda kuzynko? bardzo dobra?

Janku, jestes chory,.. Czy chcesz, żebym ci co przyniosła? może zawołać mamy?

— Nie, nie, nie potrzeba. Zaczekaj jeszcze chwileczkę. Nie bój się, nie będę cię długo zatrzymywać... Wiem, że ty należysz do swiata, do życia, a ja, — skazaniec..

Ujął jej rękę i płonącym wzrokiem wpatrywał się w wytworną sylwetkę na tle róż...

— Kuzynko, szepnął błagalnie, skazańcowi się nie odmawia... Teraz ostatnie życzenie... bądź dobrą... do końca...

— Czego chcesz Janku?

— Pocałuj mnie,.. raz jeden...

Przymknął oczy, drżąc w oczekiwaniu bolesnem. Ona się zadumała. Wiedziała o jego miłości i wzruszała ramionami: „rozkochany dzieciak.“

Teraz coś drgnęło. Zwolna, zwolna przed jej przywykłemi do światła źrenicami zaczął wykwitać obraz nieubłaganie ponury. I pochyliwszy się miękko, na ustach chłopca złożyła długi pocałunek.

Nad nim szkarłaciały róże, i śpiewały pszczoły, i słońce południowe złociło kwitnące lipy. *Marion.*

Ze smutków Golgoty.

Łzy wylewałeś w Ogrójcu, o Chryste!
Na pierś Twą smutków padły mroczne cienie —
Lecz rosą niebios były łzy Twe czyste,
A smutek ziemi zwiastował zbawienie.

Na krzyżu męki ogłosił On światu
Prawdę, co w duchów ukochaniu gości —
Skonał, boskiego pełen majestatu,
Aby zmartwychwstać w twórczym dniu radości...

I powiał później tchnieniem swej żałoby
Przez pól rozłogi i przez wichrów jęki,
Przez serca ludzkie, przez życie i groby,
Zadumę myśli i przez czar piosenki.

Przez wczesne rano, posępne i mgliste,
Przez wieczór, w nocne chylący się cienie,
I przez młodości żądze wiekuiste,
I przez starości lodowate tchnienie.

A był On prawdy wieczystą tęsknotą,
Co na Ogrójcu lała łzy rzęsiste,
I widząc jutrznię w dali jutrznię złotą,
Z ducha się Twego zrodziła, o Chryste!

A był On w twoim grobowcu ukryty,
I gdy go tchnienie boże ożywiło,
Z objęcia śmierci uleciał w błękity,
Aby z nich zstąpić twórczą ducha siłą.

A. Pilecki.

Początek bardzo zajmującej powieści pod tytułem

„Antysemityzm“

której druk rozpoczęliśmy w dzisiejszym num:rze dostarczymy każdemu nowo przybyłemu abonentowi za nadesłaniem na porto znaczka listowego, dziesięciofenygowego.

Wszystkich tych Czytelników, którzy reklamują u nas zaległe numery „Pracy“, upraszamy o przysłanie na porto znaczka listowego dziesięciofenygowego.

Zwracamy uwagę, że druk numeru kończy się w czwartek, najpóźniej w środę nadesłane muszą być inseraty, które do najbliższego numeru wejść mają.

Numery okazowe wysyłamy na żądanie bezpłatnie.

Czytelnicy! Nie opuszczajcie „Pracy“ w tej ciężkiej godzinie! Dajcie dowód zdwojonej energii i siły! Z wytrwałością rozszerzajcie pismo nasze, przysparzajcie nam nowych czytelników. Mamy tę ufność i wiarę w Was, że z tej burzy co się nad nami rozszalała teraz, wyjdzie „Praca“ zwycięzko i obcym zaimponuje liczbą swych zwolenników!

Prosimy usilnie wyciąć kwit abonamentowy i podać go znajomemu, z gorącą zachętą do przedpłaty. — Niech „Praca“ znajdzie przystęp do każdego domu! Niechby sobie każdy z Czytelników poczytał za obowiązek pozyskania choćby tylko jednego nowego abonenta, a byłoby to najlepszą i najgodniejszą odpowiedzią za nasze cierpienia.

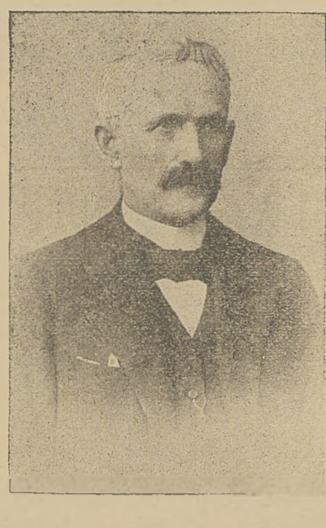
Czytelnicy! Liczymy na Wasze poparcie.



O artykuł

„Mene, Tekel, Fares,“

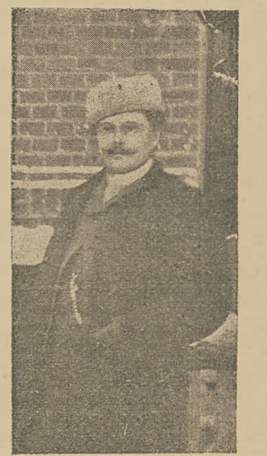
rozegrał się w czwartek przed południem proces przed tutejszą izbą karną. Artykuł ten, zamieszczony w „Pracy“ w czasie jubileuszu 200-letniego istnienia królestwa pruskiego, był niejako rzutem na przeszłość pruskiego państwa, na je-



Redaktor Władysław Siemiątkowski,
skazany na
półtora roku więzienia.

go rozrost i rozwój w ciągu dwóch ostatnich stuleci. Na podstawie sądu różnych dziejopisarzy nie tylko polskich, ale francuskich *i niemieckich,* autor artykułu, p. Vester, ujemnie ocenił środki i sposoby, jakiemi Prusacy posługiwali się w swej zaborczej polityce.

W dociekaniach, które dzisiejszą sprawę poprzedziły, nie zaniechano niczego, aby wykryć autora, zasilającego pismo nasze pod przybranem imieniem „Vestera,“ a powtóre, ażeby ile możności także wydawcę pisma, p. Marcina Biedermanna, pociągnąć do odpowiedzialności sądowej. Tem się tłomaczą skrzętne śledztwa, przesłuchy, konfiskaty i aresztowania, opisane w ostatnich numerach „Pracy“. Ostatecznie jednak uznano za słuszne i sprawiedliwe poprzestać na procesie przeciwko redaktorowi odpowiedzialnemu „Pracy,“ p. *Alfonsowi Kaniewskiemu,* uwięzionemu nagle w końcu miesiąca lutego i przesłuchiwanemu wielokrotnie w celi więziennej w tym celu, ażeby zyskać dowody, że p. M. Biedermann jest duchem kierowniczym, jest tym



Redaktor Alfons Kaniewski,
skazany na
10 miesięcy więzienia.

„złym duchem“. który podszeptuje niedobre rzeczy o dziejach pruskich, o zmarłych monarchach pruskich, o pruskich rządach, pruskiej cywilizacyi i pruskich „dobrodziejstwach“ wyświadczonych Polakom.

Wynikiem wszelkich usiłowań, jako też dzisiajszej rozprawy w izbie karnej, było stwierdzenie faktu, iż p. Alfons Kaniewski, jako redaktor, przyjął odpowiedzialność całą za artykuł „Mene, Tekel, Fares“, oceniwszy jego treść, jako zgodną z dziejowemi faktami.



Redaktor Teofil Bestynski,
od 14 dni w więzieniu śledczem.

Zdawało mu się też właściwem wspomnienie takie z przeszłości w chwili, gdy różne dzienniki, szowinizmem przejęte, w byzantyjski sposób biły czołem przed wielkością zmarłych królów pruskich i w chelpliwem uniesieniu sławiły ich zasługi i czyny bohaterskie.

W toku dzisiajszych rozpraw p. Kaniewski wyłącznie też sobie przypisywał odpowiedzialność za treść artykułu, oświadczając, że sam go przeglądał, sam zmieniał i łagodził ostrzejsze jeszcze, charakteryzujące przeszłość pruską zwroty i sam go też oddał do druku. Oświadczenie to okazało się zgodnem z zeznaniami wydawcy p. Biedermana i współredaktora p. Bolesława Rakowskiego, wezwanych na termin w charakterze świadków.

Prokurator w oskarzeniu swojem szczególny kładł nacisk na to, że wywody autora są „krzywdzącemi dla zmarłych monarchów pruskich jako też dla reputacyi państwa", a nadto, że karygodną jest groźba, zawarta w słowach „Mene, Tekel, Fares", że Rosya tak samo weźmie Prusy za przedmiot swej grabieży, jak Prusy zagarnęły w ciągu dwóch stuleci ostatnich dzierżawy innych narodów." Cała zaś treść artykułu, jest tego rodzaju, że graniczy nieledwie „ze zdradą stanu", a w każdym razie wśród zaostrzonych różnic i przeciwieństw narodowościowych jest w wysokim stopniu zdolna podburzyć ludność polską przeciwko niemieckiej. Takie wygłosiwszy zapatrywanie wniósł prokurator o skazanie obżałowanego *na rok więzienia*.

Obrońca, mecenas *Bernard Chrzanowski*, zaznaczył, że zarzut krzywdy, wyrządzonej monarchom pruskim i państwu przez zamieszczenie artykułu „Mene Tekel, Phares," jest niesłusznym. Ani autor artykułu, p. Vester, ani też p. Kaniewski, jako redaktor, nie zaczerpnęli wywodów, w artykule zawartych, ze swej wyobraźni, nie wypowiedzieli własnych swoich sądów, ale publikowali to, co dawniej już niejednokrotnie o państwie i monarchach pruskich wypowiedzieli znakomici dziejopisarze. Czerpane z źródeł historycznych, badane i wyjaśniane szczegóły dziejowe, przywiodły nietylko polskich i francuzkich, *ale nawet wielu niemieckich dziejoznawców do tych samych poglądów, które zawiera inkryminowany artykuł.* — Jeźli zaś trybunał karny mimo to nie zechce uznać niewinności podsądnego za powtórzenie *nie nowych i nie przez niego uwidzianych zapatrywań,* to niechby przynajmniej uwzględnił fakt, że artykuł, w nieco ostrą przybrany formę, przechodził przez ręce p. Kaniewskiego do druku właśnie w czasie, gdy troska, spowodowana chorobą w domu, odrywała go od ściślejszego przeglądania prac dostarczanych redakcyi.

Obrona p. mec. Chrzanowskiego, pełna treści, a spokojna i logiczna w swych wnioskach, sprawiła niestety tylko to, że trybunał po całogodzinnej naradzie ograniczył się w wymiarze kary do *dziesięciu miesięcy więzienia,* policzając w to miesiąc aresztu śledczego.

Tak więc nowy cios spotkał wydawnictwo nasze za wspomnienie z przeszłości, spisane zwięźle pod tytułem „Mane, Tekel, Fares." *„Praca."*

Wiadomości.

Baczność! Zwracamy szanownym abonentom uwagę, że choćby kiedykolwiek jeszcze prokuratorya miała ochotę skonfiskować nasze numery, to czytelnicy na tem nic nie stracą, ponieważ sprowadzamy maszynę rotacyjną drukarską, mocą której będziemy w możności w ciągu kilku godzin wydrukować nowy numer w miejsce skonfiskowanego. Przerw żadnych zatem już nadal nie będzie! Pomimo więc możliwej konfiskaty — otrzyma odtąd każdy z czytelników swój numer regularnie.

Do Galicyi i Austro-Węgier.

Abonament „Pracy" na tamtejszych pocztach wynosi kwartalnie
1 kor. 73 hal.
Abonament „Czytelni Polskiej" na tamtejszych pocztach wynosi kwartalnie
97 hal.
Administracya i Ekspedycya „Pracy".

Agentura „Pracy i Czytelni Polskiej na Zabrze i okolicę na Górnym Śląsku znajduje się nie u p. Aleksandra, lecz u p. *Michała Blachuta w Dorocie p. Zabrze, ulica Polna 6.*

Agenturę „Pracy" i „Czytelni Polskiej na *Królewską Hutę* i okolicę otworzyliśmy w księgarni p. J. Mateja w Król. Hucie przy ulicy Puddlera 30.

Tam można otrzymać także numery okazowe.

Szanownym Czytelnikom donosimy uprzejmie, iż Agentura „Pracy" i „Czytelni Polskiej w *Rożdzieniu* na Górnym Śląsku znajduje się u p. *Franciszka Richtera w domu p. Walitza naprzeciw kościoła farnego.*

W Janowie przy Mysłowicach na Górnym Śląsku otworzyliśmy agenturę na „Pracę" i „Czytelnią Polską" u p. *A Spiera w Janowie.*

Agenturę „Pracy" i „Czytelni Polskiej" otworzyliśmy u p. *Michała Gromma w Godulahütte p. Morgenroth* na Górnym Slązku. Tamże można otrzymać numery na okaz.

— **Jubileusz kapłaństwa.** W dniu 25 marca, w uroczystość Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny obchodzili dwudziestopięcioletni jubileusz kapłaństwa w Poznańskiem, X. Józef Krótki, pleban w Górce Duchowej i X. Edmund Gryglewicz, pleban w Ślesinie, wyświęceni w Pradze w r. 1876 przez ś. p. X. Biskupa Pruhę. Razem z nimi wyświęcony ś. p. X. Alfons Heintze, umarł w Lubiance 11 lipca 1890 r. Jubilaci należą do tych kapłanów, którzy jako ostatni przed walką kulturną przebywali w seminaryum duchownem w Poznaniu, zamkniętem przez rząd pruski w sierpniu r. 1873. Jak wiadomo, najniższy kurs kleryków i nowo występujący wysłani zostali na dalsze studya do Insbruku i tamże je ukończyli. Prócz wyżej wymienionych kapłanów tylko jeszcze X. Gidaszewski, dziekan w Mroczy i X. Podlewski, dziekan w Wilkowyi, wyświęceni w lipcu r. 1876 i X. dr. Gieburowski w Sulmierzycach, wyświęcony w Rzymie r. 1879, rozpoczęli swe studya w dawniejszem seminaryum poznańskiem. Czcigodnym i zasłużonym na niwie pracy Bożej Jubilatom serdeczne szczęść Boże — ad multos annos. Ku dobru ogólnemu i narodu chwale, niech Wam Czcigodni Kapłani i wielce zasłużoni Patryoci, Bóg dożyć dozwoli jubileuszu brylantowego.

Cześć błogiej działalności!
Cześć zasłudze! „Praca".

— **Na odbudowanie** wieży na Jasnej Górze złożyli w dalszym ciągu: pp. T. M. W. z Poznania 4 mk., X. X. z Poznania 6 m., kandydaci III-go i II-go roku C. K. seminaryum nauczycielskiego w Samborze w Galicyi 5 kr. 30 hal., czyli po zamianie 5 m. 37 fen. Dotąd zebraliśmy na cel powyższy 434 mk. 39 fen. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

— **Na chleb** św. Antoniego złożył w dalszym ciągu: p. T. Kujawa z Blumenthal 3 mk. Razem na ten cel zebraliśmy 8,35 mk. Dalsze składki przyjmujemy chętnie.

— **W tutejszej** szkole budowniczej złożyło egzamin dojrzałości pomiędzy 22 kandydatami 3 naszych rodaków i to pp. Globisz z pod Bytomia, K. Mroczkiewicz z Lwówka i T. Posieczek z Poznania.

Z nadesłanego nam XVI. sprawozdania Zarządu głównego krakowskiego Towarzystwa Oświaty Ludowej na rok 1900 wyjmujemy następujące szczegóły: Towarzystwo założyło od roku 1882—1900 806 czytelni w 58 powiatach i mieście Krakowie. — Z założonych upadło do końca grudnia 1900—76 czytelni, pozostało zatem 730. — W roku bieżącym założono 5 nowych czytelń, tak iż obecnie jest 735 czytelń, a to na Slązku austryackim 2, w Galicyi zachodniej 648, w Galicyi wschodniej 85. W przeciągu oznaczonego czasu rozszerzyło Towarzystwo 117,410 książek wartości 116,403 koron.

Dochód funduszu obrotowego Towarzystwa wyniósł w roku 1900 ogółem 11, 707 kor. 76 hal., rozchód 11,724 kor. 59 hal., pozostałość kasowa na rok 1901 43 kor. 17 hal. Fundusz zapasowy wynosi 17,000 koron.

Przy końcu roku ubiegłego liczyło Towarzystwo 967 członków płacących składki i 700 uwolnionych od składek (kierowników Czytelni) tj. razem 1667 członków. Protektorem Towarzystwa jest

J. E. Książe Biskup Krakowski Jan Kniaź z Kozielska Puzyna. Przewodniczącym Ks. kanonik Dr. Stan. Spis, prof. Uniw. Jag., przewodniczącym komisyi kontrolującej p. Henryk Müldner. Członkami honorowymi Ks. Dr. Józef Palczar, Biskup przemyski i Henryk Sienkiewicz.

Na odbytem zebraniu walnem mianowano członkiem honorowym także p. Józefa Chociszewskiego z Gniezna.

— **W sprawie ceł zbożowych** doszło nas już sporo listów po większej części **za cłami**, a w mniejszej tylko części przeciwko cłom. Niektóre z tych listów są bardzo ciekawe i pouczające, to też takowe w innym czasie wydrukujemy. Ponieważ na razie jednakże leży u nas wielka moc naszych korespondencyi, które już o wiele prędzej nadeszły, przeto możemy te listy za cłami i przeciwko cłom zbożowym dopiero na początku nowego kwartału zamieścić. Wtenczas też dopiero będziemy obszernie pisali o cłach zbożowych.

— **„Przewodnika zdrowia“** Nr. 3 (na marzec) Czarnowski, Berlin, Karlstrasse 32) wyszedł i zawiera: Zachowanie zdrowia nerwów (małżeństwo w stosunku do zdrowia). Wedle prof. Krafft-Ebinga. — Hygiena piękności. — Zapusty a zdrowie, — W sprawie źródłosłowowej czystości języka wyznanie nasze. — Odpowiedzi w sprawie zdrowia.

Panowie Graczyński i Szkudelski, artyści-malarze, uczniowie szkoły krakowskiej, polecają swą pracownią artystyczną w Poznaniu przy ulicy Piotra nr. 3. Wielebnemu Duchowieństwu do renowacyi kościołów w najwybitniejszym kierunku malarstwa artystycznego. Na odnośne cyrkularze, rozsyłane do Wielebnego Duchowieństwa i Szanownych Dozorów kościelnych, a wykonane pięknie w drukarni „Pracy“, zwracamy baczną uwagę interesowanym.

— **Na pracownię** eleganckiej garderoby męskiej Ludwika Miklaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej, nr. 27 (obok Banku Związku Spółek zarobkowych) zwracamy baczną uwagę czytelnikom naszym i polecamy to przedsiębiorstwo naszego rodaka ich łaskawym względom.

— **Kto chce** nabyć eleganckie i tanie obuwie własnego wyrobu, niech się uda do składu S. Lisiewicza w Poznaniu, przy ulicy Berlińskiej nr. 13, a otrzyma dobry, trwały towar za cenę rzetelną.

— **Zwracamy** uwagę na ogłoszenie p. Mellina i dodajemy, że p. Mellin, zamieszkały w Poznaniu przy W. Garb. 14 opracował książkę t. zw. **listowej buchalteryi**, za pomocą której każdy pomocnik handlowy rzemieślnik i urzędnik na buchaltera i korespondenta wydoskonalić się jest w stanie. Prospekta rozsyła p. M. gratis. **Nowy kurs** rozpoczyna p. M. u siebie **10 kwietnia** r. b. a ponieważ nauka **gruntowa** nieomal całemi dniami udzielaną będzie, dlatego można u p. M. w krótkim czasie kurs bardzo korzystnie ukończyć. Dla panien kursa osobno.

— **Zwracamy** uwagę niniejszem na ogłoszenie firmy „J. Fischbach“ przy ulicy Wrocławskiej, polecającej krawaty, rękawiczki, kapelusze, bieliznę męską itp. Firma ta zasługuje pod każdym względem na poparcie.

— **„Zagłoba“**, znakomity likier, oraz wszelkie inne wyroby ze słynnej fabryki B. Kasprowicza w Gnieźnie, polecamy względom szanownych czytelników.

— **Ażeby „święcone“** dobrze strawić, winien się każdy z czytelników zaopatrzyć w wyśmienite nalelewki i t. p. wyroby z renomowanej fabryki likierów i wódek zdrowotnych firmy Marczyński i Klòskowski w Poznaniu, przy ulicy Berlińskiej nr. 15.

— **Jubileuszówkę** i inne wyborne deserowe wódki poleca zaszczytnie znana fabryka likierów A. Szmytkowskiego w Pniewach (Pinne Pr. Posen). Dzielny ten i ruchliwy przemysłowiec zasługuje ze wszech miar na poparcie. Dobrą sposobność nastręczają zbliżające się święta wielkanocne.

Pana Feliksa Nowackiego, mistrza mnrarskiego na św. Łazarzu przy ul. Granicznej nr. 2 zamieszkałego, polecamy łaskawym względom Szanownej Publiczności. Z różnych druków i formularzy i t. d. w fach jego wchodzących, gustownie wykonanych w drukarni „Pracy“, przekonujemy się, że pan Nowacki cieszy się liczną klientelą i zatrudnia wielu ludzi w swem przedsiębiorstwie.

Zwracamy uwagę na ogłoszenie słynnej fabryki likierów i wódek zdrowotnych, p. B. Kasprowicza w Gnieźnie. Wyśmienite wyroby tej fabryki zyskały głośne imię nie tylko we wszystkich krajach europejskich, ale także za dalekiemi morzami i uwieńczone zostały pierwszorzędnemi medalami na wielu wystawach krajowych i zagranicznych.

— **Krotoszyn.** Dnia 15. bm. odbył się w tutejszem gimnazyum egzamin abituryencki, do którego zgłosiło się 19. kandydatów. Wszyscy uzyskali świadectwo dojrzałości, pomiędzy nimi 12 Polaków: pp. Antoszkiewicz Zygmunt, Czujewicz Jan, Hautke Jan, Hempowicz Franciszek, Kokociński Hilary, Pieprzycki Konstanty, Spychałowicz Wojciech, Spychałowicz Antoni, Stark Tadeusz, Szukalski Franciszek, Tylewicz Stanisław, Wróblewski Władysław. Od ustnego egzaminu uwolniono pp. Czujewicza, Spychałowiczów Wojciecha i Antoniego, Starka, Szukalskiego, Tylewicza, Wróblewskiego.

— **Wrocław.** Rodak nasz p. Stefan Emanuel Tworz z Załęża pod Katowicami, na Górnym Sląsku, złożył chlubnie państwowy egzamin lekarski.

Zmarli.

— **S. p. Zygmunt Niegolewski**, ordynat na Niegolewie pod Bukiem, zakończył żywot z 24 na 25 bm., przeżywszy lat 75. Zmarły był synem pułkownika Niegolewskiego, a bratem śp. dr. Niegolewskiego, znanego posła do sejmu i parlamentu. Dr. Niegolewski, okulista w Poznaniu, który jest przewodniczącym Samopomocy i oddaje się tej sprawie z wielką energią, jest synem Zmarłego.

Eksportacya ciała śp. Zygmunta Niegolewskiego z kaplicy w Niegolewie do kościoła w Buku odbyła się w środę o godz. 4 tej z południa, pogrzeb w czwartek o godz. 11 przed południem.

Wieczny spokój Jego duszy!

— **Kraków**, 25-go marca. Ciężkim ciosem dotknął Bóg znowu p. Władysława Hahna, radzcę sprawiedliwości i notaryusza z Wągrówca. Dnia 11-go lutego rb. pochował ukochaną córkę Izę, zamężną za notaryusem Mierzejewskim z Mysłowic, w 3 tygodnie później wnuczkę, najmłodsze dziecię zmarłej córki Izy, a dziś oto oddajemy ostatnią posługę żonie jego Ludwice z Kuglerów Hahnowej. Zmarła przybywszy do Krakowa, zachorowała w domu zięcia dr. Piętki na tyfus. Trzy miesiące walczyła ze śmiercią i zdawało się, że podniesie się z łoża boleści, gdy atak paraliżu zakończył jej życie. Liczne objawy współczucia tak z Księstwa, jak z Galicyi, choć słabą ulgę zdołają przynieść zbolałej rodzinie. Zmarła pozostawia po sobie pamięć zacnej kobiety i opiekunki biednych w Wągrówcu. Cześć jej pamięci!

Od Redakcyi.

— **Wszystkim tym Czytelnikom, którzy nam nadesłali brakujące zeszyty „Pracy“ z bieżącego kwartału, dziękujemy serdecznie.**

Panu Krzekotowskiemu. Przeczytaliśmy uważnie i przyznajemy słuszność, ale są to zbyt drażliwe sprawy, aby je publikować.

Licznym abonentom, których korespodencye nie zostały jeszcze ogłoszone donosimy, że z powodu częstych rewizyi i aresztowań nie mogliśmy trzymać się zwykłego porządku. Korespondencye te przyjdą do druku. Nadto dla uspokojenia autorów dodajemy, że mamy zwyczaj po otrzymaniu korespondencyi niezwłocznie dawać ją do przepisania, a oryginalne listy niszczymy, tak-iż w żadnym razie policya przy rewizyach — oryginalnych listów naszych czytelników nie powącha nawet.

Czytelniczkom „Pracy“ serdeczne dzięki za życzenia. Popierajcie Panie „Pracę“ wśród rodzin polskich, pamiętajcie, że Bismarck już o was mówił jako o najsilniejszym wrogu przemocy krzyżackiej.

Panu St. M. z Wolsztyna. Nie!

Panu S. G. z Głuchowia p. Wróblewo. Podług prawa z dnia 3-go Czerwca 1900 r. nie potrzeba rewidować mięsa z zwierząt, które ma być zużyte w własnej rodzinie, jeżeli zwierzę to np. świnia ani przed ani po zabiciu nie okazuje żadnej choroby.

Panu Julianowi P. w Gnieźnie. „Gazeta rzemieślnicza w Warszawie.“ Zaabonować ją Pan może za pośrednictwem księgarni J. Leitgebra w Poznaniu.

Panu F. Pankiewiczowi — Myślnice. Powieść „Krwawe Ofiary“ wyjdzie dopiero w formacie książkowym za kilka tygodni.

Panu Bolesławowi Lewalskiemu — Ostrowite. Numery początkowe „Pracy“ z rb. wyczerpane. Pod opaską kosztuje „Praca“ kwartalnie 1,90 mk,

Panu Władysławowi Łukowskiemu — Koronowo. Za kilka tygodni ogłosimy.

Pani T. Mellinowej — Kuczwały, Pr. Zach. Powieść ukończyliśmy w Nr. 12.

Czytelnia Ludowa — Cieszyn. „Pracę“ będziemy wysełać do końca br.

Panu K. B. w Brodnicy. Zawiadowca konkursu może pomocnikowi wypowiedzieć miejsce, stosując się do przepisu § 22 ordynacyi konkursowej. Wypowiedzenie winno nastąpić przynajmniej 6 tygodni przed kwartałem n. p. 15-go marca (w razie natychmiastowego zwolnienia winna masa konkursowa zapłacić odszkodowanie.)

Panu Julianowi D. w Inowrocławiu. Przyślij Pan inserat, a umieścimy bezpłatnie.

I. K. w Berlinie. Prosimy o dalsze korespondencye, ale tylko o same fakta. Zaczepieni umiemy się bronić, ale z zasady nie zaczepiamy nikogo.

P. W. Jarosz Emanuelssegen. Nr. 3 „Pracy“ z r. 1900 wyczerpany.

P. Ludwik Gola Sambor. Numer ten skonfiskowany. Nie mamy ani jednego egzemplarza.

P. St. Raczkowski Czarnków. Prosimy się udać w tej sprawie do księgarni Cybulskiego w Poznaniu, św. Marcin.

Panu Telesforowi An. w P. — W tej sprawie informacyi nie możemy udzielić. Anons chętnie zamieścimy, jeżeli Pan nadeślesz 1,50 mrk. z tekstem anonsu.

N. N. 100 Żerków. — Naturalnie; spisek ten odkrył nieodżałowanej pamięci Władysław Niegolewski.

S. D. Kruświca. — Tym numerem (9-ym) służyć nie możemy, gdyż, jak wiadomo, cały nakład skonfiskowany.

P. A. Górska w Kórniku. — Prosimy się udać w tej sprawie do księgarni Leitgebra w Poznaniu, ul. Wilhelmowska.

P. K. Rzendkowski — Tuchola. — Rocznik I „Czytelni Polskiej“ wyczerpany. Numery „Czytelni Polskiej“ z bieżącego kwartału zarezerwujemy.

P. Fr. Mówiński, Skarlin. — P. J. Niewczyk w Poznaniu, ul. Wilhelmowska.

P. E. Niemczewski — Inowrocław. — Polecamy Księgarnią Katolicką w Poznaniu, Stary Rynek, która ma obrazy takie na składzie.

P. St. Podgórski — Kobylin. — Kart korespondencyjnych z widokami nie mamy, udaj się Pan do firmy Antoni Rose lub „Atlas“ Kostrzewski w Poznaniu.

Panu I. Sch. w Sauermühle. Patrz powyższą odpowiedź.

Panu St. Szum. w Nowemmieście (Pr. Zach). Z powodu rewizyi, konfiskat i t. d. na razie rękopisu odszukać nie możemy.

Panu B. Wilk. w Gelzenkirchen. — Święto św. Stanisława (8 go Maja) obchodzone jest uroczyście w dyecezyi poznańskiej i odkładane na niedzielę być nie może.

Panu Stefanowi G. (na liście miejscowość opuszczona). „Hołd pruski“ Matejki wystawiony był przed 10-ciu laty w Poznaniu; ukończył go Matejko w r. 1883.

Panu Janowi Henke we Wrześni. — Nr. 6 „Pracy“ zupełnie wyczerpany.

Panu Dr. J. M. w Mur. Goślinie. — Zadośćuczynić nie możemy, gdyż otrzymujemy manuskrypt z tygodnia na tydzień.

Panu B. w Lubostroniu. — Nr. 52 wyczerpany.

Panu E. Tom. w Rydułtowach. — Dziękujemy. Oddaliśmy komu należy.

Panu J. Kl. w Krotoszynie. — Prosimy o łaskawe doniesienie, do kogo tak powiedział ów urzędnik, a stawimy wniosek o ukaranie urzędnika, gdybyśmy bowiem nie udowodnili mu tego świadkiem, ukarano by nas za obrazę.

Pan Kasierski. — List otrzymaliśmy. Prosimy „Pracę“ popierać i mianowicie z tych okazowych numerów rozesłać po kilka znajomym.

F. P. we Lwowie. — Nowelka pod godłem „Errare humanun est“ zaginęła z powodu rewizyi.

Pan Prekowski. — Piszcie na chorągwi tylko polski napis, a nie — to każcie oddać sobie pieniądze. Do sześciu miesięcy zwrot daru prawem zmusić można.

Pan Świątkiewicz i towarzysze, oraz pp. Wawrz. Łom., Grajew. Marc. Dol. i inni. — Redakcya dziękuje za dowody uznania i zaufania. W polemikę z temi pismami nie będziemy się wdawać — więc niech panowie wybaczą, że listów nie ogłaszamy, tembardziej, że ogłoszenie ich z podpisami mogłoby panów narazić na nieprzyjemności. Pozdrowienia!

Gryfijczyk. — Umieszciliśmy z przyjemnością. Prosimy o podanie adresu, gdziebyśmy mogli przesłać paczkę numerów w celu rozdania.

Pan Ruciński. — Nie nadaje się.

Pan Blachut. — Bardzo dobre. Umieścimy. Prosimy o dalsze listy.

Pan Łęgowski. — Umieścimy tylko w formie płatnego anonsu. Ceny są u Pana przecież dość wysokie, a całe przedsiębiorstwo niema innego charakteru, jak zarobkowy.

!! — Poczta zwróciła nam jako niedoręczalne listy do następujących towarzystw polskich: *w Obermarxloch, w Blankenhorst i w Delmenhorst.* Prosimy zatem czytelników o podanie nam dokładnych adresów tych towarzystw.

Pan Fr. Mocek. — Dziękujemy za nadesłanie wycinka, ale gdybyśmy chcieli umieszczać wszystko, co Niemcy piszą o nas, nie starczyłoby nam czasu i miejsca do rozpatrzenia położenia naszego społeczeństwa ze stanowiska polskiego. Dlatego nie umieściliśmy. Prosimy, aby to nie zrażało Pana i dawną Jego życzliwość nam zachowało.

Pan Lewandow. w Bremie. — O te wiersze prosimy, nie przyrzekając z góry, czy wydrukujemy *Kolec nadnotecki.* Nasza wina. To była pomyłka. Przepraszamy.

Berlin. — Nie możemy odpowiadać na każdą zaczepkę, bo pismo nasze wydajemy dla czytelników, a nie dla innych redakcyi. Nieudanie wiecu w Zabrzu powinni sobie przypisać ci, co ze zbyt wielkim hałasem do niego przystąpili, a nie przygotowali dostatecznie terenu. Korespondencye przyjdą do druku. O tych słowach kardynała Koppa, który jeszcze w r. 1894 umiał przemawiać po polsku, napiszemy. Pozdrowienia!

F. Ant. Zakrz. — Biała, Galicya. — Numery „Czytelni Polskiej“ z nowelami Sienkiewicza już wyczerpane.

N. B. 110. — Podług § 162 części I tyt. 8 powsz. pr. kraj., który przepis prawny jeszcze jest obowięzujący, jest właściciel w mieście płot lub mur odgraniczający go od sąsiada po prawej stronie od wchodu z ulicy obowiązany wystawić — jeżeli płotu tam jeszcze nie było. Zresztą każdy właściciel może na grnncie swoim płoty lub mury stawiać.

Humorystyka.

Cesarz Fryderyk Rudobrody.

(Bajka.)

(Aus der Post-Uebersetzungsstelle).

W mrocznych głębinach *Kyfhäuseru*
Nie mąconych żadną wrzawą,
Na kamiennym wielkim tronie,
Przy pochodni lśniącej mdławo,

. . . .

Z czerstwem i rumianem licem
Wciąż jednako duchem młody,

. . . .

Losy Niemiec trzyma w garści
Cesarz Fryderyk Rudobrody.

. . . .

Tydzień temu Barbarosa
Siedział wesół w swej siedzibie,
Aż tu nagle ajent wpada
Z wieścią: „Wróg na Niemcy dybie!“
Barbarosa dobył miecza..
„Zaraz mi tu złóż dowody“
I zachmurzył groźnie czoło
Cesarz Fryderyk Rudobrody.
Za ajentem wóz się toczy
Najzwyklejszy wóz pocztowy,
Ale — straszna rzecz!!! — listami
Napełniony do połowy:
— Zagrożoną jest na ziemi
Chwała Prus i panowanie,
Są to listy... ale na nich
Polskie są adresy... panie!
Tu się cesarz wziął za boki
I zębami z śmiechu zgrzytał,
I tak śmiał się, śmiał bez końca
Jakby numer „Pracy“ czytał:
„Za fałszywy alarm — w marki —
Niech po śmierci hakatyści
Zmienią się — ich fizyognomie,
Stemplujcie najoczywiściej,
Bym, gdy się tu który zjawi,
Mógł bez dalszych go zachodów
Tym rycerzom moim wiernym
Kazać zrzucić wprost ze schodów.
I mruknąwszy oburzony:
„A to pomysł lichej wody“,
Poszedł sobie — na pilznerka
Cesarz Fryderyk Rudobrody.

M.

Taktyka panieńska.

Mówiła córce matka:
„O, dziś na świecie źle!
Mężczyznom zdrada — gratka,
Więc każdy zdradzi cię.
Proszę cię, bądź ostrożna!
Gdy chłopiec zbliży się,
Poprosi — mów: nie można!
Na wszystko powiedz: nie!“

Posłuszną córka była
Przestrogom matki swej.
Gdy pora się zdarzyła,
Stał chłopiec obok niej.
Wyznaje miłość do niej:
Ją tylko kochać chce.
„Czy pani mi nie wzbroni?“
Ona powiada: nie!

Rumieniec ją oblewa,
Gdy rączkę ścisnąć chce.
„Pani się nie rozgniewa?“
Ona powiada: nie!

Tyś piękną, jak kwiat róży
Całować chciałbym cię.
„Pani się nie oburzy?“
Ona powiada: nie!

Twój widok tak ponętny,
Swoją cię nazwać chcę.
„Nie jestem pani wstrętny?“
Ona powiada: nie!

Zdrad się nie obawiała,
Gdy rączki ściskał jej,
A — jednak dotrzymała
Przyrzeczeń matce swej.

J. S.

Trafił swój na swego.

Jenerał X. miał zwyczaj podczas największych burz, błyskawic i piorunów— przejeżdżać się po ulicach Warszawy. — Sprawiało mu to nie małą satysfakcyę. — Raz tak jadąc, rozpoczął z obwożącym go żydem-fiakrem następującą rozmowę:

— Posłysz jewrej! czy ty wiesz co to tak grzmi tam w górze?...

— Nie wiem jasny gienerale...

— Nie! kakże ty nie wiesz — przecież to stoi w waszym talmudzie napisano...

— Może bicz jasny gienerale — ale ja nie słyszał..

— No to ja tobie to powiem — oto znasz jewrej — dlatego tak grzmi i huczy, bo oto nasz prawosławny boh tak waszemu jewrejskiemu bogu mordu bije...

Usłyszawszy to żydek, zaczyna się śmiać i powtarzać: „si git... si git...“

Zdziwiony jenerał dopytuje się go z czego się śmieje — tenże mu jednak nic nie odpowiada, ciągle się śmiejąc i swoje „si git“ powtarzając. — Wreszcie zniecierpliwiony jenerał woła:

— Nu! gadaj sobaku z czego się śmiejesz?

A na to żydek ironicznie się uśmiechając:

— No — ja sie śmiejem z naszego boga jasny gienerale — co jemu bardzo dobrzy sze robi — bo po co się z moskalem wdaje...

Narada z ekonomem.

— Co jutro będziemy robili, panie dziedzicu?

— Możeby zaorać te pół włóki pod lasem...

— Zabraknie koni.

— Hm... to może posiać żyto na górze...

— Przybrakło nasienia.

— To pochodzić koło owsa.

— I to się nie da, panie dziedzicu.

— A to siej pan sto tysięcy djabłów, sadź milion piorunów, a mnie daj spokój do kroćset fur beczek.

Szczery gospodarz.

— Przyśliśmy ta do was Macieju — cośmy was wójtem obrali po nieboszczyku Franku...

— O!... juści — a poszukajcie se inszego, bo ja ta i tak mam dosyć ze *swojem bydłem* roboty...

Koń i małpa.

(Bajka.)

Śmiała się stara małpa, siedząc raz na [płocie, —
— Ach koniu! — zawołała — siłę masz [nielada!
Wstyd! ażebyś ulegał i w obfitym pocie
Chodził ciągle w zaprzęgu...
— Ha, toć trudna rada —
Mruknął koń, — lecz pociecha ta we mnie [się kryje,
Że szlachetna krew przecie w żyłach [moich płynie
I choć chodzę w chomoncie, jednak z pra- [cy żyję,
Ty zaś, moja małpeczko — z błazeństwa [jedynie!...

Z pamiętników niekamiennego serca.

(W stylu dekadencko-modernistycznym.)

„O jakże mi strasznie płaczliwie żyć teraz na tym padole marnego bytu i wiecznego brzemienia bólu! — szeptał do siebie młody człowiek, obgryzając nerwowo paznokcie. (Na szczęście były to jego własne paznokcie, w przeciwnym bowiem razie mógł być narażony na grubszą nawet awanturę!) — Ona mnie porzuciła! ona! — zgrzytał tajemniczo, — ona, ta nieokiełznana natura dziko rosnącej osiki! ten wytwór brzemiennego momentu narodzin wstrętnej pożądliwości! Porzuciła w chwili, gdym najbardziej posiąść się silił jej żarowo-gazowe... westchnienia(?!) I dla kogo to mnie porzuciła?! Wybraniec rozognionej duszy nie był ani piękny, ani młody, lecz był za to... składnikiem węgla!!! — Wprawdzie opinia publiczna poczęła plwać na niego nieżartem; nic to wszakże nie pomogło, — ta niecnych instynktów kochanka porzuciła mnie jedynie dlatego, że zbrodniarz w przeciągu jednej zimy zagrabił dwakroć monety!! I wyszła za mąż za tego, co frymarcząc kamiennym węglem na arenie kamiennego syndykatu, zakamienował jej wolność osobistą! — Kamienna żono — kamiennego męża, od tej więc chwili bądź ukamienowaną kamieniem pogardy, rzuconym na cię przez wzgardzonego — kancelistę od rejenta“

Post króluje.

Post króluje dzisiaj wszędzie...
Tak to bywa: aut, aut,
Albo odczyt jakiś będzie,
Albo koncert, albo raut.

Cicho płynie dzisiaj życie,
W kąt kobiety i w kąt wino!
A jednakże wciąż obficie,
Jak i dawniej marki płyną.

Kędy zwrócisz się, niestety,
Damy strojne te, czy inne,
Tkają w rękę ci bilety
Na zabawy dobroczynne.

Gdyś wysłuchał stu śpiewaczek
I stu grajków różne zgrzyty,
Siedzisz znowu, niby żaczek,
Bo ktoś głosi ci odczyty.

Już nie wątpi dziś nieznośnie
Żona o twej wielkiej cnocie:
Wczoraj miałeś odczyt o śnie,
Dziś o starym Herodocie!

Ale skromnie wegetujesz,
Biorąc na się nową postać,
Po dawnemu wciąż się trujesz,
Myśląc, zkądby pieniądz dostać!

Bo aksjomat to niezbity
(Nikt z nim nigdy nie pobłądzi):
Światem — my, nami — kobiety,
A wszystkimi pieniądz rządzi!

W.

Nie obiecujące konkury.

— Cóż, panna Iza wychodzi za ciebie za mąż?

— Czy za mąż — to nie wiem, ale że wychodzi, to fakt.

— Jak to, nie rozumiem?

— A no tak, bo ile razy tylko przyjdę do nich, to ona zawsze z kwaśną miną wychodzi z pokoju!!

* * *

Na lekcyi religii.

— Piernikiewicz, ile jest grzechów głównych?

— Siedm, panie psorze.

— Dobrze. Wymień je?

— Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedm.

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ **Wincenty Szmytkowski.**

— **Ogólne** niemieckie towarzystwo zabezpieczenia w Sztutgardzie. W miesiącu lutym 1901 zostało 1367 przypadków odszkodowania uregulowanych. Z tego przypada na obowiązkowe zabezpieczenie od szkodowania 693 przypadków, i to 369 z powodu uszkodzenia cielesnego, za uszkodzenie własności 324. Ze zabezpieczeń od nieszczęścia: wydarzyło się 617 przypadków, z których 6 skończyło się natychmiastową śmiercią a 4 pociągnęły za sobą częściowe inwalidztwo. Z członków zabezpieczonych na przypadek śmierci umarło 57 w tymże miesiącu. Na nowo zawarto w lutym 7194 zabezpieczeń. Ze zgłoszonych szkód od przypadków zabepieczonych (włącznie od przypadków śmierci i inwalidztwa) pozostało jeszcze tylko 212 do załatwienia.

Prawie **w wszystkich miastach**, wsiach Ks. Poznańskiego, Prus, Śląska i Westfalii, wyjąwszy Hamburga i Brazylii, po **kilka filii, podobnych filiom pewnej konkurencyi.**

Kto

pragnie kupić 137

na Wielkanoc

dobrej, zdrowej, czystej i silnej

wódeczki

lub kto chce napić się tejże w jakimkolwiek lepszym lokalu, ten niech żąda i uważa, aby były **z naszej**

Fabryki wódek i nalewek owocowych w Poznaniu

Marczyński & Klóskowski,

Kantor ul. Berlińska nr. 14/15.

Pomocnika

młodszego do składu kolon., win i delikatesów przyjmie zaraz lub od 1 kwietnia 118

M. Szubert, Rogoźno.

Goniec Wielkopolski

pismo codzienne dla wszystkich stanów,

od lat 25 stojące wiernie na straży narodowych zasad, służące sprawom ekonomicznym, przemysłowym, handlowym, tudzież sprawom towarzystw naszych, zapoznające czytelników z stosunkami i zdarzeniami we wszystkich dzielnicach Polski, kosztuje

kwartalnie tylko 1,25 m.

Do przyjmowania przedpłaty **zobowiązaną** jest tak w mieście jak i na wsi nie tylko poczta, ale i **każdy listowy.**

W Poznaniu abonować go można przy ulicy Berlińskiej nr. 5 (Drukarnia *J. Fr. Tomaszewskiego i w agencyach.*

Proszę się przekonać! — Proszę się przekonać!

Specyalny interes artykułów mężkich

Rękawiczki! Krawaty! Kapelusze!

Bieliznę mężką

biała i kolorową

(zamówienia podług miary uskutecznia się w 12 godzinach). 177

Parasole, laski, biżuterye i t. d.

poleca w gustownym i wielkim wyborze po każdej cenie.

J. Fischbach,

Wrocławska 41 — 3 skład od rynku.

Ogiery

wałachy i konie z wypuklinami operują się, na żądanie się zabezpiecza. Na pytania poprzednie odwrotnie się odpowiada. Silkeborg w Jutlandyi (Dania). **F. Winter,** weterynarz (specyalista). 180

Ucznia

do handlu z dobremi wiadomościami szkolnemi poszukuje 166

Antoni Rose,

Poznań — Bazar.

Destylator,

który z powodzeniem podróżował, może się od 1. 4. 1901 r. lub później zgłosić za przysłaniem kopii świadectw, fotografii i podaniem pensyi do fabryki likierów 169

P. Mikołajczyka

w Ostrowie.

Ucznia

do handlu i fabryki papierosów przyjmie zaraz

Heliodor Kubacki,

Breslau, 167

Scheitnigerstrasse 19/21.

Najdelikatniejszy **ser harceński**, 100 szt. 3 m., delik. tłusty **ser śmietankowy** 10 funt. 6 m. fr. **Nietz,** pos. par. mleczarni, Schleusenau-Bromberg. 158

Chłopca

silnego i uczciwego przyjmie w naukę 17

Fr. Rosa,

pierwszorzędna piekarnia w Krotoszynie.

Młoda panna, Polka,

buchalterka

będąca już od roku na obczyźnie w miejscu, życzy sobie przyjąć posadę od 1 kwietnia b. r. u rodaka.

Oferty do Ekspedycyi „Pracy“ się uprasza pod lit. **P. Nr. 127.** 127

Sobecki & Wrzesiński, Poznań.

Fabryka tektur na dachy (papy), asfaltu i przetworów smołowcowych

poleca 153

ogniotrwałą (tekturę) *papę na dachy,* asfaltową *papę izolacyjną* na fundamenta, impregnowane *podkładki pod dachówkę, lepnik, holzcement, karbolineum,* wszelkie preparaty do renowacyi i impreg. dachów papow. *Kit włóknisty, asfalt, gudron, smołę prepar., trójkątne listwy, gwoździe do papy, szczotki do smoły* etc.

Każde zamówienie jako i próby fabrykatów wysela się odwrotnie.

Biuro: Poznań, ul. Wiktoryi nr. 20.
Fabryka w Głównie p. Poznań.

Kilku pomocników krawieckich

przyjmie na stałe zajęcie i wysoką płacę.

Wojciech Samarzewski,

mistrz krawiecki, 164

Król. Huta G. Ś., Königshütte O/S. Wasserstr. 20.

Tanie książki ludowe!

Dwie drogi, Trzęsienie ziemi, Trupia wieża, Krwawa dola, Dwie wilie, Dwaj bracia. Modlitwa za Bismarka, Anzelm w tureckiej niewoli, Jak w Poznaniu bies Szweda porwał i Wierność i litość. 10 tych **książek** daję za 3,25 M. franko i piękny herbik w dodatku. Zamiast powyższych zortuję innych 10 pięknych powieściowych **książek** ze 3,25 M. Polecam mianowicie: Feryda zemsta arabki, Pan Starosta, Bernard i Sabina, Zbrodnia i pokuta. Nałęcze i Grzymalici, Walka przesądów, Nad przepaścią, Niegodna, Kurpie, Czerwony pająk i Bratobójca po 60 fen. Wszystkie 11 grubycb **książek** prześlicz. powieści daję za za 5,50 M. franko! Potem obszerne dzieła: Pojata córka Lezdejki 4 wielkie tomy 4 M. Straszna tajemnica 2 tomy 2 M. Jan z Tęczyńa 2 tomy 2 M. Sprzysiężeni 6 tomów 3,50 M. Rozstajne drogi 1,50 M. Mądry Wach 1 M. Estetyka popularna 2 M. Kosynierzy 2 M. Jerzy Jaszczur Bażeński 2 M. Pod berłem Jagiellonów 2 M. Rzeź galicyjska 1,50 M. Z kryjówek ubóztwa 1,50 M. W sieci życia 1 M. i Powieści serbskie 1 M. Wreszcie polecam: Spiewniki kościelne i narodowe, wielkie, średnie i małe, Książki do nabożeństwa różne, elementarze, wielki wybór kart z widokami i różne książki powieściowe. Sprowadzam na żądanie także wszelkie inne nakłady. Zamawiać pod adresem:

Fr. Wiśniewski, Mogilno (Pr. Posen.)

Ps. „Krzyżacy“ są jeszcze do nabycia, lecz tylko oprawne po 4,50 M. porto 30 fen. do Galicyi 50 fen.

Nowy kurs — bardzo prakt. poj. i podwójnej

buchalteryi,

stenografii itd. 1-go kwietnia r. b., lekcye w dzień 2—4 godzin i wieczór. Paniom i panom na prowincyi polecam t. zw. listową buchalteryą. Prospekt gratis. 170

F. Mellin,

Poznań, Wielkie Garbary Nr. 14 I.

nauczyciel handlowy.

Stuttgarter Verein

Allgemeiner Deutscher Versicherungs-Verein Stuttgart

· Juristische Person · Staatsoberaufsicht ·

Rezerwy ogólne przeszło 20 milionów marek.

Towarzystwo udziela po najtańszych premiach i pod najkorzystniejszemi warunkami w razie

wypadku, na życie, choroby, służby wojskowej i posagu,

jako i w wszystkich stosunkach życia i zawodu ważne

Zabezpieczenie od odpowiedzialności.

Obecnie jest około 398,000 zabezpieczeń na przeszło 2,640,000 osób.

Kontraktów zawarto już przeszło z 1,500 korporacyami.

Wszelkie zyski przypadają zabezpieczonym.

Nadzwyczaj korzystne wynagrodzenie.

Prospektami i warunkami zabezpieczeń służy gratis

Subdyrekcya w Poznaniu

Martin Jacoby, Berlińska ul. 4.

Telefon nr. 1224. 617

Troskliwy.

Ojciec zobaczywszy dwóch swoich synów siedzących na jabłoni, pyta groźnie:

— A wy co tam robicie?

Starszy Józefek tłomaczy się:

— To proszę ojca. Wacek rwie jabłka.

— A ty co tam robisz?

— Ja nic. Ja tylko wlazłem powiedzieć mu, żeby tego nie robił.

Prosimy odciąć.

Powyższą kartkę prosimy odciąć i z dołączeniem 60 fenyg. posłać na pocztę.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für das beg. Viereljahr die in Posen erscheinende Wochenschrif

CZYTELNIA POLSKA

Abtheilung II t. poln. 14.

für 60 Pfennige.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obiege 0,60 Mark erhalten zu haben bescheinig

...., *den* ....

Kaiserl. Post ....

Jeszcze wciąż można odnowić przedpłatę na poczcie!

Prosimy odciąć.

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für das beg. Vierteljahr die in Posen erscheinende Wochenschrift

„P R A C A“

(Abtheilung II. t. poln. Nr. 103 der Zeitungspreisliste)

für 1,25 Mark.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 1,25 M, erhalten zu haben bescheinigt

.........., den ....

Kaiserl. Post ....

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für das beg. Vierteljahr die in Posen erscheinende Wochenschrift

„P R A C A”

(Abtheilung II. t. poln. Nr. 103 der Zeitungspreisliste)

für 1,25 M.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 1,25 M. erhalten zu haben, bescheinigt

.........., den ....

Kaiserl. Post ....

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für das beg. Vierteljahr die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abtheilung II. t. poln. 103 der Zeitungspreisliste)

für 1,25 M..

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 1,25 M. erhalten zu haben bescheinigt

.........., den ....

Kaiserl. Post ....